



Format Literacki

ISSN 2720-0892

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

Temat numeru: KONSTELACJE

Format Literacki

Dolnośląskie pismo artystyczno-literackie
pod patronatem: Urzędu Miasta Wrocławia,
Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta
we Wrocławiu, Instytutu Kulturoznawstwa Uniwersytetu
Wrocławskiego

Adres pocztowy:
Rynek-Ratusz 26, 50-101 Wrocław
Preferowany adres e-mail:
redakcja@formatliteracki.pl

Wydawcy:
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich — Oddział
we Wrocławiu
Prezes: prof. Waldemar Okoń

Klub Muzyki i Literatury
Dyrektor: Ryszard Sławczyński | plac Kościuszki 10,
50-028 Wrocław
www.klubmil.pl | klubmil@wp.pl

Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu |
Instytucja Kultury Samorządu Województwa
Dolnośląskiego
Dyrektor: Igor Wójcik | Rynek-Ratusz 24,
50-101 Wrocław
www.okis.pl | sekretariat@okis.pl

Redakcja:
Redaktor naczelny
Waldemar Okoń
e-mail: waldemar.okon@wp.pl

Z-ca red. Naczelnego
Andrzej Saj
e-mail: aasaj@interia.pl

Sekretarz redakcji
Robert Gawłowski
e-mail: adr@post.pl

Urszula M. Benka
e-mail: urszula.m.benka2@wp.pl

Krzysztof Rudowski
e-mail: krzysztofrudowski@op.pl

Stali współpracownicy:

Monika Braun, Bogusław Jasiński, Janusz Jaroszewski,
Gabriel L. Kamiński, Stanisław Karolewski,
Bogusław Klimsa, Bogdan Koca, Leszek Koczanowicz,
Andrzej Kostołowski, Zbigniew Kresowaty,
Roger Piaskowski, Henryk Waniek, Igor Wójcik,
Tadeusz Złotorzycki

Opracowanie graficzne: Justyna Żak

Okładka (przód, tył): Jan Sawka, ilustracja z książki
Augustyna Necla *Demony, Purtki i Stolemy*, Ludowa Spół-
dzielnia Wydawnicza, Warszawa 1975. Autorem wszystkich
pozostałych prac graficznych i rysunków prezentowanych
w tym numerze jest także Jan Sawka.

Korekta: Monika Wójtowicz

Druk i oprawa: PRINT GROUP Sp. z o.o.
ul. Cukrowa 22, 71-004 Szczecin

Nakład: 350 egz.

Za finansowe wsparcie dziękujemy Panu Prezydentowi
i Wydziałowi Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia

Projekt współfinansowany z Budżetu Województwa
Dolnośląskiego



KLUB MUZYKI I LITERATURY
we WROCŁAWIU



AKWEDUKT

Wrocław miasto spotkań



OŚRODEK KULTURY I SZTUKI
WE WROCŁAWIU



INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO

WWW.FORMATLITERACKI.PL

URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO



DOLNY
ŚLĄSK
www.umwd.pl

Kwartalnik bezpłatny

Spis treści numeru 14

- Waldemar Okoń** Wstęp – „Konstelacje” – 4
- Zdzisław Lipiński** *** zróbmy na żywo – 8
- Bogusław Jasiński** Ile razy rodził się Jezus Chrystus? – 10
- Karol Maliszewski** wiersze – 20
- Monika Braun** Cukier, Góry (fragmenty powieści) – 24
- Stanisław Melski** Na Rafała Wojaczka – 36
- Krzysztof Rudowski** Cement – 40
- Angelus Silesius** Cherubiński wędrowiec – 50
- Henryk Waniek** SILESIUS Tajemny dom śmierci (2) – 52
- Robert Gawłowski** Z „Boskiego światła” – 68
- Marcin Czerwiński** Być jak Johannes Scheffler.
Rozmowa z Robertem Gawłowskim o projekcie poetyckim „Boskie światło” – 70
- Jarosław Barańczak** Zabrany most – 78
- Janusz Jano Mieleczarek** Czas kata, czas ofiary – 80
- Anna Czyrska** *** A co jeżeli AI... – 90
- Ewa Sonnenberg** Prozy – 94
- Marek Rapnicki** Szczyt wszystkiego – 100
- Stanisław Karolewski** Portrety herosów wrocławskich – 102
- Waldemar Okoń** Bez początku (3) – 108
- Gabriel Leonard Kamiński** wiersze z tomu „Nie potrzebuję cię już synu” – 128
- Andrzej Saj** Zapisy zobaczeń – 138
- Bogusław Klimsa** Jan Sawka — ilustrator i iluminator – 166
- Mateusz M. Bieczyński** Światy równoległe Sawki: konstelacje życia i sztuki – 176
- Jarosław Trześniewski-Kwiecień** Płyną okręty do Itaki – 182
- Kamil Bryka** $ql^{2/8}$ i NIC – 184
- „Laur Wrocławia” dla Waldemara Okonia** – 186

Wstęp

„Konstelacje”

Ostatni w tym roku numer naszego kwartalnika mieści w sobie szereg tekstów mających utworzyć po raz kolejny nową, literacko-plastyczną konstelację. Jak wiemy, widoczne z Ziemi na niebie konstelacje są tym, co istnieje iluzorycznie od wieków jedynie w naszej wyobraźni, ponieważ w kosmicznej rzeczywistości łączą w sobie światy i gwiazdy tak naprawdę odległe od siebie i ze sobą niezwiązane. Niekiedy wydaje mi się, że rola pism artystycznych takich jak „Format Literacki” również polega głównie na łączeniu w sobie autorów i ich dzieł, którzy/które w innej konfiguracji nigdy by się ze sobą nie spotkali/spotkały. Oddzielam poprzez ukośnik te słowa nie tylko ze względów stylistycznych, ale też przede wszystkim dlatego, że wybierając utwory do naszego pisma, często nie myślimy o ich konkretnych twórcach, ponieważ założyliśmy sobie, iż głównym kryterium jest tu poziom przesyłanych nam wierszy, esejów, próz, wspomnień, wywiadów, tak aby nasza Formatowa konstelacja mogła świecić nie tylko teraz, ale i w przyszłości pełnym i wyraźnym blaskiem. W tym momencie chciałbym zwrócić uwagę Państwa na znakomity, „bożonarodzeniowy” tekst Bogusława Jasińskiego, który jest zarówno subtelną egzegezą odnotowanych w Piśmie narodzin Chrystusa, ale też może być odczytany według mnie jako zawołowana forma wypowiedzi na temat procesu twórczego – ten, rozpoczynając się w momencie odsłaniania tego, co rzeczywiście jest „pamięcią bytu” niszczonej przez nas codzienną rutyną i utrwalonymi, schematycznymi formami widzenia i myślenia, prowadzi do owych kolejnych narodzin, do doświadczania poprzez powstałe dzieło każdego z nas, bowiem jest ono czymś, co rodzi się dla świata i jest w nim później już na zawsze obecne jako przekazywana innym poezja. Użyłem tego coraz bardziej wyklętego w dzisiejszych czasach słowa, ponieważ wydaje się, że tym, co odróżnia nasze pismo od innych, jest właśnie ściśle ukierunkowanie na coś, co kiedyś określano mianem „pierwiastka poetyckiego”, a co od setek lat stanowiło wyznacznik prawdziwej sztuki. Dlatego polecam obecne w naszym kwartalniku teksty-hybrydy – prozę, która staje się poezją, i poezję, która dąży do prozy, autorstwa Ewy Sonnenberg, Rogera Piaskowskiego, Stanisława Karolewskiego i mojego oraz, niejako w kontraście do nich, utwory będące emanacją tak zwanej solidnej prozy (Henryk Waniek, Krzysztof Rudowski, Janusz Jano Mielczarek). Nie możemy też zapominać, że rok 2024 to rok Angelusa Silesiusa, o czym staramy się

A BOOK

by Alice P. ...

Bwx60

of

FICTIO



New York
1983

przypomnieć zarówno poprzez tłumaczenie Piotra Wiktora Lorkowskiego fragmentu „Cherubińskiego wędrowca”, jak i wywiad przeprowadzony przez Marcina Czerwińskiego z jednym z najwybitniejszych znawców życia i twórczości Anioła Ślązaka – Robertem Gawłowskim.

Od wieków sztuka jest formą utrwalonej, ludzkiej pamięci przejawiającej się i w dziełach elitarnych oraz „wysokich”, i w rozlicznych raptularzach, dziennikach, memuarach, które utrwalając czas, mogą przybierać zarówno kształt poszukiwania własnej, Proustowskiej magdalenki (Monika Braun), jak i zaistnieć w paradoksmalnych zapisach będących źródłem poznania nie tylko świadomości ich autora, ale też całej epoki. Bywa również tak, że dopiero utrwalenie w pozornie suchych, kronikarskich „notatkach krytycznych i bezkrytycznych” ujawnia jej wagę i złożoność (Andrzej Saj).

Hydra pamięci towarzyszy też autorom wierszy zamieszczonych w najnowszym „Formacie Literackim”, wśród których z satysfakcją witamy nowych członków wrocławskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (Anna Czyrska, Marek Rapnicki). Chciałbym również w tym miejscu zwrócić uwagę na oprawę plastyczną, której bohaterem jest niestety nieżyjący już od kilkunastu lat wychowanek wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych – Jan Sawka. Redaktorzy naszego kwartalnika wychowywali się w większości w szczęśliwych latach siedemdziesiątych XX wieku na jego barwnych, różnorodnych, obecnych w przestrzeni publicznej pracach współtworzących ówczesną, jakże ciekawą artystycznie, chociaż funkcjonującą w ramach opresyjnego systemu ikonosferę. Poświęcamy mu zarówno teksty Bogusława Klimsy i Mateusza Bieczyńskiego, jak i wdzięczą pamięć zawartą w reprodukcjach jego znanych i mniej znanych dzieł.

I na koniec dwa cytaty. Pierwszy z „Cherubińskiego wędrowca” Angelusa Silesiusa – „Z księgi pierwszej”:

24. Musisz być niczym / niczego nie chcieć.

Człecz / gdy wciąż czym jesteś / coś wiesz / kochasz / nabyłeś.

Wciąż / wierz mi / ciężaru się swego jeszcze nie wyzbyłeś

i drugi z wiersza Marka Rapnickiego „Szczyt wszystkiego”, gdzie Duch, który zjawiał się pod postacią klucza łabędzi: „Zamieniał pustkę w dzwon powietrza / bezmiar w kształt palca przyłożonego do ust”.

Życzę wszystkim czytelnikom i czytelnikom „konstelacyjnego” numeru „Formatu Literackiego”, aby doświadczali podczas jego lektury obecności Ducha, który, jak wiemy, „wieje, dokąd chce”, zagarniając pod swoje eteryczne skrzydła wszystkie gwiazdozbiory, utrwaloną w dziełach ludzką pamięć oraz, jak w przytoczonym powyżej wierszu, otaczający nas bezmiar pustki, i potrafi zamienić go w sobie tylko znany sposób w „kształt palca przyłożonego do ust”.

EDWARD STACHURA CAŁA JASKRAWOŚĆ



Okładka książki Edwarda Stachury CAŁA JASKRAWOŚĆ, Ludowa Spółdzielnia
Wydawnicza, Warszawa 1974

ZDZISŁAW LIPIŃSKI

zróbmy na żywo
relację
z nieobecności

braku ścian
na pustyni domu

poszarpanych
nitek
przegranych losów

zróbmy relację
na żywo

Jedna z grafik z książki Jana Sawki A BOOK OF FICTION, Clarkson N. Potter,
New York 1986

CHAPTER 2



Vio. the first of the four men. The second man is the third man. The third man is the fourth man. The fourth man is the fifth man.

A. the second of the four men. The third man is the fourth man. The fourth man is the fifth man. The fifth man is the sixth man.

The first man is the second man. The second man is the third man. The third man is the fourth man. The fourth man is the fifth man.



The first man is the second man. The second man is the third man. The third man is the fourth man. The fourth man is the fifth man.

Ile razy rodził się Jezus Chrystus?

Kilka uwag metafizycznych na marginesie jednego cytatu

Nie wiem, czy ten tekst ukaże się w okolicach tegorocznego Bożego Narodzenia, ale wiem, że swą zawartością niewątpliwie przerasta każdy czas – zwłaszcza zaś ten, znaczony datami, historią, miejscem i czasem. Dlaczego? Bo w zamierzeniu autora sięgać ma fundamentów każdego czasu i miejsca, a to znaczy, że w pewnym sensie jest ponad nimi. Wszak dotyczy rzeczywistości, do której nie każdy ma dostęp, i nie dlatego, że jest on niemożliwy, lecz dlatego, że nikt jej nie pożąda i nie oczekuje. A mimo to na jej fundamencie zbudowaliśmy – chcąc lub nie chcąc – nasze życie powszednie.

Tak, narodziny Jezusa, który stał się Chrystusem, niewątpliwie należą do założycielskiego rytu całej zachodniej kultury; mówię „założycielskiego”, albowiem wręcz fundującego tę kulturę. Dlatego tak bardzo obrósł w swe *imaginarium* symboliczne, że ilość znaków, możliwych sensów, interpretacji, a nawet historii z nim związanych stała się odwrotnie proporcjonalna do rzeczywistej zawartości metafizycznej. A mówiąc prościej: skoro znaczy tak wiele, to w takim razie całkiem niewiele już oznacza – innymi słowy: uciekł nam gdzieś rzeczywisty sens tego wydarzenia. W końcu pozostajemy z niepokojącym pytaniem: to się wydarzyło naprawdę czy też tylko zostało zręcznie opowiedziane przez ewangelistów?

Nie, naprawdę nie ma sensu wikłać się w podobne pytania, na które nie ma konkluzyjnych odpowiedzi. Dlaczego? Bo są źle postavione. Czyli jak? Bo w definiensie zawierają swoje definiendum, uzasadniają wcześniej uzasadnione, w przesłankach jest teza itd., itd. Krótko mówiąc, zawsze narażamy się na myślenie tautologiczne lub obarczone sławetnym *petitio principii*, a to zaś wyklucza jakikolwiek dowód. Przynajmniej taki, jakiego byśmy oczekiwali, zgodnie z przyjętą logiką. Nie tędy zatem droga.

Nie znaczy to jednak, że pytanie o Jezusa Chrystusa samo w sobie nie jest ważne. Tyle tylko, że musimy je wyswobodzić z uścisku myślenia historycznego, lokalizującego czas i miejsce, a nawet okoliczności. Innymi słowy: nie pytaj, czy tak było, gdzie

i kiedy, lecz badaj, jak to pracuje w tobie, w twoim doświadczeniu egzystencjalnym. Pierwsze pozostaw archeologom i historykom (nie unieważniając jednakowoż ich pracy i wysiłku), nad drugim zaś zastanów się jeszcze dziś, najlepiej już od samego rana i przy porannej kawie. Bo wtedy właśnie otwierasz drzwi do prawdziwej metafizyki. A o tym mówimy. Kto wie też, czy czasami taki właśnie namysł nie jest ważniejszy dla życia niż ustalenie historycznego czasu i miejsca narodzin Jezusa.

W Ewangelii św. Łukasza czytamy zatem: *W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierwotnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie.* [**Narodzenie Jezusa, Łk 2, 1-7**]

1. Po raz pierwszy

Znakomita większość słów użytych do opisu tego zdarzenia dotyczy zwykłych i tylko życiem naznaczonych spraw i czynności: mowa jest przede wszystkim o jakimś spisie ludności, podaje się, kiedy został przeprowadzony po raz pierwszy i kto wówczas rządził, i wreszcie mowa jest o tym, co w związku z powyższym przedsięwziął był Józef. Narodzenie więc dziecka Maryi dzieje się jakby mimochodem, niejako przy okazji całego tego zamieszania, związanego z owym spisem ludności. A wydawać by się mogło, z perspektywy całej historii Jezusa, że powinno być na odwrót: przecież głównym przekazem całego tego opisu jest to, że oto narodził się Syn Boga. Tymczasem św. Łukasz poświęca temu dosłownie jedno zdanie. Dopiero potem do tej historii wkraczają wszelkie „cudowności”: pojawiają się pasterze prowadzeni przez anioła, który wprost mówi o Zbawicielu, wskazując na Jezusa, potem pojawiają się następni aniołowie, wyśpiewujący hymn ku chwale Boga, i w końcu sami pasterze rozgłaszają wszem wobec o *tym, co im zostało objawione o tym Dzieciątku*. Krótko mówiąc, cała ta opowieść o narodzeniu Jezusa od samego początku filtrowana jest przez dzień powszedni zwykłego życia i nawet do głoszenia tej pierwszej nowiny wybrani zostają jak najbardziej powszedni bohaterowie tego życia, a mianowicie zwykli pastuszkowie, a nie królowie i władcy tego świata. A zatem ta „dobra nowina” idzie **od** samego życia i **z** prostego i powszedniego życia, a nie **do** tego życia jest jakby wnoszona, z wyżyn tych, którzy tym życiem rzekomo władają. To niezwykle ważny i istotny sens wybrzmiewania tej nowiny, albowiem pokazuje, że szukać trzeba Słowa, które ją wyraża i uosabia, bynajmniej nie gdzieś wysoko ponad naszymi głowami, lecz – na odwrót – bacznie spoglądając pod stopy, bo inaczej można się potknąć. To tak, jakby powiedzieć: bądź uważny tu i teraz, a nie zadzieraj głowy do góry, licząc na coś, co kiedyś nastąpi i gdzieś, nie wiadomo gdzie. I powiedzmy to jeszcze dokładniej: szukaj tego Słowa i tej dobrej

nowiny nie w rejonach swojej fantazji, lecz w faktach, zdarzeniach i śladach, które ci się przytrafiają każdego dnia; tylko wreszcie naprawdę uważnie patrz i słuchaj, bo to – jak się okazuje – wydarza się w każdej chwili. Chodzi więc o tę uważność, której dzisiaj zostaliśmy pozbawieni na własną prośbę. Owi zaś pastuszkowie byli zatem „uważni”, bo widzieli znaki i słyszeli nową dla nich mowę, my natomiast nie tylko, że słów tej mowy nie słyszymy i nie rozumiemy, ale także w pewnej pogardzie mamy takie „pasterzowanie” jako coś mało godnego. W popularnych rubrykach towarzyskich poczytnych gazet łatwo jest znaleźć kolejne plotki o celebrytach, gwiazdach kina, sportu lub polityki, próżno natomiast szukać czegokolwiek o wykluczonych z tego świata: nędzarzach, włóczęgach, bezdomnych czy skazanych. A to przecież im przede wszystkim dana jest – tak jak owym pastuszkom – szansa bycia prawdziwymi „pasterzami bytu”, bo odrzucili wszelkie formy lub też – i tak jest zazwyczaj – form tych ich pozbawiono. Dlatego otwarła się przed nimi brama do odsłonięcia istnienia nagiego – powiedzielibyśmy: „jako takiego”. Nie oznacza to jednak, że każdy z nich tę szansę wykorzysta i przekroczy próg tej tajemnicy. Oto prawdziwi *pastuszkowie* dzisiejszej dobrej nowiny, którzy jednak mają naprawdę znikome szanse, by podjąć to wyzwanie.



A zatem: dokładnie pośród takiego życia rodzi się Jezus. Rzekłbym – fizycznie, jako człowiek, byt poszczególny, jakby powiedzieli filozofowie użądleni swą logiką i dialektyką.

Szukamy tu więc Słowa nie pośród wielkich kwantyfikatorów i ogólnych haseł, ale pochyleni nad konkretem, szczegółem i fragmentem, zaiste małym kwantyfikatorem – szukamy iskier, baczenie rozglądając się wokół, aczkolwiek rzadko kiedy wzniesamy z nich prawdziwy ogień. I znowu powtórzmy: **z** tego świata i **od** tego konkretnego życia, które przytrafia się tu i teraz, wyprowadzamy sens i prawdę, a nie wnosimy je (z zewnątrz) **do** naszego życia. Bo taka właśnie postawa sprawia, że odkrywamy fenomen samego istnienia i przede wszystkim sens trwania w nim. A zatem taki Chrystus rodzi się dla nas wtedy i tylko wtedy, kiedy trwamy ufnie w czystym istnieniu, w bycie nagim; cała reszta przychodzi dopiero potem.

W ten – jak można to nazwać – immanentny mechanizm wyłaniania się przyszłego Boga, czyli odśłaniania Jego faktycznego istnienia, a nie zakładania niejako a priori, że jest, wpisuje się także cała metaforyka owej sceny w Grocie Betlejemskiej. Czytamy u św. Mateusza, że mędrcom ukazała się gwiazda, która *szła przed nimi, aż przyszła i zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię* (Mt 2, 9). Zauważmy, że ów znak, który kieruje ich drogą ku Bogu, nie pojawia się wskutek jakiejś operacji myślowej i jakiegoś szczególnego dowodu (tak jak moglibyśmy się spodziewać po mędrkach), lecz w samej naturze. Innymi słowy: nie subiektywnie, lecz obiektywnie, nie dedukcyjnie, lecz indukcyjnie, wreszcie – nie na drodze jakiejś spekulacji umysłowej, lecz empirycznie. Dlatego właśnie przysługuje mu większa realność, niż na pozór mogłoby to nam się wydawać. I przy okazji widzimy tu, jak pozornie „bajkowa” opowieść pracuje w nas nad wyraz realnie – właśnie w konkretnym doświadczeniu. Bo w końcu określa nasz sposób postrzegania świata i nasze nastawienia. A coż może być bardziej realnego w naszym życiu?

Tak jak Maryja i Józef musieli wyruszyć w drogę, by wyrwać się z form dnia powszedniego po to, by *zobaczyć* Słowo, które od tej chwili przewróci do góry nogami całe ich dotychczasowe życie oraz życie w ogóle, tak też i my czytając tę scenę, powinniśmy wyzwolić się z dotychczasowych nawyków myślenia i działania po to, by On narodził się w nas. W zdaniu tym nie chodzi o zwykłe kaznodziejstwo, ale przede wszystkim o pokazanie rzeczywistego mechanizmu odśłaniania nie tylko patrzenia i słyszenia, ale i – w rezultacie – samego siebie. I wreszcie na samym końcu tej drogi odkrywania siebie oraz istnienia samego upostaciowionego w Słowie dochodzimy do tego okrzyku proroka Daniela: *Panie [...] działaj niezwłocznie, przez wzgląd na siebie samego, mój Boże!* (Dn 9, 19) – okrzyku, w którym giną już wszelkie podziały pomiędzy podążającym drogą a drogą samą, środkiem i celem, przyczyną i skutkiem, albowiem jest tylko ufne trwanie w Nim. Bo wszak – zauważmy – Bóg działa tu w swoim własnym stworzeniu: **Jest** we wszelkim „jest” o tyle, o ile to ostatnie jest w stanie odśłonić i odkryć miarę i moc tego pierwszego. Teraz dopiero doświadczamy rzeczywistych narodzin Jezusa zwanego potem Chrystu-

sem – i to właśnie dzieje się teraz i tutaj. I dopiero teraz cierpliwie zbierane w dniu powszednim iskry tej obecności zespalają się w jedno płonące ognisko: jest Jedno – jest, które po prostu jest.

A zatem Słowo wcielone w Jezusa niejako przytrafia się w drodze – w drodze do owego Betlejem. Grota, w której przychodzi na ten świat, staje się więc – jak chce tego Anna Katarzyna Emmerich – symbolem macicy i łona rodzącej swój owoc matki. A my dodajmy: rodzącej nieustannie i zawsze o tyle, o ile tylko potrafimy to dostrzec i przeżyć. Wtedy też – wracając do symboliki drogi, na której wszak wszystko to się dzieje – nawet *niewidomi pójdą po nieznanej drodze* (Iz 42, 10-16); „nieznanej” zaś dlatego, że nigdy wcześniej po niej nie kroczyli, albowiem żyli tylko życiem powszednim i jego materią.

Dlaczego jednak – jak niektórzy kaznodzieje utrzymują – prosić mamy o wiarę w to, że dziecko zrodzone z Maryi to był rzeczywiście Bóg? Taka „prośba” zakłada, że z jednej strony staje sam proszący, a z drugiej niejako przedmiot jego prośby. Tymczasem przy takim ufnym *trwaniu* w bycie nagim, Bycie Odwiecznym, jak to przez cały czas tu ujmujemy, nie ma nawet miejsca na jakąkolwiek „wiarę”, ponieważ mowa jest tylko o odsłanianiu tego, co rzeczywiście jest. To tylko podnoszenie zasłony z bytu. I wtedy też nie może być mowy o jakichkolwiek podziałach, które generują „wierzącego” i przedmiot jego „wiary”. Chyba więc nieprzypadkowo w tych scenach z Betlejem tak wielką rolę odgrywa światło: ustępuje ciemność, a rodzi się jasność – poranek nowego życia. Czyż nie jest to właśnie owo podnoszenie zasłony, w którą sam byt był spowity? Oto rzeczywiste narodzenie Jezusa i dlatego też dzieje się ono zawsze i teraz – po prostu tutaj. To jest także rodzenie przestrzeni poza przestrzenią i czasu poza czasem. W przeciwnym wypadku mielibyśmy do czynienia tylko i wyłącznie z jeszcze jedną fantazją literacką, mniej lub bardziej zgrabnie opowiedzianą.

Metaforyka nocy i dnia, ciemności i światła stanowi zatem jeden z istotniejszych przekazów w tej historii. Sama zaś podróż Maryi i Józefa z Nazaretu do Betlejem staje się podróżą poza porządek i materię życia – ku *trwaniu* w istnieniu pozbawionym jakichkolwiek form. Innymi słowy: poza horyzont materii życia – taki, jaki znamy i którym żyjemy (a mimowolna tautologia jest jego nieodłączną cechą). I jeśli nie umieścimy narodzin Jezusa w takim właśnie horyzoncie rozumienia i zarazem doświadczenia, to nigdy On nie narodzi się rzeczywiście.

Opisana w Biblii podróż Maryi i Józefa do Betlejem staje się więc w uważnym czytaniu, a to także znaczy: w głębokim doświadczeniu jej, podróżą samego czytającego ku samemu sobie i ku odsłonięciu bytu naprawdę rzeczywistego, a nie pozornego. Być może więc jest to droga mojego, twojego, waszego i naszego życia ku prawdzie, która wyzwala – o paradoksie – właśnie z życia, to znaczy z jego złudnych form. Narodzenie Jezusa to opowieść o wyzwoleniu – tak właśnie ją czytamy.

Ale to także swoiste zaproszenie do szczególnego doświadczenia egzystencjalnego; bo czymże innym jest ta nasza lektura tej sceny? W życiu codziennym jednak najczęściej odrzucamy takie zaproszenie i uciekamy przed takim wezwaniem. Dodajmy koniecznie: uciekamy w nasze bezpieczne formy i nawyki, które – nawiasem mówiąc – nawet i tę scenę narodzenia Jezusa na swój sposób obłaskawiły i tym samym pozbawiły jej ostrza. Krótko mówiąc: sprowadziły ją na poziom życiowych gier i symboli. I zaiste spoza tych symboli i spoza przez nas samych czynionych znaków, metafor i alegorii niewiele już wynika dla nas samych. Trzymamy ją na pasku naszych nastawień, tak cierpliwie kształconych każdego dnia. A przecież chodzi o to, aby ten właśnie dzień zamknąć w cudzysłów i zadać pytanie o jego sens, status i wartość. Tego się boimy i od tego uciekamy. Dlaczego? – bo chyba trzeba by twierdzenie to sprowadzić właśnie do tej konkluzji – boimy się całkowicie powierzyć siebie istnieniu nagiemu, odartemu z codziennych form i dlatego nie *trwamy* w Nim. A nawet wprost przeciwnie: właśnie w ten sposób od niego się oddalamy. Dlatego z całego tego imaginarium, które towarzyszy opowieści o narodzeniu Jezusa, niewiele już jest z samych Jego narodzin. Życiem zaiste, życiem i jego formami przykrywamy cud istnienia, albowiem tak jest wygodniej i bezpieczniej: zwalnia to mianowicie nie tylko z myślenia, ale i z doświadczania treści, z którymi trzeba mierzyć się na własną miarę i zdolności. A tych nie chcemy weryfikować.

Tymczasem całe życie Jezusa było jednym wielkim i absolutnym sprzeciwem wobec tych form życia po to, by móc całe to życie wnieść na Golgotę i ostatecznie otworzyć drogę do jego odkupienia. Aby jednak Chrystus mógł w tym życiu działać, samo to życie musi być opróżnione z... życia, czyli z jego form, które wszak tkają jego materię.

Chodzi zatem o pozostawienie pustego miejsca w tym życiu, aby mógł w nim działać przyszły Bóg. Dlatego właśnie tym, co szczególnie uderza w przytoczonej wyżej scenie, jest ubóstwo znaków sakramentalnych: jest prosty żłobek, ale nie ołtarz, jest jakieś bliżej nieznane światło, ale nie Duch, wreszcie miast fanfar równie proste słowa bynajmniej nie królów lub kapłanów, lecz zwykłych pastuszków. To tak, jakby ów nowo narodzony Mesjasz zadowalał się gestami i słowami jak najprostszymi – ziarnami i okruciami miłości, a nie jej ognistymi wyznaniem. A nawet więcej: miłość tę okazują ludzie wcześniej zlekceważeni i wykluczeni – w jakimś też sensie nawet ludzie poza prawem. Bo przecież prawdopodobnie o żadnym prawie oni nie słyszeli, wypasając stada owiec na odległych pastwiskach.

To ubóstwo, o którym tu mówimy, winniśmy jednak czytać jako z jednej strony ogołocenie z form po to, by właśnie uczynić miejsce do działania Boga, z drugiej zaś jako – mimowolne – uznanie naszego zniewolenia tymi formami, a także grzechem. Pozbawiam więc życia życie i tym samym wchodzę w zupełnie inny porządek, inne prawo i inną logikę. I wtedy ten nowo narodzony Jezus przychodzi, czyli po raz kolejny rodzi się, ale przecież nie w mocy, lecz właśnie w słabości – jako dziecko: niewinny, bezradny i w życiowym sensie słaby. Zauważmy, jakie tu mamy od razu

spektakularne odwrócenie hierarchii: słabe okazuje się silne, bezradne pełne istoty właśnie prawa i porządku, wreszcie upokarzające pełne chwały. Już tu mamy więc radykalne odwrócenie logiki i wartości samego życia po to, aby to życie najpierw zamknąć w nawias, a potem ostatecznie móc zbawić. A więc Golgota tak naprawdę zaczyna się już na samym początku – więcej: ona tylko stanowi dopełnienie tej misji, z którą pojawiło się to dziecko w Grocie Betlejemskiej.

Od początku więc chaosowi i zgiełkowi tego świata przeciwstawiony jest pokój i łagodność małego dziecka, mądrego mądrością zapomnianą przez ludzi. Po to ono przychodzi na świat: by być wyrzutem sumienia i przywołaniem pamięci bytu, skrzętnie zawalonej wymyślanymi przez nas formami – widzenia i myślenia. Bo wszak widzimy to, co chcemy widzieć, słyszymy już słyszane i poznajemy poznane.

A jaka w tym wszystkim była rola Maryi? Otóż Ona tylko odkrywa wolę Boga – widzimy więc Ją, jak trzyma w objęciach swe dziecko i niemo wskazuje palcem na Niego. I to się dzieje zawsze wtedy, kiedy patrzymy na ten obraz – właśnie teraz.

2. Po raz drugi

Ale przecież narodziny Jezusa są zarazem ukazaniem się dla życia przyszłego Zbawiciela, czyli Chrystusa. O ile w pierwszym przypadku mówimy po prostu o nowo narodzonym dziecięciu, o tyle w drugim o Mesjaszu, który zajmuje swoje miejsce pośród innych; mówiąc precyzyjnie – za pierwszy raz Jezus rodzi się „dla siebie” i „w sobie”, za drugim zaś „dla innych”, czyli w tym wypadku dla życia. Prawdopodobnie najlepszym określeniem dla tych „społecznych” narodzin byłby termin „socjalizacja”, gdyby nie uderzająco obco tu brzmiący termin – a jednak oddający sens tych narodzin, obchodzonych w tradycji katolickiej jako Święto Trzech Króli.

Komentowaną tu scenę narodzin Jezusa powinniśmy zatem uzupełnić sceną następną – wtedy, kiedy odwiedzają Go właśnie owi trzej królowie i składają Mu w darze symbole wielkości tego świata, czyli świata życia: mirrę, kadzidło i złoto. To tak, jakby położono przed Jego stopami to wszystko, co wyznacza wręcz granice tego świata, a więc bogactwo, uznanie, ale także uwielbienie. Można rzec, że tymi właśnie wartościami niejako karmi się nasze życie i wyznacza dokładnie całą przestrzeń, w jakiej się toczy.

I to wszystko właśnie zostaje położone pod Jego stopami, jakby z niemą prośbą o zbawienie. Ten gest zakłada milcząco również i to, że sam Jezus narodził się z przestrzeni przerastającej miary życia i dlatego właśnie zdolny jest je nie tylko napełnić sensem, ale i dźwignąć na zupełnie inny poziom, ku zbawieniu. Oto ten nieznaný wcześniej punkt oparcia dla dźwigni, która rusza z posad cały świat, w którym ugrzęźliśmy po wygnaniu z raju.

Ale tę scenę powinniśmy również czytać znacznie głębiej, pozbawiając ją jakichkolwiek rodzajowych i „historycznych” cech, a napełniając stricte metafizycznymi – czyli poza czasem i przestrzenią życia, można rzec: *odwiecznie*... Ta ogólna uwaga przekłada się jednak natychmiast na bardzo proste i nader konkretne wskazanie, a mianowicie ona dzieje się również teraz i tutaj. Wprawdzie wspomnieliśmy o tym w naszym powyższym komentarzu, ale teraz uczynimy to główną osią rozważań.

Wszystko to sprowadza się w gruncie rzeczy do oczywistego stwierdzenia: Jezusa rodzi każdy z nas, ale tylko na własną miarę i wedle własnych możliwości. Tylko tak można właściwie czytać te sceny i odpowiednio przeżywać święto, jakże bardzo zakleszczone w symbolikę i rytuał. Bo trzeba spoza nich widzieć sens i doświadczenie naprawdę istotne, które musimy odsłonić.

A zatem Jezus rodzi się w naszym wnętrzu tylko wtedy, kiedy spoza form życia potrafimy wydobyć iskrę oczywistego istnienia. To ona dopiero zapala w nas ten promyk nadziei na to, że możemy choćby na chwilę odsunąć od siebie całą materię naszej codzienności, opatrzyć ją stosownym nawiasem i ostatecznie zadać pytanie o jej status i sens. Ale tu nie chodzi tylko o jakiś akt, w postaci pytania, ale także o konkretne (chciałoby się powiedzieć: substancjalne) doświadczenie bytu poza formami życia, czyli odkrycie owej oczywistości istnienia. I nie musi to być doświadczenie całości, lecz fragmentu – na moją indywidualną miarę skrojonego; zaiste mowa jest o iskrze. Bo resztę pozostawmy wielkim mistykom i mistrzom ducha.

Krótko mówiąc: małe dziecko późniejszego wielkiego Chrystusa jest więc uosobieniem równie małego, bo indywidualnego doświadczenia każdego z nas. To jest narodzenie *dla nas*. Ale drugim krokiem w czytaniu tej sceny jest narodzenie *dla świata*, które z kolei symbolizuje wizyta owych trzech króli oraz prostych pasterzy: tutaj właśnie Jezus jakby zajmuje swoje miejsce w świecie życia – jako najpierw Nauczyciel, a potem jako jego Zbawca. I jedno z drugim jest ściśle związane, i jedno też z drugiego wynika – a nawet więcej: nie zrozumiemy jednego bez zrozumienia drugiego. To jakby dwie strony tego samego narodzenia: raz – w moim małym świecie, mojego i zawsze konkretnego bytu oraz dwa – w wielkim świecie życia, jako powszechne i ogólne. Te dwie kwantyfikacje nawzajem się uzupełniają i są od siebie zależne. Subiektywne przechodzi w obiektywne – tak rodzi się zbawienie jednostkowe i powszechne.

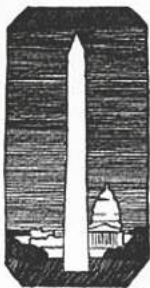
Narodzenie *dla mnie* jest w istocie (tego doświadczenia) rodzeniem *we mnie* Jezusa, albowiem chodzi tu o organiczne i niezwykle – chciałoby się rzec – immanentne wydobywanie z wnętrza samej oczywistości istnienia tej tajemnicy. To rodzaj głębokiej pracy wewnętrznej, która powinna zarazem być zadaniem i wyzwaniem w okresie tych świąt. Nie można zatem dać się zwieść zewnętrznym symbolom, lecz traktować je jak szczeble drabiny, po której wspinamy się wyżej.

I teraz chodzi o to, jak dalej niesiemy tę iskrę nowego doświadczenia w życie. Oto odległość, którą pokonujemy pomiędzy pierwszym a drugim narodzeniem Jezusa: pomiędzy *dla mnie* a *dla świata*. Jak donieść to nowe doświadczenie do życia powszedniego? Ale to nie są tylko czysto słowne zabawy i określenia, albowiem w rzeczywistości oznaczają one przygotowanie na konfrontację ze światem życia: czy zdmuchnie on tę na nowo odnalezioną iskrę w nas, czy też – na odwrót – zapłonie z niej kiedyś prawdziwy ogień? Pozostaje jednak na samym początku niezwykle istotne przekonanie, a mianowicie, że nie ma już czego się bać, albowiem jest już to, co naprawdę **jest**. I to jest oczywiste, trzeba zatem chronić to doznanie dokładnie tak, jak matka chroni swoje nowo narodzone dziecko – poza rozumem i poza umysłem, bo mocą jakiegoś niepojętego dla nas instynktu, wszczepionego również w sam byt.

Coda

Oba te narodzenia Jezusa, o których przed chwilą mówiliśmy, możemy ostatecznie sprowadzić do czysto osobowego i jako żywo egzystencjalnego doświadczenia. A mianowicie: jeśli konsekwentnie, trzymając się wyżej zaproponowanego myślenia *sui generis* metafizycznego, interpretować owe narodziny jako odsłanianie istnienia nagiego, pozbawionego form (życia), to na poziomie czysto osobowym byłoby to niczym innym jak wyzwalaniem indywidualności z form osobowościowych, czyli odsłanianie mnie samego takim, jakim jestem naprawdę, czyli poza rolami społecznymi, które pełnię i gram, poza wszelkimi maskami i formami, w które jestem ubierany. Innymi słowy: byłoby to odnalezieniem siebie, takim, jakim jestem, a nie takim, jakim bywam dla innych. W tym też sensie takiego Chrystusa ciągle rodzę na nowo, bo odsłaniam sobą byt nagi, odarty z wszelkich form. Wszyscy zatem jesteśmy Chrystusami, ale nie jesteśmy tego świadomi – tak jak zapominamy o tym, że jesteśmy.

Zbiór rysunków Jana Sawki z marginesów książki jego żony Hanny Sawki i córki Hanny Marii Sawki AT HANKA'S TABLE, wyd. Lake Isle Press, New York 2004



KAROL MALISZEWSKI

Literatury

Literaturo o uchodźcach,
wojnach, zamachach,
mniejszościach i ich prawach,
o kapitalizmie i tak dalej,
bardzo ważna literaturo,
daj życie

mniej ważnej, zupełnie malutkiej,
literaturze o niczym, czyli pustce,
w której rozgrywają się
te wszystkie pozorne rzeczy,
jaskrawe maźnięcia pędzlem
na białym płótnie.

Fala

Jedno stado pcha się na drugie,
nie mając nic złego na myśli,
tak niesie ich fala,

jedni drugim wykręcają ręce
czy raczej racice,
nic złego, konieczność

zaprowadzenia porządku;
skierujcie kamerę gdzie indziej,
najtrudniej pokazać nic,

które zostaje po przejściu fali.

Nic

Nic już
nie osiągać,

żadnego królestwa,

wystarczy to,
co tracimy,

osiągnięcia są
dla wybranych.

Ułożenie towarów na

Kredyt bez zwierzeń, czytelniku,
pójdiesz na to, zawierzysz
pieśń, oddasz gardło,
potem i tak po drugiej stronie
spotkają się nasze ślady,
cienie za skąpe na opowieść
czy interpretację, ale zawsze,
powiemy, był ruch, przeciek,
wzajemność; kto cię tu
prosił, wykrzyczane w gniewie,
to też komunikat,
nawiązanie, przecież
mieliśmy tylko zrobić
zakupy bez kartki,

z ręką swobodnie w kieszeni,
nie na klawiaturze.

MONIKA BRAUN

Te dwa fragmenty są częścią większej całości, którą zamierzam i nad którą pracuję, rodzaju autobiograficznej powieści. Wyjęte z rozwijającej się w miarę logicznie opowieści, jednak jakoś się tłumaczą same przez się (a przynajmniej tak mi się zdaje), bez dodatkowych objaśnień.

Cukier

Czemu zostaje nam w pamięci coś, a cała rozległa reszta tonie w niedostępnych odmętach galaretowatej substancji mózgu? Dlaczego wypływa na powierzchnię przesłodzona herbata podczas jakiejś wycieczki z rodzicami i ich znajomymi? Do niczego niepodłączony kawałek obrazka z łyżeczką sypiącą cukier trzymaną przez czyjąś rękę, ale czyją – nie wiadomo. Tylko ta dłoń, jakby wyłaniająca się z szuwarów, bez człowieka. Horror wedle współczesnych filmowych rozwiązań, na przykład Davida Lyncha, ale wcale wtedy nieprzerażający. Mam może trzy lata (a rekonstruuje to z mamą po detektywistycznych odgrzebywaniach faktów i ich kontekstów, prawie sześćdziesiąt lat później), mieszkamy wówczas w Toruniu i jedziemy nad Wisłę, która jako rzeka płynie gdzieś na dnie sedymentów pamięci. (Bardzo poprawnie zresztą, w ramach patriotycznego etosu, w którym mnie chowano), ale to naprawdę ona, bo gdzieś blisko tego kubka zbyt słodkiej herbaty usiłują się wydobyć trzciny (i znów: czemu ich smukłe falowanie?), wydaje mi się, że pamiętam jej ciemny nurt, choć może to już jest dodane późniejszymi wizjami innych toczących się, mętnych rzek. (I ciekawe, dokąd potoczyły się moje odbicia niegdysiejsze, których nie pamiętam, z jakimi wodami się zmieszały?) Prawdopodobnie jesteśmy tam z parą znajomych aktorów, ale sylwetki są mgliste, rozmyte. W ogóle wszystko jest trochę jak na czarno-białym filmie, choć nie do końca, bo za tło ma jakieś wyblakłe zielenie i brązy. Dopiero późniejsze wspomnienia nabiorą barw. Jakby pamięć powtarzała odkrywcze przejście od wczesnych fotograficznych eksperymentów Josepha Nicéphore'a Niépce'a – rozmazanych, ziarnistych, przypominających trochę rysunek węglem, poprzez sepiowe, ale już gładsze obrazy Jacques'a Daguerre'a, aż do pierwszych kolorowych zdjęć, a mam takie z lat siedemdziesiątych w albumie, które dziś w swoich spłowiałych, jakby polukrowanych, pastelowych tonacjach wyglądają jak spartaczzone, po najnowsze zapisy cyfrowe pamięci, póki i te na powrót nie zblakną, nie rozmyją się, nie okażą bezwartościową kupką resztek po ludzkim mózgu, może popiołem, choć po prawdzie nikt nie wie, co w ogóle będzie z nami, utrwalonymi na dyskach naszych komputerów. „Woda w Toruniu? – rozmyśla zapytany o to tata. – To na pewno Wisła, może jakieś jej rozlewy, obok głównego, ogromnego, szerokiego koryta. Wzięli nas tam swoim samochodem znajomi z teatru. Pamię-

tam nazwisko aktorki – Wanda Ślęzak (grała u mnie Pannę Młodą w Weselu, mówi ojciec, mając w głowie obraz żywych odcieni jej kostiumu, a ja – wyretuszowane fotografie z jej nekrologu, na których stylizowała się na Gretę Garbo) – ona miała męża lekarza – dodaje tata – wojskowego, podpułkownika, partyjnego, i on miał mercedesa. Szczegółów tej wyprawy, niedalekiej zresztą, nie pamiętam...” No tak, nikt prawie pośród zwykłych obywateli nie miał w tamtych latach własnego auta, a tym bardziej mercedesa. Może dlatego też pamięta to mężczyzna? Oni wszyscy zapamiętują innym niż kobiety kluczem. Ja samochodu nie pamiętam.

Dla mnie esencją tamtego zdarzenia jest cukier, do którego wypicia w herbacie najwyraźniej ktoś mnie usilnie namawia, co znajduje jakąś zdumiewającą kontynuację kilka lat później, więc wspomnienie jest znacznie wyrazistsze i barwniejsze – całkowicie moje własne, nie pożyczone – a w nim niania i gosposia w zaprzyjaźnionej rodzinie, gdzie są moi rówieśnicy i często u nich bywam, próbuje mnie skłonić do posłodzenia herbaty. Uważa najwyraźniej, że przekraczam zdrową normę i sceptycznie podchodzi do informacji, że „mama mi na to pozwala”. „Cukier krzepi”, uważa Dudeczek, tak nazywana przez bliskich stara góralka, która niańczyła jeszcze przed wojną pana domu, mojego „przyszywanego” wuja, a na jej sądy o tym, jak należy wychowywać dzieci, wpłynął najwyraźniej ukuty w tamtym czasie slogan Melchiora Wańkowicza oraz przekonanie, że trzeba jeść dużo i do syta. Rozumie też Dudeczek, że cukier jest cennym artykułem spożywczym i wybrzydzenie nań jest grzechem lub coś koło tego. Teraz pomaga cioci chować pięcioro dzieci w warunkach komunistycznego ubóstwa, w którego kontekście cukier jest tym bardziej marzeniem, a odmowa jego spożywania – dziwactwem. Muszę się bronić przed tym cukrem, mówiąc, że mama, i tak dalej. Coś się we mnie burzy, ale rozumiem, że w obcym domu powinnam być grzeczna. Dudeczek robi niedowierzającą minę. Poglądy na świat ma zdecydowane, co wiem i czuję, obserwując z mojego miejsca przy stole, jak krząta się między nami, jedzącymi kolację, a spiżarnią, kuchenką i zlewem. Rządzi tu trochę wszystkimi.

Moja niechęć do cukru bynajmniej nie była powodowana jakimiś wczesnodziecięcymi, dietetycznymi aberracjami. Ówczesne poglądy na dietę czy też różne diety były odmienne od dzisiejszych. Zasadniczo konsumowało się wszystko, i tyle. No, wiadomo było, że chorych i położnice karmi się rosołem, niemowlęta kaszką na mleku, przy rozstroju żołądka natomiast mleka ani surowizny się nie podaje. A ja po prostu w napojach cukru nie lubiłam, choć jako składnik ciast i przetworów pojawiał się często i jadłam go wtedy bez oporów. W wypiekach był niejako oczywisty i rozplýwał się niezauważalnie w amalgamacie mąki, jajek, mleka, masła i co tam jeszcze akurat do danej kompozycji było potrzebne. Natomiast w dżemach, konfiturach, galaretkach czy sokach, koniecznie latem i jesienią przyrządzanych na trudną zimę, w czasie, kiedy kupowanie ich było skomplikowane lub niemożliwe, a te, które stały na skromnych półkach sklepowych, były dość paskudne, w tych więc słoikach i butelkach z barwnymi eliksirami cukier był częścią ich tajemnic, biorących się z właściwych proporcji owoców i białych kryształków z namaszczeniem odmierzanych przez gospodynie domowe oraz ze złożonych procedur ich wytwarzania. Alchemia przeistaczania owocowych składników w musy, żele

i syropy miała dla mnie też coś z aktu sprzeciwu wobec zgrzebnej i prowizorycznej rzeczywistości. Były po pierwsze prowokacyjnie piękne, jak na przykład półprzezroczysta galaretka z białych porzeczek o różowawym zabarwieniu, przykryta finezyjnie wyciętym płatkim pergaminu nasączonym spirytusem, by nie pleśniała, albo pływające w rubinowej zawieszynie truskawki, których jędrnej całości nie należało sprofanować zbyt gwałtownym i długim smażeniem, po drugie, dzięki tajemnym procesom, pasteryzacji oraz owym spirytusowym płatkom – były odporne na działanie czasu, sprzeciwiały się nietrwałości otoczenia, wydaje mi się, jakby na przekór krzewionemu powszechnie w tamtym czasie ateizmowi przywoływały skojarzenia z życiem wiecznym.

Siedzę więc u Kłoczowskich przy kuchennym stole, gdzie w dzień powszedni jada się posiłki, zawsze jednak starannie podane, co jest zasługą pani domu i co strasznie mi się podoba, nawet biały ser (sery są w tamtym czasie w Polsce tylko dwa: biały i żółty) czy śmietana w ładnych miseczkach podobnie jak dżem, nie pamiętam jaki, który kondensuje dla mnie coś ze słodczy tego wspomnienia. Tak jak i „malinki”, czyli landrynki o kształcie i smaku malin, które ciocia zawsze miała w metalowej, okrągłej puszcze, przechowywanej w kredensie, i można było czasem sięgnąć po jedną, gdy na to pozwalała, ale słodczy wtedy nie były często rozdawane podobnie jak pieścizny. Życie pozbawione nadmiaru cukru na pewno było zdrowsze, ale również, jak mi się zdaje, ówczesne związki z ludźmi, wyzbyte przesadnej czułości (choć nie czułości). Do dzieci się nie przymilało, a z nimi rozmawiano, włączając je w przebieg codziennych zdarzeń i nie tworząc jakiejś osobnej, infantylnej strefy tylko dla nich przeznaczonej, swoistego pokoju zabaw izolowanego od reszty i służącego wyłącznie praktykowaniu rozrywki. Moi dziadkowie, ciotki i wujowie, i pociotkowie dalsi nie zabiegali, zdaje mi się, o moje i innych dzieci względy. Po prostu żyliśmy razem, a konieczności i potrzeby naszej współegzystencji określały też sposób porozumiewania. Tkliwość nie stawiała się wtedy zbyt często ostentacyjna, opiekuńczość nie była pedagogiczną wytyczną, uprzejmość była raczej naturalną potrzebą niż poprawnym politycznie zachowaniem. Przynajmniej tak było w środowiskach, w których się obracałam – a istniały wokół mnie wówczas co najmniej dwa: teatralne i akademickie. No i jeszcze szeroko rozumiana rodzina, plasująca się wśród tak zwanej inteligencji, liczni „krewni i znajomi Królika”, a zarówno krewni, jak i powinowaci mojej matki i ojca, właściwie niepoliczalni, stanowili całe konstelacje osób, jeśli nie stale w naszym życiu obecnych, to jednak mających z nami kontakt, czy to listowny, czy to przez częste napomknienia: a wiesz, ciocia Marysia to, a wiesz, wuj Zbyszek tamto. Niekiedy spotykałam tych bliższych oraz dalszych pociotków i kuzynów, z którymi, choć rzadko ich widywałam, komunikacja stale jednak przebiegała wedle oswojonych przeze mnie wzorów, zawsze dając mi poczucie ciepłej bliskości z ludźmi skądinąd niemal obcymi. Obecność tych częściej spotykanych podczas wakacji, świąt, rocznic, obiadów i podwieczorków, w ogóle wszelkiego typu „okazji”, których szukano i chętnie je aranżowano, ciotek i wujów oraz ich przeważnie licznej progenitury – była jak bezpieczne gniazdo, z którego potem zaczęłam się niebacznie wychylać i w końcu wypadałam. Długo jednak chroniło mnie ono przed wieloma dopustami tamtego,

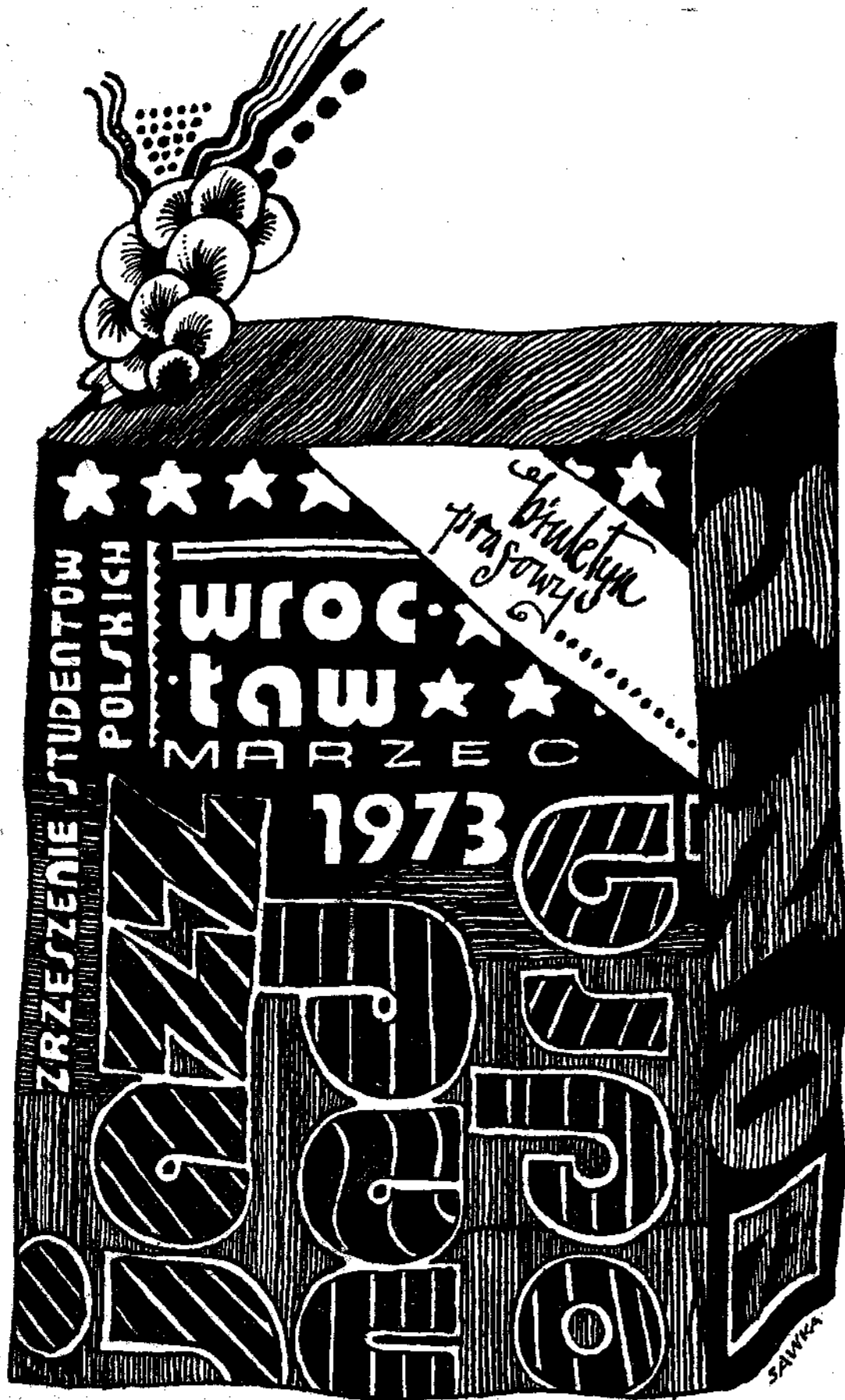
trudnego i nieprzyjaznego świata. Dopiero trochę później zderzyłam się z innymi, bardziej „kanciastymi” formami międzyludzkich relacji.

Podobnie, czyli jakoś znajomo czułam się z Kłoczowskimi, którzy przecież nie byli naszą rodziną, mieścili się jednak w spectrum ludzi hołdujących podobnym obyczajom i porozumiewających się wedle zbliżonego modelu. Wtedy, po owej napiętej wymianie zdań z Dudeczkiem na temat cukru, po mojej prawej stronie, czyli u góry stołu, co pamiętam (czemu tamtego dnia przy kolacji nawet układ osób przy stole?), wujek Jurek je lewą ręką, prowadząc przy tym rozmowę z dziećmi i żoną, zawsze o sprawach niebłażych (dzieci są w dyskusję wciągane i zachęcanie do wyrażania własnych sądów, ja także). Brzmi mi jeszcze w uszach donośny, energiczny, jakby stale zaaferowany tembr jego głosu. Pewno na skali mieściłby się jako baryton charakterystyczny. Ona, dla mnie ciocia Krysia, mówi szybciej, też bardzo temperamentnie, i smaruje mu chleb, bo Jerzy Kłoczowski nie ma prawej ręki, którą jako chłopak stracił w powstaniu warszawskim. Przeszła mu wtedy przez ramię karabinowa seria, ale zdaje mi się wówczas, kiedy tam siedzę, że poza smarowaniem chleba masłem w niczym mu to nie przeszkadza. Nie ma żadnego użalania się ani jego nad sobą, ani innych nad nim. Po prostu życie toczy swe wody, tak jak pozwala mu na to aktualny kształt łóżyska. Choć mnie niezmiennie intryguje: jak to jest bez ręki? A mycie i ubieranie? Ale w tym samym mniej więcej okresie, podczas wakacji, które spędzałam z moją przyjaciółką Kamilą u siostr zakonnych, chyba szarytek, w Krężnicy (dlaczego nie w Milechowach?), spotkałam chłopaka bez obu rąk i widziałam, jak kikutami ramion wykonuje różne codzienne, dość skomplikowane czynności. Nie wydawał się potrzebować niczyjej pomocy. A pływał lepiej niż cała gromada dzieciaków i młodzieży, do której należał, znacznie lepiej niż ja. Byłam pełna podziwu. Ciekawiło mnie kalectwo jako odmienność, ale też jako skaza na pięknie i harmonii. Byłam chyba przeczulona na tym punkcie. W tamtych latach widzę czasem, jak wuj Jurek pisze w gabinecie, trzymając pióro w lewej dłoni. Nauczył się tego szybko po stracie tej zazwyczaj delegowanej do precyzyjnych czynności. A pisze dużo jako historyk. Robi to zapewne stale, kiedy nie wyklada albo nie czyta dzieciom *Potopu*, czego bywam uczestniczką, a do czego jego baryton jest w sam raz. I nie wtedy, kiedy idzie na wycieczkę w góry, co dzieje się wówczas, gdy cała rodzina jedzie do Cichego na wakacje, do prostej góralskiej chaty, którą wszyscy kochają.

Góry

To tam, w górach, pozna ich, Kłoczowskich, moja młodziutka jeszcze nie mama, więc to jest jej wspomnienie, ale trochę jakby i moje, bo ona będzie mi o tym opowiadać, i do Cichego sama też potem dotrę (ale to już poza obrębem tej opowieści), zdaje mi się, że widzę ją, gdy tam stoi uśmiechnięta, w spodniach koloru sarny. Tak mi powiedziała. Ale potem chyba sama zapomniała, jaki to był kolor. Teraz już nie możemy tego ustalić z całą pewnością. Wspomnienia nie są stabilne. Kim więc jesteśmy, jeżeli nawet nasza pamięć jest niepewna? W skrajnych przypadkach, jak zespół Korsakowa, pamięć po prostu przestaje istnieć. Oliver Sacks opowiada o Zagubionym marynarzu, mężczyźnie, którego wspomnienia obejmują kilka sekund wstecz i który po ich upływie nie może już sobie przypomnieć tego, co mija. W pewnym sensie wciąż od nowa rozpoczyna życie. Zachowuje tylko wczesną pamięć sprzed trzydziestu lat, o których jednak nie ma pojęcia, że minęły. Choć już siwy, jest sam dla siebie młodzieńcem z chwili, kiedy jego pamiętanie „zacięło się”. Tkwi w odizolowanym momencie bytu, wedle określenia Sacks’a otoczony olbrzymią fosą niepamięci. Kim jest ten ktoś, pyta sam siebie lekarz i przywołuje słowa innego wybitnego neuropsychiatry, Aleksandra Łurii: „Człowiek nie składa się tylko z pamięci. Ma jeszcze uczucia, wolę, wrażliwość, moralność”. Marynarza Sacks’a integrowała do pewnego stopnia modlitwa i słuchanie muzyki, jakiś rodzaj narracji w nich obecny. W pewnym sensie były jego schronieniem i miejscem. I może w pewnym stopniu wszyscy nadrabiamy narracją braki w pamięci, która w ciągłym procesie opowiadania zyskuje pozorną ciągłość i spójność, tworzy sensowne dla nas „łańcuchy zdarzeń” (używając pojęcia Edwarda T. Halla), po których ogniwach podążamy, choć przecież nie zapisujemy życia chwila po chwili, ale łącimy niebywałe w niej dziury tym, co akurat mamy pod ręką. Ale, jak pisze Byung-Chul Han, mój ulubiony niemiecki filozof o koreańskich korzeniach, „ten, kto chce opowiadać lub wspominać, musi najpierw zapomnieć lub umieć opuścić”. I wydaje mi się, że to jest mój przypadek: na pewien czas zapomniałam albo opuściłam moją przeszłość. Może to teraz pomaga?

Jak rozległe są moje „fosy niepamięci”? Na ile utrzymuję ciągłość zachowanych zdarzeń, odczuć i obrazów? Wedle jakiego systemu odtwarzam rzeczywistość? A moje uczucia, wola, wrażliwość i moralność jak wpływają na jej odtwarzanie? Przecież na pewno to robią. A może raczej tkwią właśnie w obszarach zapomnienia? Nie cierpię jak marynarz Sacks’a na zespół Korsakowa, rzadki poalkoholowy syndrom utraty pamięci, a jednak to Oliver Sacks, Siergiej Korsakow i Aleksander Łuria każą mi nieco wątpić o jej roli jako gorsetu trzymającego w ryzach „ja”, poza tym labilne i krnąbrne. Przecież nie ma sposobu, by ocenić, co przeciekło przez rzadkie sito zapisu wspomnień. Mam w podejrzeniu pamięć jako spójny system, tak zbiorową,



ZRZESZENIE STUDENTOW
POLSKICH

wrocław
MARZEC

1973

WIELKA

wrocławskie
prawowycze

SAVKA

opatrzoną stemplem wiarygodności i naukowości, jak i osobistą. Wierzę raczej Derridzie, że „przeszłość jest dziurawa, teraźniejszość prowizoryczna, przyszłość nieznana” i jedynie nasze uzurpacje do wiedzy pewnej, a także marzenie o wszechmocy każą nam myśleć inaczej. Także zwykła głupota i intelektualne wygodnictwo podpowiadające, że jest wyłącznie to, co bezpośrednio obecne, widoczne. I „tylko narracja może nam pomóc w zrozumieniu czegokolwiek”, powiada Sontag, a Proust w Czasie odnalezionym dodaje, że zadaniem narratora jest ratowanie przeszłości. Dlatego próbuję składać te strzępki opowieści, nie wiadomo czyich, i nizać z nich kolejną opowieść.

Czy to ja pamiętam lepiej kolor spodni mojej mamy, których nigdy nie widziałam, czy w ogóle wszystko nam się pomieszało w nieustającym procesie przekazywania wspomnień? I każde z nich je przywołuje jako dziurawą prowizorkę, dalej za Derridą idąc, czyli amalgamat niejasności, który jednak jest zawartością mojej głowy, i czymże innym miałbym się w tej opowieści posługiwać. Ale ona, moja matka, młodziutka studentka polonistyki warszawskiej, śmieje się prawie na pewno w tamtej chwili przed ponad sześćdziesięciu laty, zwykle robiła to często, dopóki życie nie stało się zbyt trudne, zresztą i potem bardzo się starała uśmiechać. Do Kłoczowskich przyprowadził ją wtedy Krystyn po jakiejś górskiej eskapadzie, nocowaniu w szałasach i kolebach, a w najlepszym razie w schroniskach PTTK, na zbiorowych salach. Zeszli więc w dół, żeby odpocząć, i tam ta rodzina: radosna, chwilowo dzięki górom wolna od nędznej i szarej codzienności, skoncentrowana na życiu, a nie na pozyskiwaniu rzeczy, pełna energii, z czwórką małych dzieci i wodą w balijce do ich mycia, kawą zbożową na śniadanie, z siennikami do spania. Janek na ręku u Krysi, Isia trochę starsza, najstarsi Piotrek i Paweł rozdokazywani, organizują jakieś zawody sportowe i konkursy. U Kłoczowskich jest mamie „miło, ciepło, interesująco, bezpiecznie”. Tak opowiada. Tam także pomyślała, że „mieć rodzinę to wielkie szczęście i że chciałaby mieć podobną do tej tutaj”. No więc Kłoczowscy mieli swój niezamierzony udział w powołaniu mnie do życia. Jest 1960 rok, dopiero za dwa lata urodzi się im Ania, moja rówieśnica, z którą będziemy bawić się potem w Lublinie. Ja – za trzy.

Mama kochała góry. Może w tamtym czasie, gdy nic nie było w sensie materialnym, a przynajmniej ona nic nie miała, wyzuta z miejsca, tułająca się po nędznych sublokatorskich pokojach, półsierota z ziemiańskiej rodziny, a więc tępiona przez system bardziej niż inni, Tatry były dla niej innym światem, gdzie znajdowała wolność, piękno i przyjaznych ludzi, gdzie przekraczała normy – choć nigdy za bardzo – pijąc z jakimś Słowakami bimbler, a z Czechami piwo i czując płynący strumień życia, a nie tylko sekwencje codziennych obowiązków, gdzie przez chwilę nie było ponurej codzienności lat sześćdziesiątych w Warszawie (a żyła bardzo ubogo jako dziecko bez ojca z czwórką rodzeństwa i matką na skraju wyczerpania powojenną poniewierką), upokarzającej walki o przetrwanie i nieakceptowanego przez nią systemu wartości, co obejmowało także poglądy na rodzinę i małżeństwo. W jakimś sensie góry – skały, piargi, strome ścieżki – na które w trudzie należało się wdrapywać i bardzo się starać, by w nich przetrwać, pomagały przekraczać „góry” powszednich przeciwności losu. A przyjaźń z Kłoczowskimi, którzy wtedy uosabiali

dla niej tę wolność i byli wzorem rodziny – przeszła później trochę i na mnie, bo kiedy już trafiliśmy w naszym wędrownym życiu do Lublina, gdzie oni mieszkali, wedle moich ówczesnych pojęć od zawsze, na wysokim, chyba czwartym piętrze, gdzie trzeba się było wdrapywać jak w górach do Cichego, w kamienicy należącej do KUL-u, na którym pracował wuj, to ich zagrożone mieszkanie było dla wszystkich pokoleń obu rodzin (i wielu innych rodzin również) miejscem, gdzie świat zyskiwał harmonię i równowagę, choć poza tym – wiadomo – był nieobliczalny, biedny i często wrogi. Nie wiem zresztą, jak to było z dorosłymi, ale ja miałam w ich dużej kuchni, w pokojach wśród książek, których było tam mnóstwo, łóżek, których też było wiele, bo w trzech sypialniach, jak byśmy to dziś określili, mieszkało tam siedem osób (ósmy w tym gronie Dudeczek miał osobny, mały pokój przy kuchni, służbówkę) z odpowiednią do nich ilością stolików i krzeseł, bo wymagała tego praca intelektualna praktykowana od maleńkości przez wszystkich członków rodziny na różne sposoby, a wszechobecność takich praktyk wydawała się nam wszystkim czymś absolutnie naturalnym, no więc miałam tam poczucie, że to jest prawdziwy dom, co jakoś interesująco łączy się z mamy wzorowaniem się na modelu rodzinnym tu pielęgowanym.

Tata również lubił góry, tylko wybierał niższe niż mama, czego dał dowód, gdy w swoim wypełnionym po brzegi życiu znalazł w roku 1972 czas, by wyjechać ze mną do Szczawnicy, co zresztą nie było planowane jako czysta rekreacja, ale jako pobyt zdrowotny, tak dla mnie, jak i dla niego. Ufał, jak mi się zdaje, przyrodolecznictwu, czego powód tkwił zapewne w jego własnym dzieciństwie, gdy to w obawie przed gruźlicą wysyłano go do Rabki. Dlatego pewno i my, tam, czyli do Rabki właśnie trafiliśmy – ja i mój dwuletni wtedy brat – w 1969 roku, zimą, najpierw na miesiąc z mamą, do jakiegoś wynajętego pokoju, potem na kolejny, już bez mamy, do pobliskiego domu sióstr urszulanek, co zapamiętałam z wieloma szczegółami, z których najbardziej zachwycał mnie stół elegancko nakryty do każdego posiłku oraz obyczaj podawania soku porzeczkowego do herbaty, czego główną przyczyną była, jak mniemam, obecność przy obiedzie księdza kapelana, którego zakonnicie bardzo hołubiły. Rubinowy, gęsty syrop wydzielał leciutką woń obfitości lata, wydobywając się z białego, porcelanowego dzbanuszka, czekając, aż po ten obłoczek i delikatny uchwyt sięgnie wypielęgowana dłoń kapłana, co, jak mi się zdaje, pamiętam, a nie dopisuję po latach tej historii. Tamtejsze góry przyjmowały dla mnie wtedy głównie postać spadzistej drogi w Rabce, z której zjeżdżałam na sankach i niewielkich nartach. Ten drugi miesiąc pobytu zawierał też w sobie Wielkanoc, która robiła na mnie, sześciolatniej wtedy, wielkie wrażenie w góralskim wydaniu z olbrzymimi palmami i procesją, a w której znacznie później znalazłam podobieństwo do pochodów Petera Schumanna i jego ponadnaturalnej wielkości kukieł oraz z obrządkami Wielkiego Tygodnia, także przypominającymi teatr, choć o misteriach średniowiecznych nie miałam wtedy oczywiście bladego pojęcia. Jakimś jego wydaniem w wersji object puppetry był też w Wielką Sobotę stół zastawiony u zakonnic do święconego, które traktował kropidłem ten sam, spotykany przy obiedzie ksiądz kapelan – cała olbrzymia makieta inscenizacji mogącej zapewne nosić tytuł Chrystus zmartwychwstał, z barankami, kurami, martwymi naturami z jaj i wędlin, bukszpanem, solą

w ślicznych naczynkach oraz kolorowymi mazurkami i babami w kilku gatunkach, kusząca różowością szynek, ostrymi kontrastami żółtka i białka, dramatycznym fioletem ćwikły, podbarwianymi szafranem odcieniami ciast, a wszystko to jeszcze przebrane czerwonymi chorągiewkami. Tak było za dnia, czyli ciekawie i przyjemnie, ale w nocy nie mogłam spać, wyobrażając sobie wypadki, którym ulegają moi rodzice i pozostawiają mnie na zawsze w, co prawda wykrochmalonej i pachnącej, ale jednak obcej pościeli zakonnice, w której leżąc, na wszelki wypadek starałam się przybierać pozę świętej na katafalku z dłońmi złożonymi modlitewnie. W końcu jednak przyjechali, cali i zdrowi, i zabrali nas na powrót do Lublina. Doznałam wielkiej ulgi – raz dlatego, że jakoś przeżyli wszystkie imaginowane przeze mnie katastrofy, dwa, że nie musiałam się już dłużej wstydzić grymasów braciszka, który odmawiał siostronom jedzenia buraczków i wszelkich w ogóle jarzyn. A działa się to przy innych dzieciach, bo zakonnice miały tam niewielkie przedszkole i po wyjeździe mamy w nim nas socjalizowały. Pamiętam je w habitach i welonach, tkwiące nad nim – zaciskającym buzię blondynkiem – z łyżką, przy niziutkim przedszkolnym stolicku, usiłujące go nakarmić, i moje zażenowanie, że tak się (jak on) nie postępuje. Przy całym bowiem rebelianctwie miałem, od kiedy pamiętam, w wysokim stopniu szacunek dla obyczajów, szczególnie tych ze stołem i pokarmami związanych. On natomiast przez całe dzieciństwo był grymaśnikiem i mnie, jedzącą w zasadzie wszystko, strasznie to złościło.

W Szczawnicy, z ojcem, trzy lata później, nie było tak spektakularnie, a może właśnie bardziej? Dzięki przestrzeni i krajobrazom górskim albo raczej należałoby powiedzieć, że „teatr” był tam w innym stylu oraz w jesiennym, złocisto-rudym *mise-en-scène*, nie wczesnowiosennym jak w Rabce, kiedy puszczały akurat zimowe lody i zewsząd wyciekały strumyczki, które bardzo lubiłam. W Szczawnicy mieszkaliśmy, podobnie jak przedtem w Rabce, w wynajętym pokoju, gdzie po wszystkich dziennych atrakcjach kładłam się na łóżko i czytałam Anię z Zielonego Wzgórza, co jakoś utkuło mi w pamięci wraz z miednicą, w której odbywałam ranne i wieczorne ablucje; o czymś takim jak pokój z łazienką i prysznicem w ogóle nie mogło być mowy, co naturalnie mnie wtedy nie dziwiło. Pobyt miał być zdrowotny, więc poza jakimiś inhalacjami w pobliskim sanatorium tata zorganizował spływ Dunajcem, liczne wycieczki górskie i wszedł ze mną nawet na najwyższy szczyt Pienin. „Pamiętam – opowiada mi to teraz – nasze wejście na Trzy Korony i chwile spędzone tam, wysoko, na drewnianej platformie, z ogromnym, dalekim widokiem, w powietrzu czystym, choć leciutko zamglonym. Jest wczesne popołudnie, zupełnie cicho, jesteśmy tam sami – i ja mówię ci o pięknie natury stworzonej przez Pana Boga... O jego obecności... A ty słuchasz – i jesteśmy w tym razem, blisko, ojciec i córka, i dokoła jest tak pięknie...” Tego ostatniego, o Bogu, nie pamiętam, ale nowe dla mnie widoki – tak, i bliskość taty, i wspinanie się na wysoką dla mnie górę z mijanymi po drodze górkami, sprzedającymi spragnionym turystom maślanek albo kompot nabierane do metalowych kubków z dużych wiader, które wносиły niekiedy bardzo wysoko na szlak (nie istniały wtedy plastikowe butelki z napojami ani kioski, w których by można je nabyć), i jeszcze próby wdrożenia lokalnej sprzedawczyni rurek z kremem do kapitalistycznego systemu przez ojca. Siedziała, z raczej ponurą miną, w jakimś

lichem okienku, na które zawsze trafialiśmy po drodze z sanatoryjnych zabiegów do domu. Rurki kosztowały dwa złote, tata obiecał jej, że będziemy je kupowali codziennie przez dwa tygodnie, jeśli sprzeda nam dwie rurki za trzy złote. Ona nie dała się przekonać, była zdaje się trochę przestraszona, a trochę zła z powodu dziwnej propozycji pana z brodą (ojciec był wtedy w fazie lekko hipisowskiej), ale ja otrzymałam lekcję praw wolnego rynku z szerokim taty komentarzem. Jakoś szczególnie intensywnie zapadło mi to w pamięć wraz z poczuciem lekkiego zażenowania, że w ogóle można takie targi uprawiać. Nikt tak przecież wtedy na co dzień nie postępował. Wraz z architekturą tego regionu, odmienną od wszelkiej dotychczas widywanej, pobyt tam miał dla mnie coś z żywego spektaklu, w który można wejść i stać się jego postacią, całkiem innego niż te widywane w teatrze, w którym zwykle pracował ojciec.

Jeszcze jednym wczesnym doświadczeniem gór był dla mnie pobyt w sanatorium w Rymanowie, już bez rodziców. Chyba miałam wtedy jedenaście lat, był rok 1974. Kuracja miała wybawić mnie od nawracających chorób górnych dróg oddechowych. I to miejsce także, nie wiem, na ile świadomie, zostało wybrane rodzinnym kluczem, bo jeszcze przed pierwszą wojną światową spędzali tam tygodnie w poszukiwaniu zdrowia mój dziadek Julek i jego bracia, Jerzy i Kazimierz, rozrabiając zdaje się niewąsko, a także koncertowała tam dla kuracjuszy moja cioteczna prababka Wiktoria Choroszevska. Rymanów we wczesnych lat siedemdziesiątych nie był już tym kurortem, co wtedy, kiedy po promenadach przechadzały się damy o wąskich dzięki gorsetom taliach, w kapeluszach, na których chwiały się rajery, a ich niesforne dzieci grały w serso, ale ja nie zdawałam sobie z tego sprawy. Za to o nas, sanatoryjne dzieci epoki realnego socjalizmu, dbano bardzo, jak na owe skromne czasy, karmiąc szynką, czekoladą i pomarańczami, czyli delikatesami, skrzętnie notując naszą wagę codziennie rano, aplikując tyle zabiegów przyrodoleczniczych, ile się dało, i organizując różne atrakcje. Poza spacerami zawieziono nas na przykład pod pomnik generała Karola Świerczewskiego w Jąbłonkach, gdzie zginął był z rąk Ukraińskiej Powstańczej Armii. Tak nas w każdym razie wtedy uczono, dodając masę wiadomości o jego losach jako bohatera wojny w Hiszpanii oraz gieroja Związku Radzieckiego i Polski Ludowej. Monument, pod którym śpiewaliśmy pewnego wiosennego dnia na cześć generała „Waltera”, stojąc w zbitym stadku, już dziś nie istnieje, czego dowiaduję się z internetu, zburzony w 2018 roku w efekcie wprowadzenia ustawy dekomunizacyjnej. Upolitycznienie obejmowało wtedy nie tylko szkołę, ale i zakłady opieki zdrowotnej (stosowne pogadanki serwowano nam zaraz po śniadaniu) i było skuteczne do tego stopnia, że do teraz pamiętam pierwsze frazy pieśni pod tytułem Serce generała Waltera, ułożonej, jak sprawdzam w tej chwili, przez Roberta Stillera (gdyby tylko wiedział, ten zdolny skądinąd facet, co to będzie oznaczać w jego biogramie): „Ziemia spadła na ciało, / zapachniała jak senny las, / ale serce zostało, / na przedmieściach hiszpańskich miast. / Ale serce szło z wojskiem, / zasłuchane w wołzański las” – i tak dalej, jeszcze wiele zwrotek. Melodia i słowa wydawały mi się przejmujące, podobnie jak inne pieśni o wojnie w Hiszpanii, które tam posiadałam. „Asturio, ziemio mych młodych dni, Asturio, ziemio jedyna...” też brzmi mi w głowie do dzisiaj, co oznaczałoby

być może, że indoktrynacja tamtych lat była bardzo efektywna, a powiedzenie, że „wiara góry przenosi”, nadaje się do opisu starań ówczesnej władzy, której udało się pokonać nawet mój dziecięcy opór wobec wszelkich prób agitacji. Po prawdzie wszystko było wtedy jakieś rozmazane w tym względzie, podobnie do wspomnień mieszały się ze sobą piękno rewolucyjnych pieśni, smak sanatoryjnych słodczy i fascynujące mnie ciało szesnastoletniej Ewy, z którą umieszczano mnie zawsze podczas zabiegu o nazwie „bicze wodne” w jednej kabinie. Miałam pięć lat mniej niż ona i zazdrościłam jej talii, okrągłych bioder i kobiecych piersi. Patrzyłam na nią. Pamiętam do dziś jej kremową barwę na tle seledynowych kafelków. I one, i skóra Ewy lśniły od wody wzmacniającej ich odcień, jak to się dzieje nad morzem, gdy kamyki świeżo oblane falą stają się drogocenne, wysychając na wietrze, sprawiają natomiast zawód. Mojego wspomnienia nie zmienił jednak żaden powiew, nie ruszałam go od tamtych czasów, czekało na mnie pod powierzchnią słów, za pomocą których dziś je oglądam.

Rysunek na łamach „THE NEW YORK TIMESA”, 1978

Mugged in Moscow

By Angela Stent Yergin

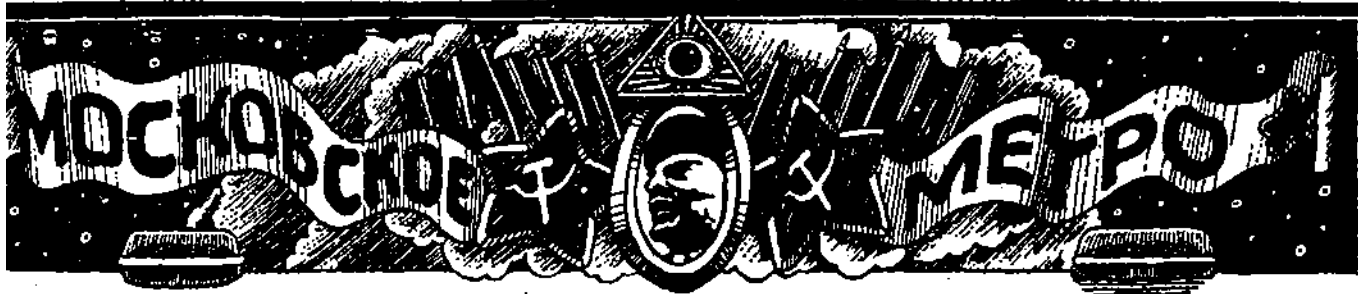
ut he could not give it to me yet, explained. He had to get it from police station. Could I meet him e time, same place, tomorrow? Sure."

returned the next evening to the way station, only to find that my

blond policeman now had a colleague with him. They were standing by the phone booth where my money had disappeared. They reported that no money had been stolen in the half hour since they had been standing there. The two policemen led me back

to the little room—but all I had do was take the *spravka* and leave.

The blond policeman looked serious as he broke the news to me. He could not write me a *spravka* because I was a foreigner. I insisted that I had have something for the customs.



STANISŁAW MELSKI

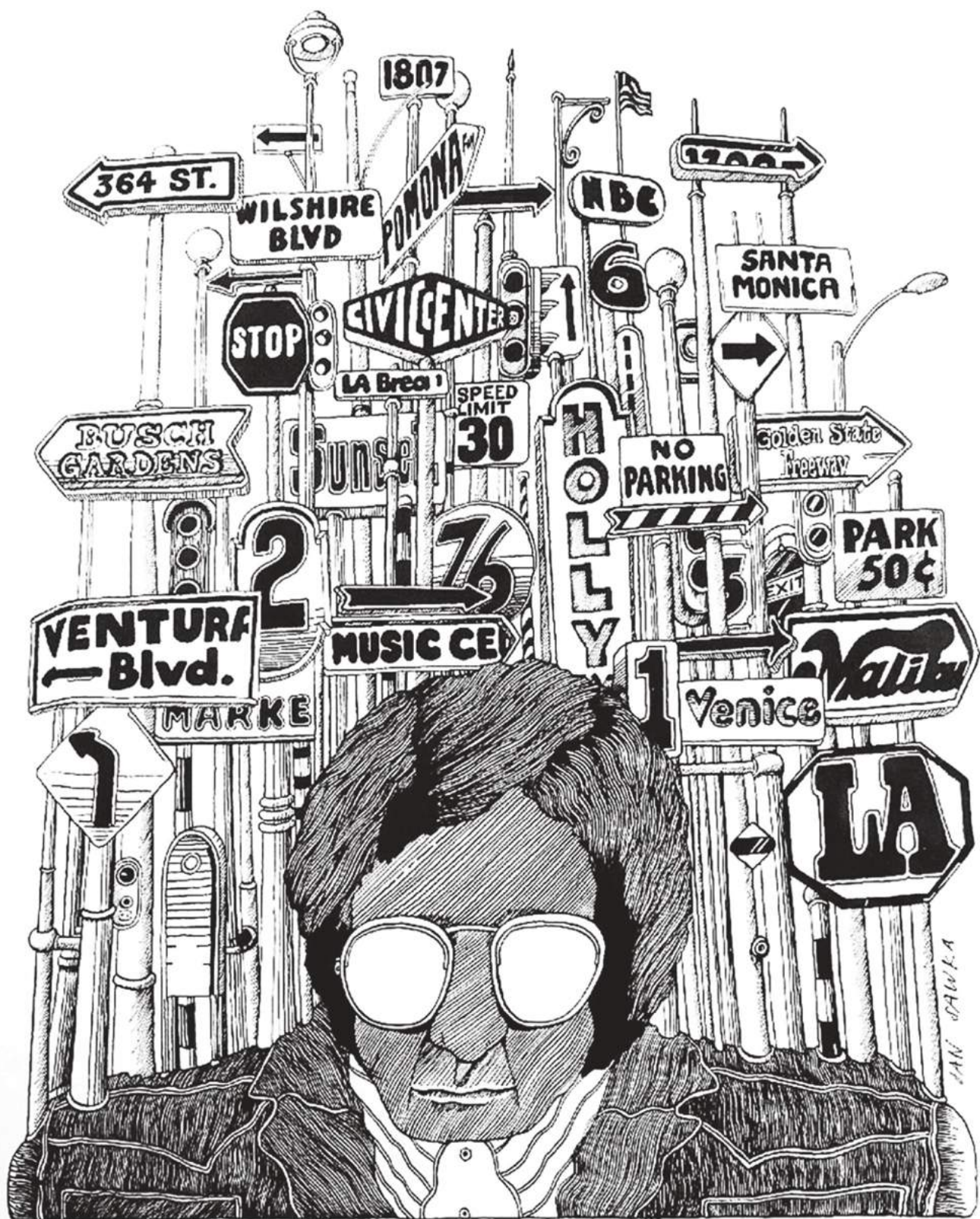
Na Rafała Wojaczka

Drogi Rafale
Nie spotkałem cię nigdy
W tramwaju na ulicy w knajpie
Nie podałem ci ręki
Nie słyszałem twojego głosu
Nie wiedziałem czy jesteś wysoki
Czy niski
Jakie palisz papierosy
Jaką pijesz wódkę
Jakie podobają ci się kobiety
A jakie kochasz
Byłem za młody
Młodością naprawdę durną
I niekoniecznie chmurną
Zadżumiony małą stabilizacją
I wierszami Broniewskiego
Chłonałem z przyjaciółmi
Twoje strofy pachnące
Sperma i ekskrementami
A przede wszystkim
Beznadzieją i buntem
Które nagle stały się
Naszym wyznaniem wiary
I naszą cierniową koroną
Mierzoną bezwiednie
Kieliszkami wypitej wódki

Na obraz i podobieństwo
Twojego upadku
I twojej drogi krzyżowej
Która nie skończyła się
Na Golgocie wśród łotrów
Ale na śmietniku łóżka
W samotności i poniżeniu
Droga Bursy i Bruna
Okazała się pułapką
Inni poeci drukowali
Pili wódkę bez miary
Brylowali na spotkaniach
I żyli od słowa do słowa
Często żywiąc się twoją legendą
Też ich czytaliśmy
Ale ty byłeś nieuchwytny
W swoim zatraceniu
Niezastąpiony bóg destrukcji
W szponach upodlenia
Tacy chcieliśmy być
Mimo wszystko
Chcieliśmy umierać szybko
Zapijaczeni i brudni
Bez skrzydeł i aureoli
Które wokół ciebie
Walały się bez liku

Kiedy kroczyłeś ciemną doliną
Zapomniawszy o Bogu
Z Matką Boską Królową Polski
Na ustach i w sercu
Wielki pod warunkiem
Że szybko umrzesz
Drogi Rafale
Kiedy stoję nad twoim grobem
Czasami myślę
Że może trzeba go odkopać
I sprawdzić kieszenie
Podłego garniturka
W którym cię pochowano
Czy nie pozostało w nich
Kilka wierszy
Których nawet ty się bałeś
Przeczytać komukolwiek
I nam dać nadzieję
Że przeżyjemy w spokoju
Jeszcze jeden Sezon
W Innej Bajce

Ilustracja bez tytułu, 1978



Cement

Woń cementu; zawieszony w powietrzu cementowy pył. Cały ten budowlany bajzel, tak charakterystyczny dla późnego peerelowskiego socjalizmu.

Czy warto cofać się do połowy lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku? W gruncie rzeczy – ubiegłego tysiąclecia! Może to jednak nie tak dawno, w końcu pogodne lato, które mamy teraz, niewiele różni się od pogodnego lata roku 1986...

Nim pojawiłem się na wspomnianej budowie, znałem to miejsce, ale z czasów o wiele wcześniejszych. Wtedy zaś (szczególnie w porównaniu z teraźniejszością) wydawało mi się tak odległe od oswojonego Śródmieścia mojego miasta, jak – nie przymierzając – Alfa Centauri od Słońca.

Wyprawa tramwajem – z przystanku na Jedności Narodowej (ulicę o takiej nazwie można było znaleźć w prawie każdym ówczesnym mieście) – zdawała się trwać nie godzinę, ale dzień cały, a przemieszczanie się przez ścisłe centrum było dla mnie niczym podróż między drapaczami chmur Manhattanu. Prawdziwa przygoda rozpoczynała się jednak dalej, za ogromnym placem 1 Maja (taki plac już z pewnością znajdował się w każdej miejscowości), gdzie podzwaniający wesoło wagon wjeżdżał na ciągnącą się w nieskończoność płaszczyznę znaczoną resztkami gruzu ze zburzonych domów.

Te dzikie pola, wypalone, wyjałowione wapnem i cementem, bardzo skąpo porastała trawa i rachityczne krzewy. Zdarzały się tam co prawda pojedyncze budynki czy pozostałości jakichś zabudowań, ale ich stan idealnie wpisywał się w bezdusność tego obszaru. Jedynym elementem księżycowego krajobrazu wykraczającym poza ogólnie dominującą stylistykę szarości był szyld na którymś z nielicznych ocalałych obiektów, gdzie mieściła się spółdzielnia produkująca zabawki. Kolorowe litery tworzyły nic nie mówiącą nazwę „Palart”.

Jak powiedziano, droga była daleka, lecz linia tramwajowa nie kończyła się na przystanku, gdzie wysiadałem. Ciągnęła się dalej w kierunku nieznanej mi jeszcze wtedy krainy, będącej odległą dzielnicą miasta, sprawiającą wrażenie osobnej, małej miejscowości. Gdy po raz pierwszy tam zawitałem – już naprawdę nie pamiętam, z jakiego powodu – zdumiało mnie, że prowadził tam tylko jeden tor tramwajowy z fikuśnymi mijankami.

Tymczasem mój przystanek znajdował się w połowie tej trasy, przy bramie głównej nieistniejącego już dzisiaj lotniska aeroklubu. Stało tutaj coś, co za każdym razem robiło na mnie (wtedy małym chłopcu) ogromne wrażenie – ustawiony na masywnym cokole srebrzysty samolot odrzutowy. Zapewne była to słynna Iskra, spotykana na ówczesnym niebie zdecydowanie częściej niż jednostki pasażerskie, których nie

widowało się prawie wcale. Niemniej w okolicach tamtego lotniska często latały małe, ćwiczebne samoloty ciągnące za sobą szybowce lub wynoszące pod niebo spadochroniarzy. Godzinami mogłem wpatrywać się w szare czasze, zawieszone w przestrzeni niczym morskie meduzy.

Z tego miejsca szło się szeroką cmentarną aleją, mijając po lewej stronie tajemnicze fragmenty betonowej konstrukcji. Dużo później dowiedziałem się, że były to pozostałości domu pogrzebowego projektu samego Richarda Konwiarza, twórcy kilku szpecących moje miasto ogromnych schronów przeciwlotniczych (zwanych przez mieszkańców bunkrami), na które musiano zużyć nieprawdopodobne ilości stali zbrojeniowej, kruszywa, a przede wszystkim – cementu. Rząd ustawionych w łuk betonowych słupów pozostałych po cmentarnym obiekcie nie budził żadnych emocji; stanowił dla mnie tylko szereg kolumn, między którymi można było się przechadzać lub biegać. Stare cmentarze – spowite bluszczem jak ciemnozielonym kirem – jawiły się niczym usytuowane wprost pod niebem rozległe sale muzealne, gdzie z trudem dawało się odczytać tabliczki informacyjne na równo ułożonych, podobnych do siebie eksponatach.

Dalej – przecinało się pięknie wybrukowaną, ułożoną w nieskazitelny łuk jezdnię, za którą rozpoczynała się czarna, żuźłowa droga; jej szorstkość nie jeden raz odczuły moje kolana. Po prawej stronie stała kaplica cmentarna z czerwonej cegły, po lewej dom i niewielka szklarnia, a za nią rozciągał się obszar ogródków działkowych. Jednym z nich zajmowała się moja babcia.

Kiedy zatem – po latach nieobecności – pojechałem tam, żywiłem nadzieję, że bez trudu rozpoznam miejsca zapamiętane z dzieciństwa, a w szczególności to, gdzie znajdował się bajkowy ogródek. Los okazał się jednak srogi i nie dość, że zabrał mi ukochaną babcię, to również po działce, gdzie rosły słodkie czereśnie i zimujące gruszki, nie było śladu. Za to wszędzie dominowała woń cementu; zawieszony w powietrzu cementowy pył.

Tak wiele razy bywałem tu wcześniej, iż miałem nadzieję, że chwilowa dezorientacja wywołana chaosem, jaki tu zastałem, minie, ale się myliłem. Obszar, na którym już stały bloki, oraz ten, gdzie trwała budowa następnych, był bardzo rozległy. Poza tym, przeprowadzono tutaj – diametralnie zmieniając krajobraz – ogromne roboty ziemne. Miałem wrażenie, że wcześniej teren stanowił płaszczyznę, gdy tymczasem teraz znaczyły go wypiętrzenia, wklęsnięcia i łączące je zgrabnie uformowane skarpy. Nie byłem w stanie zlokalizować niczego oprócz wymienionej wcześniej ceglano-czerwonej kaplicy, która zresztą też wydała mi się przeniesiona w inne miejsce.

Rzecz jasna, nieprzypadkowo pojawiłem się na wrocławskim Kozanowie Anno Domini 1986. Z pełną premedytacją zatrudniłem się w przedsiębiorstwie budowlanym wznoszącym to osiedle, licząc na to, że dostanę mieszkanie w jednym z nowych bloków. Nie, nie mam najmniejszej ochoty rozwodzić się na temat sytuacji mieszkaniowej w minionej epoce i o licznych (a może raczej nielicznych) sposobach na otrzymanie własnego M (jak to się niegdyś określało). Praca w budownictwie taką szansę dawała.

Łatwo się domyślić, że nie miałem swojego kąta. W związku z tym wynajmowałem mieszkanie w pewnej poszczerbionej przez ostatnią wojnę kamienicy we wspo-

mnianym już Śródmieściu, gdzie – kilka ulic dalej – spędziłem swoje szczęśliwe (jak to zwykle mawiamy) dzieciństwo. Owa tymczasowa kwatera miała nawet swoisty urok, który zapewniały zwałiste piece i okna wychodzące na zaniedbane podwórze. To „tylne” położenie miało jednak swoje zalety. Nie dochodził do mnie uliczny zgiełk, a kiedy nastawało upalne lato, bez zarzutu działała naturalna klimatyzacja zakłeta w grubości ceglanych murów ułożonych przez dobrych niemieckich majstrów. Ubóstwo tego miejsca nieszczególnie mi doskwierało, a jedynym jego mankamentem było to, że nie należało do mnie, w związku z czym musiałem za nie słono płacić. Perspektywa otrzymania lokalu na własność – dzięki pracy w przedsiębiorstwie budowlanym – dawała więc szansę ustabilizowania mojego ze wszech miar nieustabilizowanego życia.

Jedynie przyzwyczajenie do starych kamienic (począwszy od tej, w której się urodziłem, po tę, w której mieszkalem obecnie) stanowiło pewien dylemat związany z ewentualną koniecznością zamiany ceglanych ścian na betonowe, a kilkunastu zaledwie sąsiadów – na przynajmniej setkę. Dochodziła do tego spora odległość od środka miasta, gdzie co prawda nie działo się tak wiele jak dzisiaj, lecz życie metropolii – jakie by nie było – zawsze skupiało się w jej centrum. Profilaktycznie starałem się nie myśleć ani o mankamentach, ani o niewątpliwych zaletach otrzymania mieszkania, aby – jak to się ładnie czasem mówi – pochopnie nie dzielić skóry na niedźwiedziu.

W wynajmowanym mieszkaniu żyło się nieźle, chociaż gdy nastawały chłody, należało wybrać się do piwnicy po węgiel. Nie była to dla mnie żadna nowość, ale podziemia starej kamienicy charakteryzowały się tak niskimi sklepieniami, że wszystkie czynności musiałem wykonywać z uniżeniem dla żyjących tam szczurów, czyli – schylony. Niemniej chwila, kiedy węgiel w piecu się rozżarzył, a ceramiczne kafle stawały się coraz cieplejsze, warta była wysiłku potrzebnego do wniesienia na drugie piętro pełnych kubeków wałbrzyskiego antracytu. Pojawiająca się wtedy błogość, jaką wywołuje ciepło własnoręcznie roznieconego ognia, trwa zapewne w ludzkich genach od czasów spędzonych przez nasz rodzaj w jaskiniach.

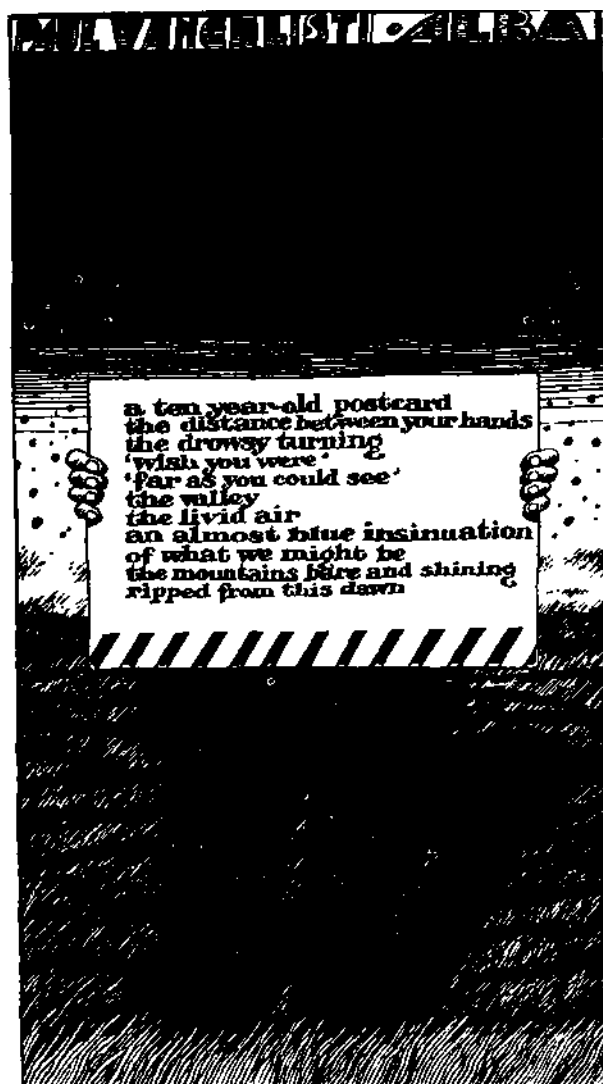
Pewnego wieczoru ułożyłem na palenisku zdecydowanie większą porcję drewna niż zwykle. Nadchodząca noc i trzaskające szczapy w otwartych drzwiczkach pieca przemieniły nagle ubogi pokój w starej kamienicy w przytulne wnętrze salonu myśliwskiego w małym dworku. O ile pamiętam, wisiało tam nawet – co prawda niewielkie – poroże jakiegoś zwierzaka, a ściany „zdobiła” zielonkawa tapeta w wypłowiałe wzory... I wtedy wszedł ten ktoś, kto dzielił ze mną niewygody (i wygody) owego mieszkania. Jakim sposobem miękkie koc zamiast na łóżku znalazł się nagle tuż pod piecem-kominkiem – nie pamiętam. Dość na tym, że potem nastąpiła najpiękniejsza scena miłosna w moim życiu, zaś sen – jedynie pod przykryciem migotliwych błysków żaru promieniującego z paleniska – był najspokojniejszym snem, jakiego kiedykolwiek zaznałem.

Tymczasem żar lał się z nieba nad Kozanowem, choć nieustępliwe promienie słońca musiały przedzierać się przez mączastą zawieszinę cementowego pyłu, jaka spowijała okolice budowy. Nie przekroczyłem jednak głównej bramy i nie zameldowałem się u kierownictwa, ponieważ – o czym później – pojawiłem się tutaj incognito. Z tego

powodu, krążąc po rozległym terenie powstającego osiedla, musiałem wyglądać jak niemogący się doczekać upragnionych kluczy przyszły lokator któregoś ze wznoszonych domów, co w dużym stopniu – przynajmniej taką miałem nadzieję – było zgodne z prawdą.

Ponieważ do rozpoczęcia misji „incognito” miałem jeszcze sporo czasu, powędrowałem na część osiedla oddaną już do użytku. Przedsięwzięta przeze mnie przechadzka była nie tylko sposobem na zabicie czasu. Z chciwością wpatrywałem się w okna mijanych bloków, by choć w ten sposób poczuć, jak to jest zasiedlać własne mieszkanie. Co prawda niczego osobliwego dostrzec tutaj się nie dało, a wnętrza – jeśli okien nie zakrywały firanki – jako żywo przypominały lokale moich znajomych mieszkających w podobnych blokach zbudowanych dekadę wcześniej; niemniej to „podglądnie” sprawiało mi ogromną radość.

Zaskoczony, że nie spotykam na moim rekonesansie szczęśliwych posiadaczy mieszkań, czułem się jak bohater katastroficznego filmu przemierzający wylud-



nione miasto po jakiejś tragedii. I choć z dala dobiegały odgłosy budowy, a niebo przecinały stalowe wysięgniki ogromnych dźwigów, tutaj panował jakiś nienaturalny spokój. Dlatego przeraziło mnie wyraźnie wypowiedziane przez kogoś moje imię. W pierwszej chwili pomyślałem, że na podobną przechadzkę wybrał się ktoś z dyrekcji przedsiębiorstwa, ale szybko uświadomiłem sobie, że zwróciliby się do mnie raczej po nazwisku.

Wtedy dostrzegłem znajomą twarz, która jednak nie pasowała do całej reszty. Ładną buzię kojarzyłem bowiem z nad wyraz szczupłą figurą koleżanki ze szkoły podstawowej. Zamiast chudej nastolatki miałem tymczasem przed sobą harmonijnie zaokrągloną panią w zaawansowanej ciąży; panią bardzo ładną, już choćby z racji tej twarzyczki aniołka nieraz pojawiającej się w moich snach.

Okazało się, że ta spodziewająca się dziecka szkolna koleżanka właśnie tutaj, w jednym z nowych bloków, ma mieszkanie. Ponieważ do godziny, o której miałem rozpocząć pracę, było jeszcze trochę czasu, skorzystałem z niespodziewanego zaproszenia na kawę i dałem się uwieźć szybkiej windzie, która zatrzymała się dopiero na dziesiątym piętrze kozanowskiego drapacza chmur.

Przez cały czas wysłuchiwałem barwnej relacji o zasiedlaniu nowego mieszkania, wiciu gniazdka i o wszystkich związanych z tym przyjemnościach i niedogodnościach. Z tego, co zrozumiałem, mąż mojej ładnej koleżanki był nieźle zapracowany, ale samo zapracowanie w tamtych czasach nie przynosiło przecież wyjątkowych korzyści w dziedzinie finansów czy przyspieszenia czasu oczekiwania na własne M. Tu występował przypadek zapracowania w sferze dewizowej, gdzie nawet znikome zaangażowanie przynosiło korzyści nad wyraz wymierne, a to ze względu na kosmiczne przeliczniki pieniędzy zarabianych tam na tutejsze. Mąż mojej rozmówczyni (a właściwie „monologięczni”) pracował bowiem na eksporcie – jak niegdyś określało się pracę poza granicami kraju.

Zatem tajemnica mieszkania (jak się okazało – własnościowego) została wyjaśniona. Nie zmieniało to faktu, że najpierw przystosowanie lokalu do zamieszkania, a następnie urządzenie go było nie lada wyzwaniem; choć może nie w tym przypadku. Nie jest tajemnicą, że w latach osiemdziesiątych w Polsce wszystkiego brakowało, ale pewien nadmiar gotówki, zwłaszcza gotówki w kolorze zielonym, pozwalał na pominięcie kolejek, jakie ustawiały się na przykład przed sklepami meblowymi w przededniu dostawy.

Tego wszystkiego zdołałem się już dowiedzieć, zanim posadzony zostałem na oryginalnej narożnej kanapie. Kiedy zaś zapachniała kawa (o którą było równie trudno, jak o meble), poczułem się jak u siebie. To znaczy poczułem, jak to będzie, gdy i ja stanę się posiadaczem mieszkania; może nawet gdzieś blisko.

Kawa okazała się wcale nie gorsza niż jej zapach. Koleżanka tymczasem poprosiła mnie o odrobinę cierpliwości, ponieważ, będąc obecnie nieco obszerniejszą – jak to ujęła – niż dawniej, w czasie upałów bardzo się poci, w związku z tym musi wskoczyć pod prysznic. Pójdzie zatem teraz do pięknej (czego nie omieszkala podkreślić) łazienki.

To miejsce miałem okazję zobaczyć, ponieważ, kiedy tylko weszliśmy do mieszkania, pokazane mi zostały wszystkie pomieszczenia. Łazienka była rzeczywiście

wyjatkowa, już choćby z tego powodu, że wyłożono ją kafelkami, jakich nigdy w naszych sklepach nie oglądałem. Natomiast propozycję pobycia w samotności (w towarzystwie kawy) przyjąłem z ulgą, gdyż najwyższy był czas, by odpocząć od oplatającego mnie słowotoku.

Oczywiście zazdrościłem mieszkania. W żadnym razie jednak nie w taki sposób, iż chciałbym, aby moja ładna koleżanka go nie miała. Przeciwnie, na tyle dużo pozytywnych uczuć z nią związanych tkwiło we mnie, że bardzo cieszyłem się jej szczęściem w postaci tych czterech ścian. Poza tym pozostawała mi perspektywa zdobycia własnego lokalu; w końcu na Kozanowie nie znalazłem się przypadkowo. Chodziło raczej o zazdrość, która szeptała: ona już ma, a ty jeszcze trochę poczekasz. Ponieważ kąpiel trwała w najlepsze, a kawa została wypita, zacząłem rozglądać się po pokoju, a w szczególności przyjrzałem się półkom tchnących świeżością regałów. Niewiele na nich można było znaleźć. Ale to przecież przychodzi z czasem. Rzeczy, które może nie mają wartości same w sobie, lecz są dla nas ważne...

Jakiś zasuszony kaktus. Jednotomowa encyklopedia. Stateczek z napisem Kołobrzeg – zapewne pamiątka z wakacji nad morzem. Szklany wazonik. To wszystko dla niej albo dla niego miało jakąś wartość sentymentalną i podróżowało wraz z właścicielami po ich świecie. Ale przecież i u mnie, w wynajmowanym mieszkaniu z piecami, w pokoju, gdzie straszły zawieszane na ścianie poroże, ustawiłem swojego kaktusa i swoją pamiątkę znad morza, a również wazonik, może nawet taki sam, jaki stał tutaj. Była także encyklopedia – czterotomowa.

Kąpiel trwała nadal. Usiadłem na kanapie i wysączyłem ze szklanki (zdawało się puste) jeszcze kilka kropel kawy. Gdy to robiłem, dostrzegłem na parapecie okna książkę. Leżała otwarta, grzbietem do góry, a zatem tak, by bez trudu wrócić do ostatnio czytanego miejsca. To była *Sztuka kochania* Michaliny Wisłockiej. Sprawdziłem, jakie zagadnienie zainteresowało moją przyjaciółkę, i – z pewnym zażenowaniem – przeczytałem tytuł rozdziału: *Seks w ciąży*.

Rzuciłem okiem na tekst i dowiedziałam się, jakie pozycje w takim wypadku są najodpowiedniejsze i przede wszystkim bezpieczne. Następny akapit mówił o tym, że u wielu kobiet w stanie odmiennym występuje pod wpływem zmian hormonalnych wyjątkowe wzmoczenie popędu seksualnego. Ta informacja sprawiła, że – aby przejść do dalszego ciągu – musiałem wziąć głębszy oddech. W tej chwili słyszana dotąd wyraźnie kaskada wody ucichła. Natychmiast odłożyłem książkę na parapet i biorąc w dłoń szklankę po kawie, usiadłem na kanapie w takiej pozycji, w jakiej moja tak dbała o czystość cielesną koleżanka widziała mnie po raz ostatni.

Ona jednak nie wyglądała tak jak wcześniej. Narzuciła na siebie dość niedbale frotywy szlafrok, a głowę omotała ręcznikiem. Wchodząc, zapytała, czy się nie nudziłem, a słysząc moje przeczące mruknięcie, usiadła obok, na prostopadłym siedzisku narożnej kanapy. Trochę zdziwiło mnie, że choć wyglądała na osobę, która jeszcze ocieka wodą z kąpeli, na jej twarzy wyraźnie widoczny był świeży makijaż.

Oczywiście próżnym zdało się moje oczekiwanie, że jej nieustający monolog już nie powróci. Powrócił, i to w zintensyfikowanej formie. Najpierw opisała przyjemności płynące z posiadania własnego mieszkania, powtarzając już to, co słyszałem wcześniej. Ale zaraz zaczęła naświetlać sytuację ogólną, której największym man-

kamentem była samotność w tym pięknym mieszkaniu. Co prawda mąż już na nie zapracował, niemniej nadal pozostawał daleko, ponieważ teraz za cel postawił sobie kupno pięknego samochodu, a w perspektywie była i jakaś oszałamiająca egzotyka wycieczka do ciepłych krajów.

Następnie przyszedł czas na rozwinięcie wątku samotności w pięknym mieszkaniu. Jak się okazało, dalsza rodzina, szkolne przyjaciółki i koledzy pozostali na „starych śmieciach”, czyli w Śródmieściu. Tutaj zaś, jak dotąd, nie udało się jej poznać żadnego sąsiada. W związku z tym – nieustannie się nudziła.

Być może specjalnie przed nadchodzącym nieuchronnie dalszym ciągiem tej tyrady moja rozmówczyni zdjęła ręcznik z głowy, pozwalając ładnym włosom rozsypać się po równie ładnych ramionach. Poprawiła także poły szlafroka, ale zrobiła to tak, iż ukryte dotąd pod nimi piersi – apetycznie powiększone przez ciążę – ciekawie wyjrzały na świat. I w takiej ponętnej odsłonie zaczęła mówić o zmianach w jej organizmie, powtarzając słowo w słowo to, co przed chwilą przeczytałem w książce Michaliny Wisłockiej. Nie omieszkła również wspomnieć, że kobieta w jej stanie nie musi się obawiać o zajście w ciążę, w związku z czym nieskrępowany niczym seks może przynosić wyjątkową satysfakcję. O tym przekonałem się w ciągu następnej godziny, kiedy przez okno pięknego mieszkania na dziesiątym piętrze operowy mezzosopran mojej przyjaciółki – niczym śpiew muezzina – ogłaszał światu kolejne kulminacje jej przyjemności i mojego strachu, czy te ekstremalne napięcia nie wywołają przedwczesnego porodu.

Jakim cudem w tej ze wszech miar wyjątkowej sytuacji usłyszałem brzęknięcie dzwonu, a raczej dzwonka byłej cmentarnej kaplicy na Kozanowie – nie wiem. Może nawet owo brzęknięcie pojawiło się tylko w mojej głowie, ale okazało się wystarczającym impulsem do spojrzenia na zegarek, który nieubłaganie pokazał dwunastą. Dwunastą, a zatem godzinę, o której miałem rozpocząć moje pomiary. Natychmiast wywikłałem się z zachłannych ramion mojej szkolnej miłości, choć nie było to łatwe, bo zdało mi się, że ma ich przynajmniej tyle, ile bogini Kali; nomen omen bóstwo nie tylko śmierci, ale i... czasu. Mokry od potu, zakładając wymiętą niemiłosiernie koszulę, zbiegłem z dziesiątego piętra po schodach, ponieważ winda nie miała ochoty przyjechać. Jak się okazało, stała na parterze, gdzie któryś z lokatorów usiłował do niej bezskutecznie wepchnąć nową szafę.

Następnie ruszyłem biegiem w kierunku, gdzie w najlepsze unosiła się chmura cementowego pyłu zawieszonego nad placem budowy. Gdy wreszcie przyłgnąłem do otaczającego go płotu, miałem już w ręku notes, długopis i stoper. Oczywiście nie dlatego, że chciałem poznać czas, w jakim pokonałem odcinek od bloku koleżanki do tego miejsca, lecz z zupełnie innego powodu.

Moje zadanie polegało na pomiarze czasu wykonywania różnych czynności na budowie. Ich uśrednione zestawienie miało posłużyć do określenia norm kosztorysowych poszczególnych robót. Głównym problemem związanym z dokonywaniem tych pomiarów była konieczność pozostania niezauważonym. Pracownicy, widząc, że czas wykonywanych czynności jest mierzony, mogli zwalniać tempo pracy lub przyspieszać. Kiedy nie mieli świadomości, że są obserwowani – pomiar był dokonywany

w miarę obiektywnie. Stąd moje stanowisko pod płotem, gdzie – przy zachowaniu odpowiedniej dyskrecji – mogłem być wzięty jedynie za ciekawskiego spacerowicza. Problem polegał na tym, że wyładunek prefabrykatów, który miałem obserwować i ująć w statystyce, trwał już od pół godziny. Straciłem zatem część czynności; kilka pustych rubryk w moim notesie nie zostało wypełnionych. Na szczęście czas pozostałych działań zdołałem precyzyjnie zmierzyć i zapisać. Co prawda kierowca platformy – która przywiozła płyty z zakładu prefabrykacji – pod koniec zaczął mi się baczenie przyglądać, ale wtedy mogłem już spokojnie zamknąć notes i się oddalić. Teraz czekało mnie kilka pomiarów dotyczących montażu płyt we wznoszonym budynku. W tym celu przedarłem się na teren budowy (co naprawdę nie było trudne) i wszedłem po niemiłosiernie ochlapanych wapnem i cementem schodach na piąte piętro domu sąsiedniego, który już stał, choć nie był jeszcze wykończony. Stąd miałem doskonały widok na montowaną właśnie czwartą kondygnację bloku obok. W tym momencie po raz pierwszy poczułem ból i zawrót głowy. Nie miałem wątpliwości, że to godzina spędzona w pięknym mieszkaniu mojej szkolnej koleżanki i późniejszy rozpaczliwy bieg na budowę podziały tak na mój organizm. Dziwne, że oprócz pulsowania w skroniach zacząłem odczuwać pieczenie policzków i drapanie w gardle. Pomyślałem, iż – mimo letniej pory – przyplątało się do mnie jakieś przeziębienie, którego łatwo się przecież pozbędę, biorąc na noc dwie polopiryny. Tymczasem montaż trwał w najlepsze, a dzięki temu rubryczki w moim notesie mogłem rzetelnie wypełniać cyferkami. Bawiło mnie włączanie i wyłączanie stopera, dokładnie takiego, jakim posługiwał się mój nauczyciel WF-u w podstawówce, gdy mierzył czas biegu na sześćdziesiąt metrów. Poza tym rzetelne wypełnianie obowiązków służbowych przybliżało mnie do wymarzonego mieszkania; może nawet tego, w którym znajdowałem się teraz.

Już dokładnie nie pamiętam, jak wtedy określano moje stanowisko, ale z pewnością nie brzmiało ono: chronometrażysta, choć ten precyzyjny termin z pewnością do niego pasował. Tę dziwną nazwę poznałem dużo później, czytając życiorys Zbigniewa Herberta, który – pracując w jakiejś spółdzielni inwalidów – pełnił właśnie taką funkcję. Z pewnością nie był to mój ulubiony poeta, a kojarzył mi się głównie ze smętnymi wierszami o Panu Cogito, które uznani aktorzy, związani z opozycją, deklamowali w latach osiemdziesiątych po kościołach. Niemniej przecież Herbert wielkim poetą był, zatem nigdy nie zamierzałem się wypierać, że łączył mnie z nim epizod pracy na etacie chronometrażysty.

Drugi raz poczułem zawrót głowy, schodząc po tych samych niemiłosiernie ochlapanych wapnem i cementem schodach. Schodziłem co prawda w dobrym humorze, z satysfakcją, że zgrabnie udało mi się uchwycić wszystkie czynności obserwowanego montażu, ale pulsowanie w skroniach na tyle mi dokuczało, że zatrzymałem się na półpiętrze i spojrzałem na swoje odbicie w oknie. Choć szyba była pokryta warstwą cementowego pyłu, ujrzałem znajomą twarz, która wydała mi się cokolwiek napuchnięta i czerwona, jakbym od rana wystawiał ją do słońca. To oczywiście przekłamanie wytłumaczyłem sobie podłą jakością szkła produkowanego w naszym kraju i ruszyłem dalej, mając nadzieję zdążyć na kolejny transport prefabrykatów

o czternastej. W ten sposób miałem szansę na uzupełnienie kilku pierwszych rubryk w notesie, które – na skutek spóźnienia – pozostały puste.

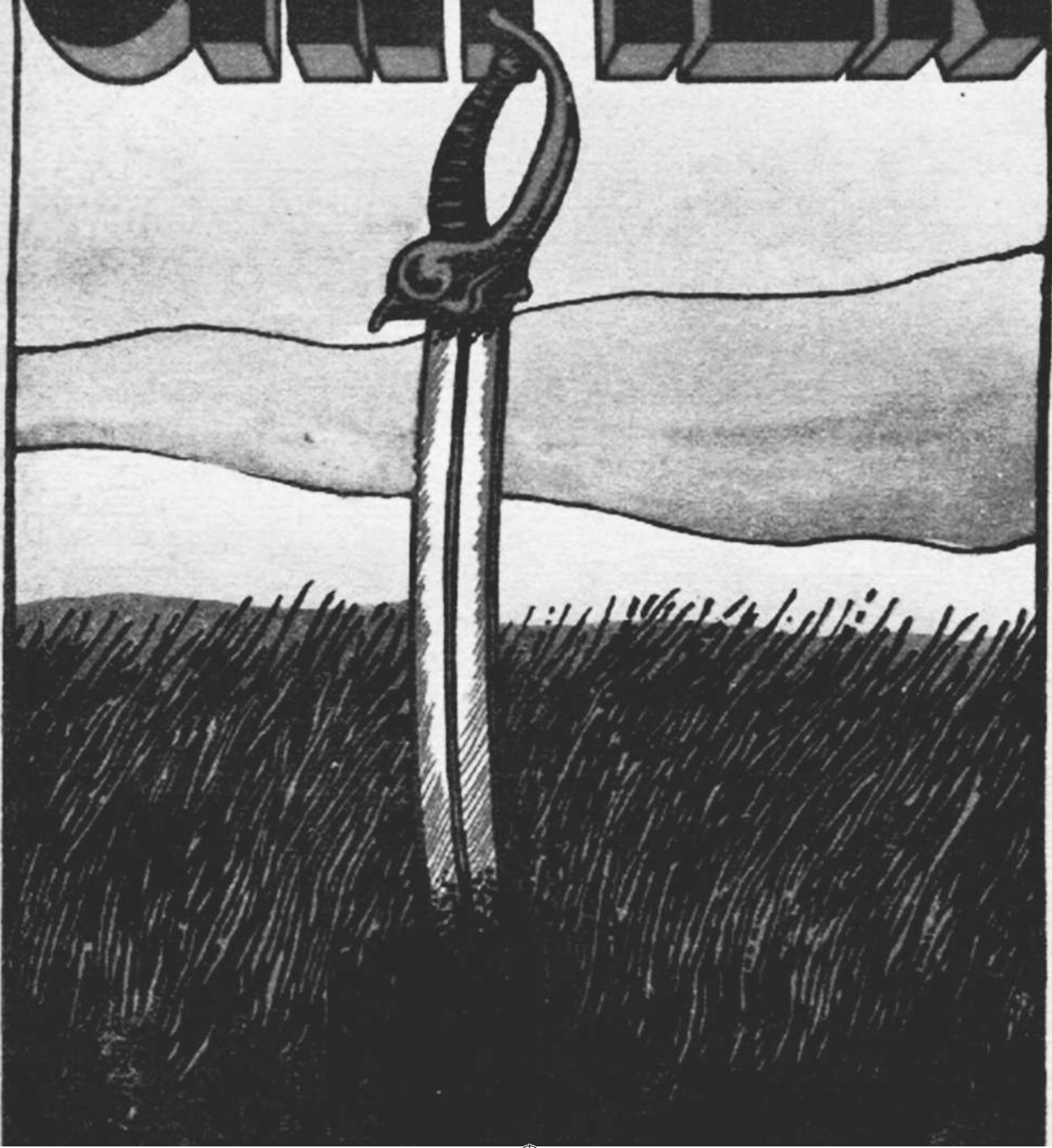
Wyjście z terenu budowy było jeszcze łatwiejsze niż wejście, więc na czas dotarłem pod płot, do mojego punktu obserwacyjnego. Platforma podjechała punktualnie, zatem mogłem spokojnie dokonać brakujących pomiarów. Gdy po raz ostatni nacisnąłem stoper i zamierzałem wpisać odczyt, usłyszałem stanowcze żądanie okazania dokumentów. Za mną stało dwóch groźnie wyglądających milicjantów w towarzystwie wskazującego na mnie kierowcy platformy. Co prawda stróże prawa pozwolili mi dokonać wpisu w notesie, ale zaraz potem go odebrali i poprowadzili mnie w stronę gościnnej milicyjnej nyski.

Wewnątrz było tak gorąco i duszno, że przestałem cokolwiek kojarzyć, a na pytania funkcjonariuszy odpowiadałem jakąś chaotyczną paplaniną. Kiedy zdawało się, że byłem już w stanie zebrać myśli, po raz trzeci poczułem pulsowanie w skroniach i ocknąłem się dopiero, gdy na noszach ładowano mnie do karetki pogotowia. Wokół dostrzegłem zaaferowany tłumek, który zebrał się ze – zdawałoby się – nieistniejących mieszkańców osiedla. Wśród nich stała, trzymając obiema dłońmi swój zaokrąglony brzuszec, szkolna koleżanka...

W taki to sposób skończyła się moja przygoda w roli chronometrażysty na budowie wrocławskiego Kozanowa. Nie tylko dlatego się skończyła, że nie potrafiłem dokonać pomiarów, pozostając niezauważonym (to akurat byłbym w stanie udoskonalić), ale głównie z przyczyny mojej osobniczej właściwości, jaką okazało się uczulenie na cement. Dokładnie zaś na zawarty w nim sześciowartościowy chrom, który sprawił, że najbliższe dwa tygodnie spędziłem w szpitalu, a mojej przyszłości nie mogłem już wiązać z pracą w budownictwie.

JÓZEF HEN

CRIMEN



Cherubiński wędrowiec

Z księgi pierwszej

24. Musisz być niczym / niczego nie chcieć.

Człecze / gdy wciąż czymś jesteś / coś wiesz / kochasz / nabyłeś;
Wciąż / wierz mi / ciężaru się swego jeszcze nie wyzbyłeś.

226. Wieża Babel.

Sam jesteś wieżą Babel; nie chcesz z siebie wynijść /
Będziesz więc wiecznie domem, gdzie diabeł rumor czyni.

Z księgi wtórej

85. Sam sobie jesteś więzieniem.

Świat ciebie nie schwytał / tyś – świat, co cię więzi /
W tobie, przy tobie cię trzyma na mocnej uwięzi.

246. Co słyszy diabeł.

Diabeł słyszy grzmot jeno / łoskot / hałasów swawole,
Dlatego go łagodnością możesz wyprowadzić w pole.

Z księgi czwartej

1. Bóg stanie się tym, czym nigdy nie był.

Przyszły Bóg się stanie pośród doczesności
Tym, czym nigdy nie był w całej swej wieczności.

207. Oznaki bożego synostwa.

Człek, co wciąż trwa w Bogu / spokojny i w nim zakochany,
Zazwyczaj został na syna bożego wybrany.

Z księgi piątej

102. Dlaczego nikt nie może zostać opętany przez anioły.

Czemu nie posiadają anioły z serc świętych żadnego?

Serca te Bóg wyznaczył dla siebie samego.

127. Dusza jest ponad czasem.

Dusza, ten duch wieczny nad wszystek czas przecie:

W wieczności już żyje, żyjąc także w świecie.

239. Bóg nie ma innego wzoru niżli on sam.

Pytasz, dlaczego na własny obraz uczynił mnie Bóg?

Powiem: brak kogoś, kto by wzoru innego dostarczyć mu mógł.

245. Bóg nie ma żadnego własnego imienia niż miłość.

Żadne imię niezdatne, by nazwać nim Boga /

Zwiemy Go samą miłością – tak zacna i droga.

Tłumaczył Piotr Wiktor Lorkowski

SILESIUS

Tajemny dom śmierci

(fragment)

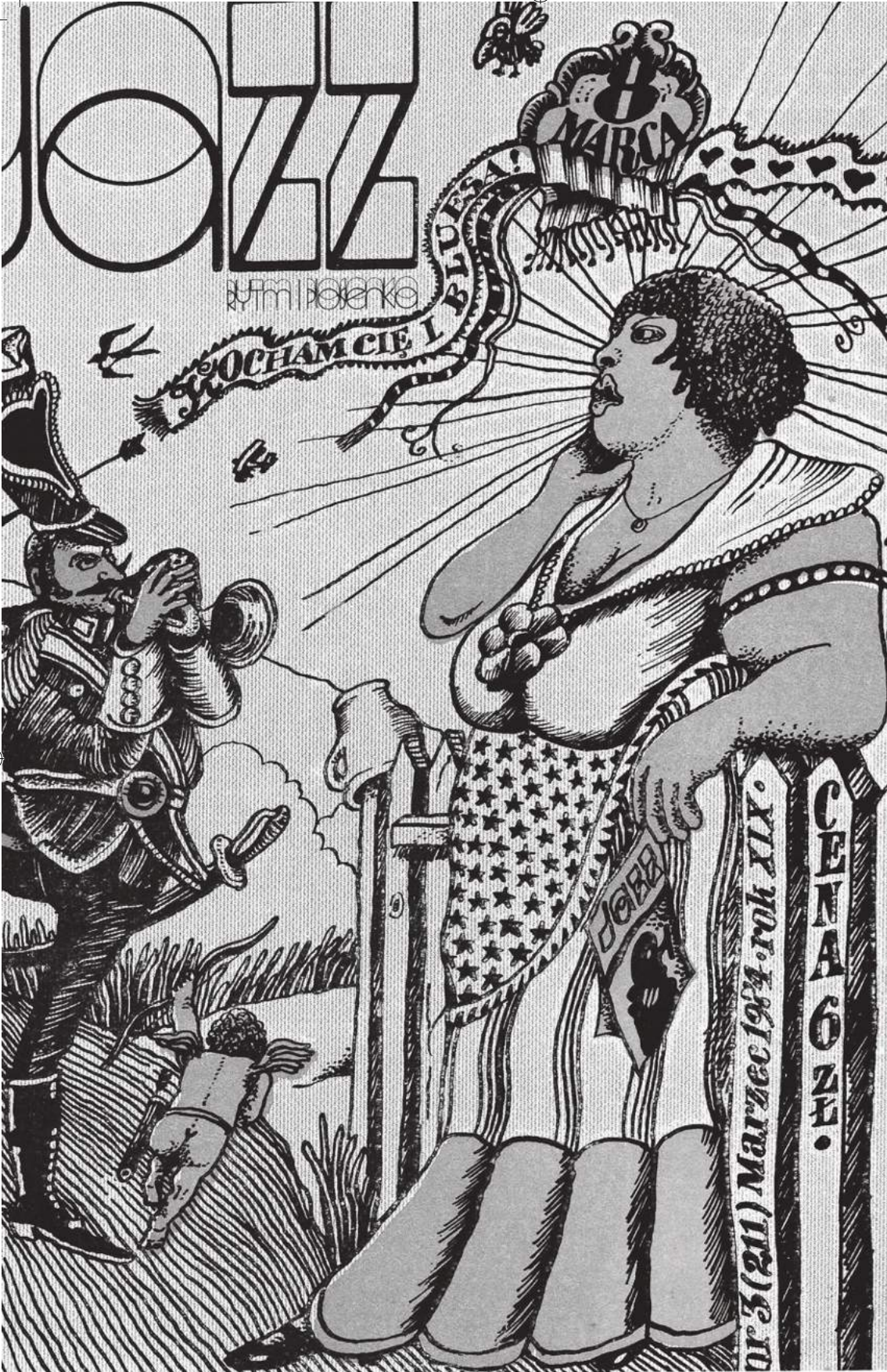
Choć wygłaszałem wykłady na różne tematy, tak się złożyło, że Angelus Silesius stał się moją specjalnością. Napisałem o nim doktorat, który później nadmuchałem do rozmiarów rozprawy habilitacyjnej i tak już zostało. Mogłem więc mówić jak z nut, bez wysiłku, zupełnie jakby to robił kto inny. Mogłem nie tylko mówić, ale równocześnie, wcale się nie nudząc, wędrować od jednej twarzy do drugiej. Niektóre wydawały mi się tego warte i do nich wracałem. Z niektórymi na chwilę łąpałem kontakt wzrokowy. To było nawet wciągające. Jakbym nie znalazł się tutaj, by wywiązać się z umowy, dotrzymać słowa i powiedzieć swoje, ale żeby pooglądać sobie tych ludzi. Albo, choć z innego punktu widzenia, żeby oni mnie oglądali. A przy okazji słuchali. I może nawet słyszeli? Przyglądałem się im i ciągle do mnie wracało już wcześniejsze odczucie, że niektóre twarze mówiły o czymś znajomym, jakby zapisał się na nich kawałek mojej przeszłości. Dawnej i niedawnej.

Czasem bardzo wyraźnej i bliskiej, choć jednak odległej, jak na przykład ta z górnych rzędów. Ten mężczyzna wystawał trochę ponad otoczenie. Przesadnie wyprostowany i sztywny. Spojrzenie miał takie, jakby patrzył z innej planety. Skądś znałem te oczy. Czy nie przypominały mi jednej z fotografii rodzinnych? Ale znałem je przecież z autopsji, bo zaraz sobie skojarzyłem. Ten gość to do złudzenia mój dziadek Wincenty. Twarz charakterystyczna również w tym, że na jej widok rozwiewają się wszelkie wątpliwości i staje się oczywiste, że jej właściciel wie i zna wszystko. Tyle że w odróżnieniu ode mnie u niego wszystko to znaczy rzeczywiście *wszystko*. Ja też wiem wszystko, ale tylko o Angelusie. A on nie tylko. Zna tablicę Mendelejewa, teorię względności, historię literatury i całą geografię gospodarczą. Wybitnych pisarzy i gwiazdy filmowe. Wszystkie wyniki sportowe ma w jednym palcu, tak jak w drugim teorię Darwina. Typowy besserwisser. Tym uważniej słucha, im mniej, jak się wydaje, do niego dociera. Ale swoje przecież wie, przynajmniej na tyle, by ustawicznie podważać albo pouczać. Wie na przykład, co zrobić ze światem, żeby się stał lepszy. Komu dać nagrodę, a komu należą się baty. Gdzie pieprz rośnie, a gdzie solą handlują. Typ przemądrzały, który w przypadku różnicy zdań nie ustąpi ani na krok.

Zatrzymałem na nim spojrzenie dłużej. Mogło się wydawać, że słucha uważnie, choć z miną mówiącą, że już to zna przecież. Słucha i w duchu sprawdza, czy wszystko się zgadza. Czy jest dokładnie tak, jak mówiłem poprzednio? Czy przypadkiem on sam nie wie lepiej albo czy się w jakimś szczególe nie mylę? Gdyby to rzeczywiście był Wincenty, który zresztą umarł w lutym 1968 roku, to, na ile go znałem, pewnie by niebawem wstał i wyszedł. Może nawet demonstracyjnie hałasując drzwiami. Bo nagle odkryłby, że w tym, co tutaj mówię, prawie nic się nie zgadza. Albo tak bardzo z jego wiedzą jest zgodne, że właściwie nic tu po nim. Już to wszak zna.

Natomiast ten siedział wyprostowany, słuchał i wcale nie będę zdziwiony, gdy wytrzyma do końca, nie wszczynając żadnej awantury. Inna rzecz, że czasami Wincenty też bywał taktowny. Wręcz uprzejmy. Potrafił słuchać rozmówcy cierpliwie, choć bez przekonania, bo przecież i tak wiedział lepiej. Ale też pamiętam, jak rugał swoją drugą małżonkę, gdy pierwsza już z nim nie wytrzymała i umarła dwadzieścia lat przed nim. „Tyle razy już ci mówiłem...” – nieustannie powtarzał takim tonem, że może byłoby już lepiej, gdyby ją zirytowany uderzył. Był człowiekiem przekonanych twardej jak kamień.

Wcale nie czułem wewnętrznych oporów przed mówieniem tego, co tak dalece znałem, że już mnie samego od dawna dosyć nudziło. Chyba dziesięć razy, jeśli nie dwadzieścia, wygłaszałem dokładnie to samo przy różnych okazjach i przy różnej frekwencji. Ukazało się nawet kiedyś drukiem i na dobrą sprawę można by ten wykład powielić, rozdać obecnym, niech sobie sami przeczytają. Tyle że ci ludzie nie przyszli tu jak do czytelnicy, by się pograżać w lekturze. Pewnie chcieli mnie zobaczyć, słuchać, jak mówię, a przede wszystkim być samemu widzianym, pośród innych, chcących również być widzianymi. *Angelus Silesius i języki, którymi przemawiał do świata*. Czasem nieznacznie zmieniałem ten tytuł. Zdarzało się, że rozmyślnie lub przez nieuwagę coś pomijałem. Chyba nie więcej niż dwa razy dość radykalnie skróciłem ten wykład, ale za to innym razem przeciągnąłem go do przesady – bite półtorej godziny! I publiczność, później bardzo ożywiona, dzielnie to wytrzymała. Ale mówić w koło to samo to przecież nużące. Rok w rok, tu i tam, raz za razem. Żeby sobie osłodzić tę monotonię, czasem dorzucałem coś nowego, ale nawet i w tym również się powtarzałem, bo w istocie nie jestem zbyt pomysłowy. Celowo pławiłem się w nieistotnych szczegółach, tak by moja wszechwiedza sprawiała wrażenie prawdziwej. Że nie tylko przeczytałem, wyszperałem i zinterpretowałem wszystko, co jest dostępne w bibliotekach lub internecie, ale jakbym wręcz osobiście odbywał spotkania z bohaterem wykładu. W moich myślach pojawiał się żywy i prawdziwszy niż kiedyś był, trochę tylko zdziwiony, że może wiem o nim więcej niżli on sam. Mogłem bez trudu udać się w jego odległą epokę i uczestniczyć w niej pełnoprawnie. Wiedziałem, jak się tam zachować, kogo spotykać, a kogo unikać, na jakie tematy rozmawiać i którego Boga wychwalać w niebogłosy. Moja wiedza była swoistym wehikułem czasu, który mnie przenosił gdzie trzeba. To oczywiście żart, można powiedzieć metafora, ale tak bliska prawdy, że ją biorę poważnie. Proszę mi wierzyć, nic to dla mnie trudnego



Okładka czasopisma JAZZ, 1984

znaleźć się w niderlandzkiej Lejdzie – powiedzmy – w lipcu roku 1646 i tam podsłuchać jakąś rozmowę. Nikt poza mną nie dowie się, o czym ludzie tak skrycie szepczą, a dzisiaj mogę to na głos wyśpiewać. Wydaje mi się nawet – bo chyba w to nie wierzę do końca – że potrafię odgadnąć, o czym Angelus skrycie pomyślał, mówiąc na głos coś całkiem innego. To z mojej strony czysta pycha, ale taki już jestem. Z drugiej jednak strony, powtarzanie słowo w słowo, w koło Macieju, tego samego, już dawno powinno mnie pokryć grubą warstwą wstydu. Należałoby już dać sobie z tym spokój, ale wiem przecież, bo coś w duchu mi mówi, że ten dzisiejszy raz jest ostatnim. Po dzisiejszym wieczorze, który się właśnie zaczyna, nikogo więcej nie będę już przekonywać, że był taki człowiek i żył w swoich czasach. Że świat właśnie dźwigał się z wojennych zgłiszczy i jeśli był jakiś ratunek, to tylko w mistyce. Mistyka wówczas była kwestią mody, dosyć płytkiej, jak wszystkie przelotne pozy. Należał do tych niewielu, którzy wtedy wiedzieli, że należy schronić się w tajemnicy, prawdziwej lub wymyślonej. Nurkować w odmianę egzaltacji, chcąc uchodzić za mistyczką. Główną jej racją była groza śmierci, która akurat wzięła świat w posiadanie. Na jednej z ówczesnych rycin widać sąd doraźny, sprawowany przez dragonów generała Mansfelda. Odbyna się ta rozprawa pod dorodnym drzewem, obwieszonym kilkunastoma skazańcami. A wielu innych jeszcze czeka w kolejce. Tak było wtedy na porządku dziennym. Dodajmy jeszcze, że cały ten obszar Europy przemierzały epidemie, jedna za drugą. Pożary. Głodowe śmierci. Rabunkowe zabójstwa. Odwety, rekwizycje i egzekucje. Na tle ogólnej rozpacz, jawnej albo tłumionej, tym donośniej brzmiały słowa duchownych i świeckich; teologów i teozofów, znających się na ciemnej energii, przenikającej wszystko, co żywe, ale wychwalających energie jasne, gdzieś podobno w ukryciu czekające na sygnał. Mistyków wskazujących na drogi prowadzące ku światłu. Jednym okiem zapatrzonych w uniwersalną wieczność chrystusowego królestwa, a drugim w tajemnicę kabały. Nie było w tym żadnej sprzeczności, bo wierzyć należy w jedno i drugie. Najlepiej we wszystko, bo nigdy nie wiadomo, co bardziej opłaci się czcić. Poświęcali się więc przeliczaniu liter na cyfry i z powrotem, aby tym sprytnym sposobem włamać się do odwiecznej mądrości, zaszyfrowanej jakoby w Biblii. Z tej ówczesnej śląskiej elity intelektualnej wyróżniał się korzystnie bodaj tylko jeden biedaczek, wiecznie głodujący. Luteranin. Był szewcem, ale mało kto chciał u niego obstałować buty. Chodził po wsiach i sprzedawał nici. Czy było z tego na chleb dla żony i czterech synów? Możliwe, że jego natchnienia i wizje wzięły się z tego niedojadania. Na dnie pustej miski cynowej zobaczył niebo oraz jego wszystkie tajemnice. I tak to się zaczęło. Powiada się gdzieś, że on już miał te skłonności od dziecka, ale to chyba legenda. Bo naprawdę liczy się, co napisał w swoich dwudziestu czterech traktatach. Narobił sobie nimi więcej kłopotów, niż zyskał przyjaciół. Nie znał innej kabały, więc stworzył własną. Jakby tego było nie dość, ogłosił, że Bogiem jest natura, bowiem Bóg jest w naturze. Za tę herezję dała mu w kość luterńska cenzura. Oskarżano go i poniżano. Tylko pewien Abraham von Franckenberg zbierał wszystkie wyznania Jacoba Böhme, szewca-bankruta z Görlitz, bo poznał się

na jego wielkości. A działo się to na tle spalonych wiosek, obleganych miast, zachłannych kontrybucji, powszechnej nędzy. Więc teraz gadałem o tym dziwnym świecie sprzed lat niemal trzystu. To nie tak znów dawno. Zaledwie dziesięć pokoleń. Tyle że ówczesne pojęcia i symbole wydają się tak odległe. Musimy je już dzisiaj tłumaczyć jak z obcego języka. W międzyczasie zagubiły się bowiem tamte, niegdyś coś znaczące sensy. Tylko że nie wszystko da się przetłumaczyć. Język ówczesnej dewocji jest pełny wyrazów, które dziś znaczą tyle, co pusty ornament. Można do nich wracać tylko drogą okrężną, ratując się analogiami oraz złudzeniem, że należą do ciągłej tradycji. Ale też trzeba liczyć się z tym, że już przed Johannesem Schefflerem, znanym jako Angelus Silesius, tradycję zaczęto poddawać niszczycielskiej rewizji. Sprzeciwiono się różnym, większym i mniejszym fałszom na niej dokonanym. Wiarygodność wystąpiła przeciw obłudzie, czyli to, co *ich*, przeciw temu, co *nasze*. Sobór trydencki obalał tezy Marcina Lutra. O co naprawdę w tych sporach chodziło, da się stwierdzić jedynie w uproszczeniu, ale jednak niech nam ono nie wystarcza. W każdym razie nie mnie, który znałem te sprawy, dzisiaj właściwie już nie obchodzące nikogo. Bo czy wzruszy nas fakt, że w roku 1629 spalili się cały Bolesławiec, a sześć lat wcześniej dżuma uśmierciła ponad 9000 osób różnej płci i wieku? O takich rzeczach więc miałem tu mówić, właśnie zaczynałem, trzymając ten mikrofon w opuszczonej ręce całkiem niepotrzebny. Oczywiście, że dam sobie radę bez niego. Mówię wyraźnie i głośno, nie potrzebna mi pomoc głośników. A ci, co tu przyszli tak licznie, też niech nadstawia uszu, zamiast zapadać w odrętwienie. Udaremnię im zasypianie bez łaski mikrofonu. Nie myślę oczywiście o tych kilku, którzy może tu są, rzeczywiście ciekawi tego, jakimi to słowami Angelus Silesius gromił protestantów. Tej nadziei staram się trzymać, choć w istocie interesuje mnie coś całkiem innego.

Odłożyłem więc mikrofon na tę pretensjonalną mównicę. A tam już na niego czekało towarzystwo idiotycznej karafki z wodą i szklanka. Gdybym chciał mówić stamtąd, czy tylko rozłożyć tam notatki, musiałbym tę karafkę usunąć. Wysokość mównicy była obliczona na mówcę większego wzrostu. Zauważyłem, co prawda, że za mównicą stoi coś w rodzaju taboretu, na który w potrzebie można by się wspiąć. Jednak myśl, że mówiłbym, stojąc na taborecie, wydała mi się śmieszna. Zdjąłem też okulary, jako że nie będzie czytania. Dla dobra słyszalności przeszedłem do przodu, aż na sam skraj podium i po głębszym wdechu mówiłem dalej. Naszkicowałem świat powszedni w tamtych czasach, Europy dewastowanej od okrągłych sześciu lat. Świat zdeptany przez wojnę. Rabunek, napad, zabijanie, zarazy, nędza, drożyzna i ogólne bezprawie, będą trwać tu jeszcze lat dwadzieścia cztery. Jedyną gwarancją przeżycia było wtedy zabijanie. Kto zabijał, ten żył. Kto nie zabijał, był zabijany. Tu i ówdzie, szczególnie w Północnych Czechach, na Morawach i na Śląsku, zdarzały się nawet przypadki ludożerstwa. Miasta były dobijane bezlitosnymi dani-
nami przez wszystkie wojujące strony. Są wśród historyków tacy, którzy twierdzą, że wojna trzydziestoletnia była największą wojną w historii nowożytnej Europy.

Można by naiwnie sądzić, że w tym rankingu okrucieństwa pierwszeństwo należy się wojnie najdłuższej, czyli stuletniej. Nic podobnego. Trwała co prawda lat 116, ale przecież z wieloma przerwami i toczyła się na ograniczonym obszarze, wyłącznie między Anglią i Francją. Poza tym przełom wieków czternastego i piętnastego był jeszcze epoką rycerstwa. Choć może nie wszystko było tam godziwe i czyste, to przynajmniej w zarysie zgodne z kodeksem honoru, na dokładnie wytyczonych polach bitewnych. Strony stawały naprzeciw siebie i zabierały się do roboty, czyli uśmiercania. Powód tych wojen miał charakter ściśle dynastyczny – zbyt wielu było chętnych do jednego tronu. Ale zarówno na wyżynach społecznych, jak i na ich nizinach wojowanie było też formą zarobku. O ile nie dałeś się zabić, mogłeś się wzbogacić. Nie będę się jednak zapuszczać w zawiłości filozofii wojny, bo von Clausewitz urodzi się nie wcześniej niż za lat 150 i na razie wojny odbywają się zgodnie ze zbrodniczą ludzką naturą. Żadne inne racje nie były potrzebne.

Na wielką skalę dopiero w wojnie trzydziestoletniej odezwała się dzika przemoc i zachłanny rabunek. Pretekstem rozpętania tej rzeźni była różnica w ujmowaniu nauk biblijnych, ale dla łupiestwa każdy pretekst jest dobry. Wszystko, co może upokorzyć przeciwnika, jest dozwolone i pobłogosławione. Z ambony wręcz się namawia do zabijania. Jak często bywa w historii, religia działa pobudzająco na moce diabelskie. Spuszcza je ze smyczy i niech robią swoje. Również w tym wypadku chrześcijański duch miłosierdzia nie miał nic do gadania. Europa, dotąd tak jednolita w swoich wierzeniach, zaczęła się rozsypywać. Teoretycznie zaczęło się to w październiku 1517, gdy Martin Luther wystrzelił ze swoimi 95 тезami, lub też 13 grudnia 1545, gdy otwarto posiedzenia Soboru Trydenckiego, który trwał lat 13. Na ich skutek trzeba było poczekać jeszcze 55 lat, w których reformatorska część kontynentu nabrała militarnej pewności. Kiedy obu stronom wystarczyło jej na całą trzydziestoletnią hekatombę.

Wojna trzydziestoletnia zamieniła w perzynę i pustkowię spore obszary kraju, w którym urodził się Johannes Scheffler, późniejszy Angelus. Samo Breslau jakoś oparło się dewastacji, ale i tam odczuwało się katastrofalną kondycję prowincji. Mówiąc o tym, wybierałem słowa najlepiej pasujące do wyobrażeń o tej wojnie, dziś już chyba całkiem nieznanej, zagłuszonej przez liczne rozdziały późniejszych tragedii. Przywoływałem wybrane przypadki dzikiego okrucieństwa oraz rzutkość prowodyrów, wymyślne intrygi i próżność dowodzących, ich prześciganie się w okrucieństwach. Jednym słowem – kreśliłem obraz świata zdemolowanego ku chwale religijnych dogmatów. Dla uzyskania tego efektu istnieje banalny zabieg retoryczny, który przyswoiłem sobie już dawno. A więc żadnych przymiotników, szczególnie w stopniu najwyższym. Pierwszeństwo niech mają rzeczowniki twarde jak cios pałki. Ostre jak cięcie rapiera. Dosadne jak uderzenie kamiennej kuli armatniej. Bezczelne jak postrzał z muszkietu. Bardzo przydatne są przy tym reminiscencje zaczerpnięte z malarstwa batalistycznego, idylliczne lub krwawe fikcje z pola bitwy. Także wszelkiego rodzaju metafory, drastyczne porównania, choćby filmowe atrapy. Można nimi bez końca dopełniać tę ohydę zabijania. Jednak kiedy liczbie

ofiar lub skalom zniszczeń poświęca się zbyt wiele uwagi i słów, wymowa ich słabnie. Podobno Stalin powiedział, że śmierć pojedynczego człowieka to tragedia, a śmierć milionów to statystyka. Tremendum staje się czymś zwyczajnym, a może nawet całkowicie zmyślonym. Nadmierne gadanie o konspiracyjnych obozach natchnęło innych do ich podważenia. Zdaniem tych innych gdyby zbrodnie masowe istniały naprawdę, nie gadałoby się o nich aż tyle.

W rytmie tej recytacji moje spojrzenie ponownie zawędrowało na tę twarz przypominającą Wincentego. Widocznie zmienił miejsce, bo odniosłem wrażenie, że poprzednio siedział gdzie indziej. I żeby już z nim nie stracić kontaktu, raz za razem zwracałem się w jego kierunku. Patrzyłem, jakby tam miał znajdować się mój ratunek. Jeszcze nie wiedziałem jaki, od czego i ku czemu. To pewnie się później okaże. Może mi je podsunie jego widok? W każdym razie moje poczucie bezpieczeństwa lekko zachybotало.

Zostawiając więc przeraźliwe migawki z tamtej wojny na owo p ó ź n i e j, spróbowałem równocześnie pomyśleć o wojnach, które były jego – Wincentego – udziałem. Szczególnie o tak zwanej Wielkiej Wojnie. Bo jeśli idzie o drugą wojnę światową, można rzec, że dość zręcznie się od niej wykręcił. Co prawda, omal go nie zabiła, ale jednak dopisało mu szczęście. Miał bowiem fioła – że tak to nazwę – na punkcie Polski i to się hitlerowcom nie mogło podobać. Tym bardziej, że wbrew własnej woli stał się nagle mieszkańcem Trzeciej Rzeszy. Wincenty. Mówiąc dokładniej, na chrzcie otrzymał imiona *Vinzent Malcher*, bo działo się to jeszcze w królestwie Prus cesarstwa Niemiec, podczas gdy Polski w ogóle wtedy nie było. Ukończył więc szkoły niemieckie. Nie były to szkoły złe. Z okazji Wielkiej Wojny został marynarzem w niemieckiej Kriegsmarine. Posiadał niemałą biegłość w języku i kulturze niemieckiej, ale – co na Górnym Śląsku nie było rzadkie – uważał ją za coś obcego. Dziś nie mogę się nadziwić czystemu i poprawnemu językowi polskiemu, jakiego używał. Nawet w mowie jego syna – czyli mojego ojca – słyszało się naleciałość regionalnych dialektów, a u niego ani trochę.

Ów polski fioł mego dziadka miał jednak tę słabość, że dotyczył Polski wiele bardziej udanej niż ta, jakiej doświadczał przed drugą wojną. Polska, jaką sobie wymarzył, była dobra i piękna. Zaś ta, o której marzyć nie musiał, bo miał ją potem na co dzień, wcale taką nie była. A w dodatku jego idealizowanie drażniło również Polaków, którym wystarczało, że są, jacy są. Po jaką cholere być lepszym? Tym bardziej, że „lepszość” według Wincenta była dość wymagająca. Po pierwsze – nie kłamać. Po drugie – nie kraść. I w ogóle trzymać się przyzwoitości. To było powodem wielu jego konfliktów. On, Polak, nie mógł porozumieć się z Polską, reprezentowaną przez innych Polaków. Chciał Polski niemożliwej.

Przez życie Wincentego przewalały się więc dwie wojny wielkie i jedna mniejsza. Tą mniejszą były powstania śląskie. Były aż trzy. W jednym z nich wziął udział, czego później się wstydził. Może należałoby też uwzględnić jego liczne wojny prywatne. Ciągłe z czymś albo z kimś miał ogniste zatargi. Ale mniejsza o to, skoro liczą się przede wszystkim obie światowe. Miał oczywiście świadomość, że w tym samym stopniu, co te dwie wielkie, liczyły się również ich poprzedniczki. Nawet punicka, nie

mówiąc o stuletniej, o tej trzydziestoletniej, także napoleońskiej i w ogóle wszystkich znanych nam i nieznanach. Bo też od samego zarania dziejów niezmiennie trwa jedna i ta sama wojna, robiąca sobie czasem przerwę dłuższą lub krótszą. Słusznie powiedział generał Carl von C., że pokój jest tylko zawieszeniem broni pomiędzy wojnami. Gdy wojownicze duchy odsapną, ochoczo przystępują do kontynuacji. A tak się składa, że w tym łańcuchu masowego zabijania najstraszniejszą wojną zawsze wydaje się ta ostatnia. Bo świeże rany, świeża pamięć i koszmar snów trzymają się kurczowo rozdygotanej świadomości. Są jednak historycy twierdzący, że wojna jest tylko jedna i odwieczna.

Zatem światowe – jak powtórzone po sobie dwa końce świata. Pierwsza rozpoczęła to dzieło i jego dokończenie zostawiła następnej. A to, co pozostało po wojnie drugiej, choć nadal się tak nazywało, światem już chyba nie było. Skończyły się zasoby naiwności, która dotąd jeszcze utrzymywała świat w wyprostowanej pozycji, choć już ryzykownie przechylony ku upadkowi. O ile wiem, Wincenty raczej nie czytał Platona, a jednak dokładnie wiedział, że oto skończyła się epoka żelaza, po której niczego już nie będzie. I to nie będzie tak długo, aż jakaś moc wymamrocze swoje *fiat lux* i uczyni świat od nowa.

Chyba dobrze rozumiem ten pogląd. Znałem przecież ludzi, którzy przeżyli obie te wojny. Byli (i są) tacy, którzy porównując lata 1914–1918 z wojną 1939–1945 uznają, że ta pierwsza była wiele większą tragedią. Nie jestem za tym, by dzielić wojny na większe i mniejsze, lepsze czy gorsze lub lokalne czy globalne, ale podzielam ten sąd. Mogę się z nim zgodzić, przynajmniej co do rozmiarów jej absurdu. Tak. Pod tym względem pierwsza biła drugą na głowę. Lecz w opowieściach Wincentego nie było aż tak źle. Bez wysiłku mogę go sobie wyobrazić jako dwudziestodwuletniego kawalera, bez szczególnych widoków życiowych, już w marynarskim mundurze, ale jeszcze bezradnego wobec pustki życia.

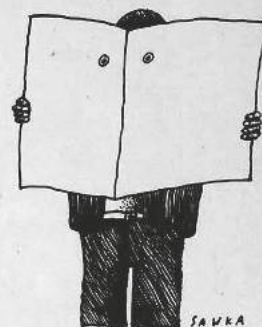
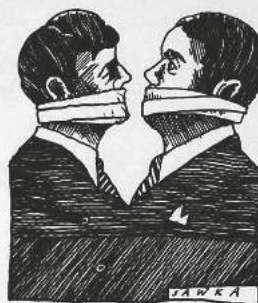
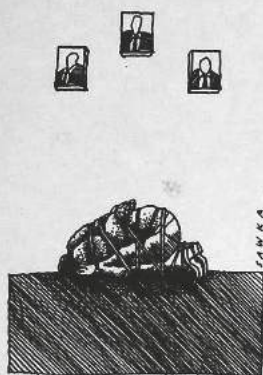
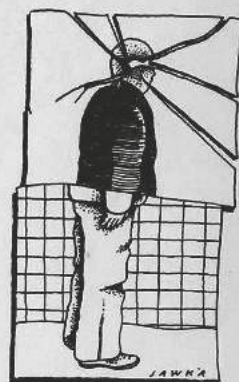
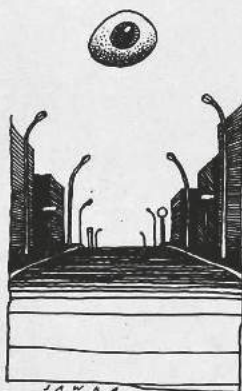
Śladem swego ojca Teofila mógł też zostać szewcem. Ale w mieście liczącej nieco ponad 900 mieszkańców było aż dziesięciu mistrzów szewskich. Roboty żadnej i jeszcze mniej zarobków. Więc ostatecznie nie został szyjbutkiem, choć fach zdążył już opanować. Ale – i może na szczęście – nie zrobił z tego użytku, bo właśnie zatrąbiły anioły zniszczenia. Nagłówki wszystkich gazet i urzędowe obwieszczenia obalały wszelką wątpliwość. Wojna! Możliwe, że jak większość ludzi, Wincenty dał się zbałamucić frazesami triumfu, odwagi i bohaterstwa. I to by nawet było do niego podobne – cechował go infantyizm połączony z poczuciem prawości, które wcale nie zmalały, gdy już było za późno.

Wybuch wojny w roku 1914 wyręczył go w trudzie decydowania. Decyzja należała do wszechmocnej biurokracji wojskowej. Trudno zrozumieć, dlaczego materiał ludzki, zwany czasem mięsem armatnim, cesarska Kriegsmarine dla Bałtyku, zwanego wtedy Ostsee, pobierała z Górnego Śląska, w linii prostej odległego od morza o 700 kilometrów. Komisja poborowa uznała, że Vincent Malcher się do tego nadaje. A wystarczyłoby trzeźwo spojrzeć, by w nim zobaczyć typowego szczura lądowego, wymarzonego wprost do okopów na froncie zachodnim, gdzie szczury gustowały w ludzkim mięsie. Tymczasem on przez całe cztery lata obnosił mundur marynarski. Tyle że miał chyba jakieś zadatki na marynarza, bo w krótkim czasie

dosłużył się niskiego stopnia podoficerskiego. I w tej zresztą randze zakończył swą karierę wojskową.

Obowiązki Obermata wypełniał na pokładzie krążownika o groźnej nazwie *Pommern*. Znam aż dwie wersje powodów, dla których 1 czerwca 1916 roku nie było Wincentego na pokładzie tego pływającego potwora. Pierwsza wersja mówi, że około tego czasu został urlopowany na własny ślub z Marią Kaiser w dalekim Paulsdorfie, znanym dziś jako Pawłów, obecnie dzielnica Zabrze. Mundur marynarza musiał robić na śląskich dziewczynach wrażenie. Nie mam zielonego pojęcia, czym on tę Marię tak ujął, że wyszła za niego. Tylko że z dokumentów wynika, że ich związek małżeński został zawarty dopiero dwa lata później – 7 kwietnia 1918 roku. Więc może wtedy, w roku 1916, pojechał tylko na zaręczyny? Bardziej wiarygodna wydaje się wersja druga. Według niej Wincenty przed 1 czerwca 1916 zatruł się czymś i z podejrzeniem o dyzenterię trafił do lądowego szpitala.

W każdym razie nie było mu dane znaleźć się w szyku innych pancerników i krążowników, płynących przez cieśninę Skagerrak, gdzie tylko na to czekała flota brytyjska. O drugiej nad ranem torpeda z HMS *Faulknorr* przepołowiła *Pommern* tak, że nikt spośród 839 członków załogi nie ocalał. Tylko Wincenty i podobno jeszcze jeden. Nic mi nie wiadomo, czy po tym Skagerraku został przemustrowany na inną jednostkę, bo miał jeszcze przed sobą niemal pełne dwa lata wojny. Wiadomo tylko, że po swoim ślubie i zakończeniu wojny pojawił się na Górnym Śląsku



w tym swoim mundurze. On – niedowarzony szewc – na ślubnym zdjęciu chełpi się niewątpliwie defiladowym uniformem, z białą kokardą i białymi rękawiczkami. Dziś nawet admirałowie tak się nie stroją.

Jego koledzy-marynarze, już zdemobilizowani, dodając do swoich mundurów nie białe, ale czerwone kokardy, gdzieś w Berlinie, Bremen lub München rozkręcali rewolucję pacyfistyczną, a niebawem też komunistyczną. Marynarka zeszyła na ład. Marynarze stali się panami świata z trudem stojącego na nogach. Wojna wygaszona na frontach wkroczyła w głąb kraju. Wincenty także czuł to drżenie epoki. Niby coś się skończyło, ale dla tych weteranów był to dopiero początek czegoś. Czegoś, co zresztą miało niepomyślny finał. Również na Śląsku – choć już bez pancerników i gazów bojowych – wojna toczyła się dalej. Linie jej frontów przebiegały zarówno przez mniej lub bardziej polityczne gabinety, jak i przez przedmieścia, ulice i podwórka. Wdzierały się w środek rodzin. Teraz celem walki było ratowanie wszystkiego, co jeszcze dało się uratować. Celem przeciwnym było zajęcie wszystkiego, co się tylko da zająć. Górny Śląsk stał się łakomym kąskiem, przedmiotem apetytu Polski, która nagle powstała z niczego. Dopiero szukała dla siebie kształtu, zewsząd mając jeszcze niejasne granice. Teoretycznie winny one znajdować się na obszarach, gdzie sięgał polski język. To kryterium w praktyce jednak zawodziło, bo Polska mogłaby – w odczuciu jej konstruktorów – być wielojęzyczna, jak to bywało w przeszłości. Również i tutaj, na Górnym Śląsku, używało się dosyć przebiegłej, choć graniczącej z tupetem propagandowej demagogii. Co to jest ta Polska, nikt jeszcze nie miał pojęcia, bo na razie jej istnienie było teoretyczne. Ale kto by nie uległ wyciągniętym ramionom kogoś, kto mówi ci, że jest twoją matką. Matką-Polską. Wincentemu, który znał polski i być może nawet był to jego „język pierwszy”, nie trzeba było dwa razy powtarzać. Co prawda, niemiecki znał równie biegle. Bo cała rzeczywistość jego dzieciństwa i młodości była niemiecka. Nie było innych szkół, ani innych urzędów, jak tylko niemieckie. I w końcu nawet za żonę pojął dziewczynę z dobrej rodziny niemieckiej. Więc można z kolei powiedzieć, że niemiecki to jego *Muttersprache*. Ale ten fioł na punkcie Polski miał głos decydujący.

Symbol nawołujący synów do powrotu na łono matki przysporzył pewnej części Ślązaków wiele kuszących wyobrażeń. Wincentemu i pokrewnym mu duchem prostoty i naiwności nadzieja na przykrócenie pruskiej wszechmocy zawróciła w głowie. Oto w powietrzu zawisła wielka konfrontacja, jaką był plebiscyt, mający rozstrzygnąć: Polska czy Niemcy? Szala przechylała się na drugą stronę. W końcu Polska bezapelacyjnie przegrała plebiscyt na korzyść opcji niemieckiej, ale kto by się wtedy liczył z Niemcami. Leżały wszak na łopatkach i z tego należało skorzystać. A nuż się uda. Wincenty miał pewność (i nigdy mi nie zdradził, skąd aż tyle jej miał), że plebiscytowe zwycięstwo było skutkiem niemieckiej – mówiąc dosadnie – machlojki.

Potrafił to udowodnić, miał tego aż zanadto przykładów, służąc w mieszanej niemiecko-polskiej policji plebiscytowej, *Abstimmungspolizei*. Myślę, że ten pomysł z policją był dziełem jego nierozważnych emocji. Po co się tam pchał? Czego się spodziewał? Nie potrafił przecież być prawdziwym policjantem i pod tym względem Niemcy go bili na głowę. Nie miał pojęcia, że policja zawsze kieruje się pragmatyczną obłudą i wszelka sztywność tylko ją osłabia. Był krótko komendantem katowickiego

oddziału. Że krótko, to też – jego zdaniem – sprawa niemieckiej chytrkości, która odtąd zaczęła mu się dawać we znaki. Jednym słowem – opcję niemiecką uznał za gorszą i bez reszty oddał się polskiej.

Tylko taki wybór wchodził w rachubę. Sympatyzowanie z krajem, który z dnia na dzień utracił godność cesarstwa i w ogóle ledwo dyszał, uważał za jawną głupotę. Niemcy rzucone na kolana budziły politowanie, by nie powiedzieć – pogardę. Z jednej strony ruina wielkości, bez reszty upokorzona w Wersalu, a z drugiej – bohaterka Macierz, która ukołi cię i nakarmi. W tej sytuacji Polska to było c o ś. Tak przynajmniej grało w duszy Wincentego, choć za żonę miał Niemkę. Wstąpił więc do ówczesnej policji plebiscytowej, bo w dalekim Wersalu uznano, że o przyszłości Śląska zadecyduje głos ludu. Nad tym, by to odbyło się w należyтым porządku, czuwać miała owa *Abstimmungspolizei*. Połowę jej funkcjonariuszy stanowili Niemcy. Druga połowa to również Niemcy, a mówiąc dokładniej, obywatele niemieccy, tyle że obok niemieckiego znający też polski i za Polską optujący. Być może były jeszcze inne kombinacje, jak to w policji, ale najpewniejsze było ogólne zamieszanie.

Wincenty tam się zatrudnił, bo kierowało nim przeświadczenie, że przy pomocy policji zaraz się zrobi w tym burdelu porządek. Szybko doznał zawodu. Gdy tylko zaczął od robienia porządku w samej policji, wywalono go na zbity pysk. Z dnia na dzień znalazł się bez pracy, a na dodatek w domu rodziło się już drugie dziecko. Uznał jednak, że swe obligacje ojcowskie spełni najlepiej, wdając się w bijatykę. Przystąpił więc do trzeciego powstania śląskiego, które (i to zauważył natychmiast) było ordynarną dywersją militarnych i paramilitarnych jednostek polskich, które po traktacie ryskim nie miały już zatrudnienia na froncie bolszewickim. Chyba tam po raz pierwszy mogło go uderzyć to wielkie podobieństwo między dotychczasowym panowaniem się Niemców a nastającym panowaniem się Polaków. Podobieństwo o tyle niekorzystne dla tych drugich, że traktowało lokalną *guerillę* jako okazję do bezprzykładnej swawoli. Więc to powstanie również opuścił z niesmakiem, i to tak dokładnie, że w oficjalnych dokumentach nie zachował się ślad jego udziału. Najwyżej w prywatnych szpargałach i gorzkich wspomnieniach, na jakie się czasem zdobywał. W każdym razie nie ma go w żadnej z monumentalnych ksiąg pamiątkowych i studiach rzekomo historycznych, produkowanych zarówno w epoce PZPR-u, jak i jeszcze dzisiaj. Jedynie osobiste notatki, zaświadczenia i tym podobne, które uratowałem po jego śmierci, zdradzają, że miał tę chwilę zamroczenia.

Z trupa Cesarstwa Niemiec udało się Polsce odgryźć kawałek nogi. Na Górny Śląsk przyjechali dzielni Polacy w swoich paradnych mundurach. Dużo kawalerii i kilka groteskowych czołgów z francuskiego demobilu. W latach późniejszych, w czasie istnienia tak zwanego autonomicznego województwa śląskiego, Wincenty organizował firmy zatrudniające byłych powstańców, podobnie jak on zawiedzionych stanem rzeczy. Ich poczucie krzywdy czasem sięgało zenitu. Matka, macierz, rzekomo kochająca lud śląski, okazała się wredną macochą. Zachłanną i kłamiwą. Taki był jego – i jego kompanów – stan ducha, gdy już mieli tę swoją Polskę.

Był może nazbyt aktywny, co spowodowało oskarżenie go o przygotowywanie zamachu na pułkownika Grażyńskiego (de domo Kurzydło), górnośląskiego satrapę. Został uwięziony i odbył się proces, w którym zabrakło dowodów winy. Ostatecznie

go uwolniono. Jest oczywiste, że całe to oskarżenie było prostą prowokacją, ale już na całe życie pozostawiło Wincentemu poczucie, że świat nie jest takim, jakim mógłby być. Albo przynajmniej być powinien. Wyobrażał sobie Polskę jako domenę czystości oraz prawdy i jako polski patriota nie mógł przystać na kłamstwo i moralny brud. Nie sądzę, że mnie tym zaraził, ale przecież jego pogląd na to wszystko nie jest mi obcy. Strategii, jaką się kierował, nie pochwalam, choć wiem, że na inną nie było go stać. Tylko sobie i rodzinie napytał kłopotów. Dostało mu się za tę jego Polskę. A w końcu i jej – Polsce – się dostało za fałszywy patriotyzm swych synów.

Ale jednak pozostał jej wierny, bo w czasach hitlerowskich tak się obnosił z polskością, że go również przymknęli. Zamiast pamiętać o piątce swych dzieci, jawnie obrażał Hitlera, co na szczęście rozpoznano jako niepo czyt alność. Mogło go spotkać najgorsze, ale znów się szczęśliwie wywinął. Wyrok, który na niego wydano, obowiązywać miał „do końca wojny”. I tak też się stało. Upadła Trzecia Rzesza, on odzyskał wolność, ale po roku 1945 znów się powtórzyło to samo. Nie mógł sobie znaleźć miejsca na tym najgorszym ze światów, który ponownie obiecywał gruszek na wierzbie. Zapewne cieszył się odzyskaną wolnością, która wnet okazała się nowym, podstępny m wyrokiem. Było z tym Wincentym kłopotów co niemiara. I cóż mi z tego, że osobowością był barwną. Wszak życie to nie anegdota. Raczej prawdziwe siniaki i blizny. Bez nich widocznie nie potrafił się obejść, bo był mistrzem wsadzania palców między drzwi. Podobnie układało się jego życie religijne i w żadnym z kościołów (a było ich chyba kilka) nie znalazł wiarygodności. Aż w końcu umarł jako metodysta, pogodzony z religią.

A teraz, w odległym rzędzie krzeseł siedział przede mną jego sobowtór. Tak dokładnie wyglądał Wincenty, kiedy miał jakieś 55 lat. Bo wcześniej był trochę inny, bardziej ascetyczny, chociaż doceniający prezencję. Później jeszcze inny. Trochę brzuchaty, co nie znaczy, że otyły. Nosił się przyzwoicie. Dbał o wygląd, fryzurę i minę. Jego mieszkanie było pełne aromatu cygar i maści eukaliptusowej przeciw starym artretyzmom. Trzymał się prosto i podobnie myślał. Nie mówię już o fotografiach, na przykład tej, która wisi u mnie na ścianie, w galowym marynarskim stroju. Patrzy na niej w obiektyw, ale unika mojego spojrzenia. A teraz siedzi wśród ludzi, ze wzrokiem pełnym tłumionego niepokoju. Jakby mu przeszkadzało, że tam często spoglądam i zastanawiam się nad odwetem. Bo jakim prawem tak go demaskuję?

Myślałem, co myślałem, ale przez cały czas mówiłem oczywiście na temat. Habilitacyjna praca, którą poświęciłem Angelusowi Silesiusowi, uczyniła mnie czymś w rodzaju eksperta, czyli objazdowego komedianta, monopolisty w tym temacie. A przecież nie darzyłem go specjalną miłością. Najbardziej bliski był mi może taki, jak wtedy, kiedy jako smarkacz szwendał się po Europie. A nawet jeszcze później, gdy już bez większego zajęcia kręcił się po komnatach pałacu księcia Oleśnicy. Księciu wypadało mieć nadwornego lekarza, choć żadnych tam wielkich chorób nie było. Nad higieną ciała, a przede wszystkim ducha oraz nad tym, by wszystko było jak należy, czuwał dworski pastor. Uczony syn ogrodnika, doktor uniwersytetu w Halle, chudy, złośliwy i ortodoksyjny nad wyraz, Christoph Freytag. Wielebny. Całą Biblię opanował na pamięć. Po nie-

miecku i hebrajsku. Nawet po polsku znał kilka modlitw, na potrzeby plebsu, który, choć nieliczny, trafiał się w okolicy. Bo na ogół przeważali panowie, a ci modlili się w swoim języku. Panowie przebiegle nie obnosili się ze swoim bogactwem. Bo czasy były ciągle niepewne. Ukrywali te swoje guldeny i złote łańcuchy wraz z wiarą luterańską, choć – jak na tamte czasy – mieli się stosunkowo dobrze. Jednak dla pastora Freytaga najważniejsze były nauki Marcina Lutra, mające przywrócić światu czystość po tej strasznej wojnie, a przede wszystkim po wiekach papieskiego despotyzmu. Pastor odważnie przyjmował na siebie gorące podmuchy katolików, których w pobliżu nie było znowu tak wielu. Choć nieliczni, cieszyli się jednak przychylnością wiedeńskiego dworu, gdzie rządził arcykatolicki cesarz, oraz Rzymu, wraz z jego samozwańczym następcą świętego Piotra. A ten przybłąda, nadworny lekarz, tylko przeszkadzał pastorowi w jego nabożnym dziele. Być może Freytag raz za razem stawiał sobie to pytanie: dlaczego Scheffler nie został na zawsze w tej nędznej Italii, zamiast tutaj bałamucić książęce towarzystwo? Zadaje się z podobnymi sobie i szerzy niepokój, który miał heretyckie zabarwienie. Jednym słowem – nie przepadał za nim. Ani za pałacowym bibliotekarzem, nie wiadomo jakiego właściwie wyznania. Ani sekretarzem księcia pana, specjalistą w układaniu nieobyczajnych sonetów. Ani ochmistrzem handlującym z żydami. Jeśli doliczyć dowódcę straży pałacowej, zawsze podchmielonego, oraz rachmistrza, wierzącego w kabałę tudzież inne przesady, haniebna to była kompania. Raczej odrażająca koteria, która jego też nie darzyła sympatią. Na pewno coś tam knuli za jego plecami. Bawili się jego kosztem na jakiś bezbożny i diabelski sposób. Więcej uwagi poświęcali oni astrologii i alchemii niż szczerzej wierze chrześcijańskiej, czyli doktrynie zbawienia. Szczególnie zaś cięty był Freytag na Abrahama von Franckenberga, największego tam wicherzyciela. Ten to sobie pozwalał najwięcej, korzystając ze swych sędziwych lat i towarzyskich notowań. Przyjmowano go w pałacu łaskawie, bo miał jakoby czegoś nauczać książęce dzieci. Zapewne niczego dobrego. W dodatku przy każdej okazji wystawiał pastora na najcięższe próby, mimo że ten go unikał. Ośmieszał go, drażnił i prowokował. Do teozoficznych rojeń i Bóg wie czego jeszcze pan Abraham miał tu lepszych partnerów. Mieszał w głowach dworskiej młodzieży, a najbardziej zawziął się na tego młokosa-lekarza, który po studiach w Strassburgu i Padwie jakimś diabelskim podstępem wkradł się w łaski księcia pana. Tak. Pastor widział przecież, jak Johannes Scheffler staje się ofiarą przewrotnego Franckenberga. Od samego początku okazywał mu wielkie zainteresowanie, aż w końcu stali się nierozłączni. Podstarzały bałamut obdarowywał go książkami, od czytania których nie idzie się bynajmniej do nieba. Co najgorsze, źle usposabiał go wobec pastora. A ten przecież nawet nie oczekiwał szacunku dla siebie. Chodziło mu wyłącznie o cześć dla słowa bożego, którym okadzał każde spotkanie, wspólny posiłek czy towarzyskie zebranie. Freytag zaciskał zęby i tłumił irytację, ale z dnia na dzień było mu coraz trudniej. Choćby dlatego, że Franckenberg i cała ta jego kompania z fanatycznym oddaniem przysparzała czytelników obrzydliwym pismom przekłętego szewczyka z Görlitz, jawnego bezbożnika,

Jakoba Böhme. Główny zgorzelecki pastor, sam wielbny Georg Richter, uznał je za wskroś heretyckie, co przecież potwierdził Wyższy Konsystorz Saksonii. Bowiem Böhme miał czelność twierdzić, że opuszkami swych palców muskał stopy Chrystusa. Patrzył w oczy samego Pana Boga i poznał najgłębsze tajemnice stworzenia. Abraham von Franckenberg, właściciel pobliskiego Ludwigsdorfu, wierzył w te brednie i to czyniło go w tym gronie największym herezjarchą. Więc ostatecznie dlatego trafi do piekła, gdzie będzie smażył się w smole.

Mówiło mi się to gładko, bo jednak z uczuciem, że dwa plany czasowe, ten znany mi ze ślęczenia w bibliotekach i szperactwa w archiwach, pozostają w jakiejś wzajemnej harmonii – przeszłość odległa i przeszłość widziana naocznie, ta niedawna, moja własna. Mówiłem, ale teraz bliższe były jednak sprawy podpowiadane mi przez twarze, jakie miałem przed sobą, niż tamte, schematycznie ujęte na siedemnastowiecznych rycinach. Właśnie jedna z nich, chyba nie po raz pierwszy, pojawiła się na ekranie. Kątem oka dostrzegłem jedną z tych karykatur, przedstawiających doktora Johanna Schefflera w księżym stroju, kramarza jarmarcznego, oferującego medaliki, różańce, paciorki, szczotki, okulary i świecidełka. Takie rytowane paszkwile rozprowadzano masowo dla ośmieszenia, gdy już Johannes otwarcie wystąpił przeciw reformatom.

teatr STU



ROBERT GAWŁOWSKI

Z „Boskiego światła”

Na pełną wdzięczności imaginowaną rozmowę Christopha Kölera
i Martina Opitza spisaną przed pożegnaniem Elisabethanum, 1643

Köler:

Cóż u mistrza? Nowe poema...?

Opitz:

„Methamorphosis” Owidiusza...

Köler:

Nie byłże on wygnany z Rzymu?

Opitz:

Prawda, ale nauka dla nas.

Köler:

Jaka nauka? Cóż to umyśliłeś?

Opitz:

Wygnańnych znam wielu...

Kto jednak w sobie ojczyznę posiada,
ten jest w ojczyźnie serca prawdziwej.

Köler:

Tak. To się zgadza.

*Choć dom mój za morzem, w sercu go noszę,
jakbym miał przy sobie dziedzinę mą bliską...*

Opitz:

Jak Owidiusz do Rzymu, tak i ja tęskniłem.

Köler:

A cóż tam w strofach?

Opitz:

Metrum... porządek... klarowność wyrazu...

Köler:

Uczymy tu młodych z twego
„Buch von der deutschen Poeterei”.

Opitz:

Słuchałem „Daphne”, pięknie to śpiewali.

Köler:

A ta rzecz o czym?

Opitz:

Owidiuszowe czary.
Junona zmienia Kallisto
w niedźwiedzią samkę...

*Na ramionach wyrosła sierść czarna potwornie,
Z jej rąk – łapy powstały i się wykrzywiły,
Kończąc się pazurami. Bogu ongiś miły
Obraz zgasł twarzy – paszcza powstała szkaradna!
Do jej serca nie trafia odtąd prośba żadna,
Ludzka mowa jej obca, a jakaś chrapliwa,
Groźna i wściekła, straszna, z gardła się dobywa.*

...

A dalej, co i jak było?
Nie pamiętam.
Zagubiły się karty.

Utwór ten powstał w ramach cyklu poetyckiego, którego znaczna część ukazała się w trójjęzycznym tomie zatytułowanym „Boskie światło / Göttliches Licht / Božské světlo” (Akwedukt, Wrocław 2024), ale ze względów objętościowych nie został w tym zbiorze opublikowany.

MARCIN CZERWIŃSKI

Być jak Johannes Scheffler

Rozmowa z Robertem Gawłowskim o projekcie poetyckim
Boskie światło i o Angelusie Silesiusie

Marcin Czerwiński: Powiedz, proszę, kiedy po raz pierwszy przyszło ci na myśl, by stworzyć, a właściwie sfingować raptularz Ślązaka. Inaczej mówiąc: jak narodził się pomysł na ten jego dziennik poetycki?

Robert Gawłowski: To zaczęło się bardzo dawno temu. Jako pierwszy Angelusem Silesiusem zainteresował mnie wrocławski poeta i tłumacz Bernard Antochewicz. Na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego stulecia kilka razy byłem u niego w domu jako tak zwany „młody poeta”. Czytał mi swoje przekłady z Anioła Ślązaka. Potem ukazała się wybór wierszy Silesiusa w jego przekładzie. To był już rok 1992, a książka ukazała się w prowadzonej przez Gabriela Leonarda Kamińskiego Rękodzielni Arhat. Wówczas pracowałem w Radiu Wrocław i pojechałem do niego na nagranie. Nie pamiętam, czy powstała z tego osobna audycja, czy też nasza rozmowa została włączona do radiowego tygodnika literacko-muzycznego „Obecność”, który przygotowywałem wspólnie z Lotharem Herbstem i Romkiem Kołakowskim. Ale to na pewno Antochewicz zapoczątkował moją przygodę z Angelusem Silesiusem. Było to już po realizacji przez Teatr Polskiego Radia mojej sztuki o Edycie Stein zatytułowanej *Droga w ciemności*. Bernard Antochewicz też był tym bardzo zainteresowany. Pamiętam, że mi się wtedy żalił na trudy i obojętność wydawców, którym Silesius był zupełnie obcy i pewnie kompletnie nieznany. Potem ten temat co jakiś czas do mnie wracał, myślałem nawet o słuchowisku radiowym na podstawie *Cherubinowego wędrowca*. Namawiał mnie do tego Jerzy Prokopiuk podczas nagrań w studiu radiowym przy Karkonoskiej, ale wtedy zajmowaliśmy się czym innym, bo ezoterycznymi korzeniami niemieckiego nazizmu. Przez wiele lat jednak czytałem pojawiające się nowe przekłady z Silesiusa, jakieś opracowania, a w dobie internetu zacząłem robić sobie kwerendy, zbierać materiały, zapisywać w komputerze pliki. To się zbierało we mnie latami. Natomiast pomysł *Boskiego światła* pojawił się jakieś półtora roku przed pandemią. Postanowiłem wziąć udział w konkursie na stypendium Samorządu Wrocławia na rok 2021. A gdy je zdobyłem, zabrałem się do systematycznej pracy. Poruszyło mnie jedno zdanie z mowy nad trumną Silesiusa,

jaką w 1677 roku wygłosił jezuita Daniel Schwarz. Zdanie to mówiło o raptularzu Silesiusa, który zakonnik miał w rękę, a którego – od tamtej pory – chyba nikt już nigdy na oczy nie ujrzał. I tak narodził się pomysł napisania takiego poetyckiego raptularza niby ręką, umysłem i sercem samego Silesiusa.

Zastanawiam się, na ile istotny jest dla ciebie proces, który nazwałbym *przeistaczaniem*. W roku 1992 premierę miała twoja *Droga w ciemności* eksplorująca mentalny świat Edyty Stein. Sześć lat później wydałeś natomiast książkę poetycką *Georg – ostatnie chwile, ostatnie błyski*, którą bardzo mocno wkraczałeś w świadomość innego poety, Georga Trakla. Teraz znów jako poeta przeistaczasz się niejako w Silesiusa...

To trafne spostrzeżenie i cieszę się, że ten temat poruszasz. Jak wiesz, figurą osoby lirycznej posłużyłem się w książce poetyckiej *Marko Polo*, po czterdziestu latach zdarzyło się to znów w zbiorze *Peregryn*. Co innego jednak mówić „ty”, a co innego mówić sobą jako innym „ja”, tym bardziej, jeśli owo „ja” na tym świecie żyło, ma swoją biografię, którą znamy albo której dobrze poznać niepodobna, bo czas zatarł tropy i ślady, bo brakuje nam wiedzy o faktach, ludziach, zdarzeniach i możliwe, że już nigdy więcej się nie dowiemy. W przypadku przywołanej sztuki teatralnej o Edycie Stein, która miała dość dobrą recepcję w Polsce i Niemczech (realizacje radiowe, teatralne i choćby dwa przekłady na niemiecki – Jerzego Łukosza i Elisabeth Schoeller), była to kwestia scenicznej budowy wielu postaci, bo przecież nie tylko Edyty Stein i jej rodzonej siostry Róży czy ich matki, ale też innych osób, na przykład filozofów – Edmunda Husserla i Adolfa Reinacha. W spektaklu jednak owo, jak powiadasz, przeistoczenie odbywało się niejako pośrednio, bowiem rzecz zaczynała się Prologiem, czyli próbą czwórki aktorów, którzy rozmawiają o tym procesie wchodzenia w Drugą/Drugiego, mówienia i bycia Drugą/Drugim. Na ile to w ogóle możliwe i bliskie jakiejś psychologicznej prawdy o osobie, o konkretnych okolicznościach, także tych historycznych. Przypomnę, że akcja tego dramatu toczy się między 2 a 7 sierpnia 1942 roku na terenie okupowanej Holandii, Niemiec, okupowanych Czech i Polski. Jest to czas między jedną a drugą niedzielą. Dokładnie siedem dni drogi sióstr Edyty i Róży Stein do komory gazowej w obozie Auschwitz-Birkenau. Niemniej jednak relacja między autorem a stwarzaną czy odtwarzaną przezeń postacią jest dla mnie wciąż wielką zagadką, więcej – tajemnicą. Sam nie bardzo rozumiem, jak się to przedzierzgało w Inną/Innego odbywa.

Za każdym razem było to i nadal jest dla mnie najpierw jakieś ogromne stężenie wyobraźni. Potem przychodzą próby wejrzeń i – jakby powiedział Bert Hellinger – wglądów. No i wreszcie ten, najbardziej niepojęty, stan graniczny, kiedy słyszysz Ją/Jego w sobie i kiedy Ona/On zaczyna tobą mówić.

Tak też, podobnie i niepodobnie, było w przypadku poematu o Georgu Traklu, gdzie mówi i On, gdzie mówi też Jego Alter Ego, gdzie te dwa głosy ze sobą dialogują, a równocześnie i do Jednego, i do Drugiego docierają także głosy z zewnątrz, głosy innych, które częstą ranią, zadają ból, ale nie na tym koniec, bo są przez bohatera/bohaterów niemal masochistycznie powtarzane, rezonują, wywołują jakiś, gma-

twający się, wewnętrzny dyskurs. Zanim więc usłyszałem w sobie głos Angelusa Silesiusa, były choćby te dwa doświadczenia, których wspomnienie przed chwilą we mnie wywołałeś.

To ciekawe, że wcześniej pojawia się forma dramatyczna – myślę o sztuce poświęconej Edycie Stein. A to dlatego, że *Boskie światło* jako tom poetycki zapożycza część struktury od dramatu: mamy tutaj prolog, epilog, a także osoby dramatu – jak piszesz: *dramatis personae*. Czy ta teatralizacja stanowi rodzaj swoistego konceptu – temat jest przecież barokowy – czy też osoby dramatu rzeczywiście uzyskują swój autonomiczny głos w tekście poetyckim?

Istotnie, konstrukcja książki nawiązuje do budowy dramatu antycznego. Podkreślam jednak, że chodzi wyłącznie o konstrukcję całej książki, na którą składają się tekst domniemanego raptularza poetyckiego Angelusa Silesiusa oraz tak zwane odautorskie dodatki. Posłużyłem się tu jednak wyłącznie onomastyką – *prolog, commentaria, calendarium vitae, dramatis personae, epilog*. Moją intencją było stworzenie pewnego tekstowego klimatu wokół cyklu ponad 90 wierszy. Ważne są też incipity (tak zwane przedślowie i posłowie), ponieważ rzecz poetycka zaczyna się i kończy krótkimi cytatami wyjętymi z dzieła Silesiusa, co oczywiście wyraźnie zaznaczam i oddzielam od swojego tekstu. Ta – jak powiadasz – „teatralizacja” odbywa się zatem także na zewnątrz wierszy. Oczywiście „teatralizacją” jest każdy wiersz. Od początku do końca „mówię Silesiusem”. Kreacją jest zatem sama konstrukcja lirycznego „ja”. Teatralizacji wymagało konstytuowanie jego osobowości w wierszu. Mówiąc najprościej, tak jak aktor, musiałem za każdym razem wchodzić w rolę Johanna Schefflera – Angelusa Silesiusa. I, doprawdy, sam nie wiem, jak to się działo. A może było odwrotnie? Może to on „wchodził” we mnie i mną mówił? To nie kokieteria. Doznawałem bowiem jakichś niepojętych stanów, gdy „to” mówiło we mnie, a potem mną pisało. Czyli nie było wykoncypowane, wcześniej obmyślane. Choć, oczywiście, potem przychodził czas takiej rzemieślniczej „obróbki” wiersza, ustalania miejsca danego utworu w całości, która – tak sobie to założyłem od początku pracy – miała zachować chronologiczny porządek żywota głównego bohatera. Zatem jakiś ogólny koncept od początku był. Gdybym się go jednak kurczowo trzymał, pewnie napisałbym takie wiersze-wypracowania, a to przecież żadna frajda czy przygoda. Jeśli zaś chodzi o „osoby dramatu”, to głosu udziela im tylko mówiący w tych wierszach „mój” Silesius. A nawet nie tyle udziela, ile przywołuje jakieś-czyjeś głosy, jakby dobywał ich już tylko ze swojej pamięci.

***Boskie światło* to kolosalny projekt literacki: 240 stron, na które składa się prawie setka wierszy, do tego dochodzi olbrzymia aparatura przypisów i wyjaśnień oraz potężna bibliografia. Oprócz tego tłumaczenia całości na język czeski i niemiecki, jak rozumiem dokonane we współpracy czy przynajmniej w konsultacji z tobą. Widać po tym, że nie jest to tylko książka poetycka, nie są to tylko pastisze Aniola Ślázaka, ale też zakrojona na szeroką skalę rekonstrukcja historyczna, kulturowa, religijna. Jak długi czas zajęła ci praca nad**

tym projektem, bo przecież równocześnie pracowałeś cały czas zawodowo...? Interesuje mnie, jaki miałeś system pracy.

Było kilka etapów tej pracy. Najpierw, przez wiele, wiele lat – przede wszystkim – czytałem polskie przekłady Silesiusa. Śledziłem to, co się ukazywało. Była to jeszcze taka okazjonalna, nieregularna lektura. Gromadziłem, co się dało, w komputerze i na zewnętrznych dyskach, ale nie myślałem jeszcze o jakimkolwiek własnym, tym bardziej poetyckim projekcie. Potem pojawiły się pierwsze przymiarki i myślenie: „A co, gdyby tak spróbować...”. Wreszcie zacząłem podchodzić do tych pomysłów coraz bardziej serio. A im bardziej serio, tym więcej lektury i internetowych kwerend, studiowanie tak zwanej fachowej literatury przedmiotu. Ustalanie tego, co wiemy o Schefflerze/Silesiusie na pewno, a co jest tylko przypuszczeniem, gdzie są luki, jakie źródła historyczne się zachowały, jakie były, ale zaginęły, gdzie ich ewentualnie szukać, i tak dalej, i tak dalej.

A zatem istnieją luki w jego biografii... Doszedłeś tu do jakichś odkryć?

Nie zawsze były to odkrycia w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale... Skojarzyłem na przykład, że kiedy Johannes Scheffler był lekarzem nadwornym w Oleśnicy, dokładnie w tym czasie w tamtejszej oficynie Johanna Seyfferta wydrukowano dzieło życia wielkiej śląskiej astronomki Marii Cunitz *Urania Propitia, Sive Tabula Astronomica mire faciles* (*Łaskawa/Życzliwa Urania, czyli astronomia przybliżona czytelnikowi*). Księga ta, choćby z racji cenzury książęcej, musiała się znaleźć na oleśnickim dworze i nie jest wykluczone, że żywo zainteresowani astronomią i astrologią Johannes Scheffler oraz jego duchowy przewodnik Abraham von Franckenberg, wcześniej współpracownik Jana Heweliusza w Gdańsku, musieli tę księgę przynajmniej przeglądać. A była to rzecz niebagatelna. Dość powiedzieć, że dokonania Marii Cunitz okazały się kluczowe, gdyż astronomii Keplerowskiej uczono nie tyle z dzieł Keplera, co właśnie z jej łacińskiego i niemieckojęzycznego opracowania. Podzielone na 23 rozdziały i poprawione przez Cunitz tablice astronomiczne Keplera, tworzą wielkie dzieło liczące ponad 500 stron. I wcale nie odeszło ono do lamusa, a przeciwnie, nadal posługuje się nim NASA. Jeśli więc, na przykład, przyjrzeć się dokładniej notatkom, jakie Johannes Scheffler czynił na marginesach opasłej, uczonej książki medycznej Paracelsusa, która znajduje się w zbiorach specjalnych Biblioteki Głównej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, to nie sposób nie zauważyć, że przyszły Angelus Silesius całkiem nieźle radził sobie z ówczesną astronomią, co miało niewątpliwy wpływ na jego postrzeganie sensu istnienia i praw boskich.

Przy pracy nad *Boskim światłem* skontaktowałeś się też z badaczami spuścizny Silesiusa...

Udało mi się nawiązać cenne, osobiste kontakty z badaczami, znawcami i tłumaczami utworów Silesiusa na język polski. Potem przyszedł rok 2020 – czas pandemii i zostaliśmy zamknięci w swoich domach. Pracowałem zdalnie, nie tra-

ciłem czasu na dojazd do pracy. Podczas wakacji 2020 przygotowałem wniosek o roczne stypendium Samorządu Wrocławia. Złożyłem go i czekałem na werdykt. A gdy się okazało, że mój projekt otrzymał aprobatę, zabrałem się już bardzo intensywnie do pracy. Od początku wiedziałem, że faktycznie powinna to być wielowymiarowa rekonstrukcja historyczna, tak w obrębie samego tekstu poetyckiego, jak i w obszarze dodatków i objaśnień, o których wspominałem wcześniej. Najpierw jednak powstało wiele, ponad 140 wierszy, z których do książki weszło 91. W selekcji utworów bardzo pomógł mi wieluński poeta Maciej Bieszczad, z którym odbywaliśmy częste spotkania online, bo tylko takie były możliwe. Po zakończeniu tego etapu zrobiłem sobie kilkutygodniową przerwę, w trakcie której – ponieważ dla psychicznego odpoczynku – napisałem wydaną niedawno powieść poetycką *Peregryn*. Dopowiem jeszcze, że równolegle i jakby zupełnie autonomicznie od pracy nad *Boskim światłem* powstawały wiersze do wydanego w październiku 2021 roku obszernego zbioru wierszy *Życie wieczne*. A w tym wszystkim – pamiętaj – praca zawodowa! Bez taryfy ulgowej ze względu na pandemię, na przykład z koniecznością sporządzania codziennych raportów z wykonanych zadań. Tak więc z końcem wiosny 2021 roku zasiadłem do pisania objaśnień i komentarzy, kalendarium życia Angelusa Silesiusa, słownika postaci, wreszcie odautorskiego wstępu oraz posłowania. Był to czas już naprawdę głębokich i wnikliwych studiów. Bardzo pomagali mi swoimi radami oraz wskazówkami wybitni znawcy dzieła Silesiusa – profesor Cezary Lipiński z Uniwersytetu Zielonogórskiego i doktor Piotr Wiktor Lorkowski z Sopotu. Wiersze-jaskółki tej książki opublikowałem dość szybko na łamach *Toposu*, *Śląska* i *Almanachu Prowincjonalnego*. Był to swoisty test, jak rzecz zostanie przyjęta. Miałem, co oczywiste, bardzo wiele obaw. Acz okazało się, że ten mój *Silesius*, jak to mówią, całkiem dobrze „chwytą”. A dalej? Zgodnie z umową stypendialną rzecz była skończona już w grudniu 2021 roku, a z początkiem roku 2022 trafiła do tłumaczy – profesorów Edwarda Białka (język niemiecki) i profesora Libora Martinka (język czeski), bo wydawca tej książki Ryszard Sławczyński, który prowadzi Oficynę Wydawniczą „Akwedukt” przy wrocławskim Klubie Muzyki i Literatury, proponował od razu przygotowanie tomu trójjęzycznego.

W epilogu piszesz, że przemieszczałeś się śladami Silesiusa po Dolnym Śląsku. Chciałbym zapytać o swoistą geopoetykę: czy miejsca, lokalizacje, które odwiedzałeś, jeśli faktycznie je odwiedzałeś i nie była to tylko podróż wyobraźni, czy były one źródłem dla powstania poszczególnych wierszy? I czy zdarzyło się tu coś ciekawego, to znaczy, czy odkryłeś na przykład, podróżując, pewne detale architektoniczne, ślady, widoki, od których wzięły swój początek teksty?

Ciekawe jest chyba to, że przez cały okres studiów na wrocławskiej polonistyce, które zacząłem w 1976 roku, czyli prawie 300 lat po śmierci Silesiusa, nieustannie, choć początkowo zupełnie bezwiednie, dreptałem jego śladami – plac Nankiera, ulice Grodzka i Szewska z Biblioteką Ossolineum, gdzie pierwotnie znajdował się klasztor Krzyżowców z Czerwoną Gwiazdą, a gdzie w 1652 Johannes Scheffler został lekarzem. Tuż obok kościoła pod wezwaniem Świętego Macieja, gdzie (12 czerwca 1653

roku) przeszedł na katolicyzm i gdzie też został pochowany po śmierci. A nieopodal ulica Krawiecka, za jego czasów Mäntler Gasse, gdzie najprawdopodobniej 400 lat temu przyszedł na świat i gdzie stał jego rodzinny dom. Niedaleko też – kościół Marii Magdaleny między ulicami Szewską i Łaciarską w pobliżu Rynku, gdzie został ochrzczony 25 grudnia 1624 roku. Wreszcie, słynne ewangelickie Gimnazjum Świętej Elżbiety (dziś przy ulicy jej imienia), gdzie nie tylko pobierał nauki, ale też pisał swoje pierwsze utwory poetyckie. Potem w życiu młodego Johannes Schefflera były trzy ważne europejskie uniwersytety – w Strasburgu, Lejdzie i Padwie. Ale żadnego z tych miast nie odwiedziłem bezpośrednio. Choć bardzo chciałem i miałem nawet pewne możliwości – to w czasie obostrzeń pandemicznych było to zupełnie niemożliwe. Od czego jednak jest internet. Uprawiałem więc fascynujące peregrynacje online. Oglądałem filmy, fotografie i starodruki, ryciny, czytałem, notowałem. I może nawet zobaczyłem i dowiedziałem się więcej niż podczas realnej podróży. Wędrowałem natomiast z ochotą do miejsc bliskich i dobrze mi znanych, jak Oleśnica, Nysa, Bierutów, Krzeszów, Lubiąż, Sobótka, Ślęża i wieś Ręków u jej podnóża. Nie chcę się rozgadywać, ale każda z tych miejscowości, każde z miejsc było ogromnie ważne. Już to ze względu na konkretne zajęcia i dzieła Silesiusa, już to ze względu na ważne zdarzenia z jego życia, a także na osoby, z którymi się stykał i które miały wpływ na jego losy oraz na kształt tego, co po sobie pozostawił. Tak, i pejzaż, i widoki, i usytuowanie topograficzne, i architektura, detale i ślady – wszystko to było ogromnie ważne i inspirujące. Muszę też koniecznie wspomnieć o wędrownkach po zasobach cyfrowych wielu bibliotek i archiwów rozsianych po całym świecie. Digitalizacja zbiorów piśmienniczych to rzecz wspaniała. Szybkość, z jaką możemy dziś docierać do unikalnych rękopisów, starodruków, rycin, opracowań; wsparcie elektronicznych translatorów, bo musiałem tłumaczyć sobie teksty pisane w wielu różnych językach; możliwość kontaktu za pomocą poczty elektronicznej z autorkami i autorami prac – były niebywale pomocne, zwłaszcza gdy pisałem wspomniane objaśnienia i komentarze do wierszy. Przy okazji niejako dokonałem kilku – myślę – ważnych odkryć.

Jestem bardzo ciekawy. Powiesz coś więcej? W naszej wcześniejszej rozmowie wspominałeś bodajże o ówczesnych poetkach śląskich... Czy to o nie chodzi?

Miałem na myśli jedną poetkę śląską tamtego czasu. Nazywała się Elisabeth von Senitz i była prawie rówieśnicą Angelusa Silesiusa, którego musiała poznać osobiście na zamku w Oleśnicy. W tym samym czasie bowiem, gdy Johannes Scheffler był nadwornym medykiem księcia Sylwiusza Nimroda Wirtemberskiego, ona była damą dworu jego żony – księżnej Elżbiety Marii. Być może pobierała nawet u Silesiusa pierwsze poetyckie lekcje. Nie jest to przypuszczenie bezpodstawne, bowiem jej pieśni religijne były przypisywane często autorowi *Cherubinowego wędrowca*, a hymn *O, du Liebe, meiner Liebe* to do dziś chętnie śpiewana pieśń luterńska, do której muzykę skomponował Johann Sebastian Bach. To moje odkrycie sprzed kilku lat potwierdziła, jak się okazało, profesor Mirosława Czarnecka z wrocławskiej germanistyki w pracy *Strach, śmiech i łzy. Dyskursy antropologiczne w literaturze (nie*

tylko) śląskiego baroku. Przyznam, że wcześniej nie znałem tej książki. Wyobrażasz sobie zatem, co musiałem czuć, gdy się okazało, że Elisabeth von Senitz w swoim cyklu *Andächtige Kreutz-Gedancken bei dem Kreutz Christi (Pobożne przemyślenia pod krzyżem Chrystusa)* realizuje estetyczny program duchowego petrarkizmu, sformułowany przez Johannesa Schefflera we wstępie do *Heilige Seelen-Lust Oder Geistliche Hirten-Lieder (Święta radość duszy albo duchowe pieśni pasterskie)* z 1657 roku. Moje nieśmiałe przypuszczenia potwierdziła wybitna badaczka i znawczyni literatury niemieckiego baroku, która szczególne podobieństwa dostrzega w obrazowaniu postaci Ukrzyżowanego u obojga poetów. Jak trafiłem na Senitz, która od urodzenia była związana z Rękowem pod Sobótką? To przypadek, a może i Palec Boży, gdyż moja córka będąca w nauczaniu domowym zapisana została do Szkoły Podstawowej w Rękowie właśnie. Ponieważ w Rękowie bywaliśmy bardzo często, zaciekała nas historia tej miejscowości. I tak, szperając w różnych opracowaniach, trafiliśmy na Elizę von Senitz. A później się okazało, że na dworze w Oleśnicy panna von Senitz spotkała pewnego podróżnika, którego z wzajemnością pokochała i za którego zamierzała wyjść. Pastor dowiedział się jednak, że kandydat na męża ma już żonę. Narosły wokół sprawy skandal sprawił, że dziewczyna musiała opuścić dwór i wrócić do rodzinnego Rękowa, gdzie spędziła resztę życia. Jej obycie, doświadczenia i wrażliwość przełożyły się natomiast na poetycki sukces. Prowadziła korespondencję z wielkimi uczonymi, a nawet – jako jedna z 14 kobiet – została przyjęta do Pegnesischer Blumenorden (Pegnicki Zakon Kwiatów, jedyne stowarzyszenie literackie z okresu baroku istniejące do dziś), którego członkowie wybierali dla siebie nowe imiona i kwiaty-atrybuty. Znamienne, że poetka zdecydowała się wystąpić jako Celinda, nawiązując prawdopodobnie do bohaterki Andreasa Gryphiusa wpisującej się w literacki wzorzec nieszczęśliwej kochanki. Jej kwiatem został natomiast jaśmin.

Historia Elizabeth von Senitz brzmi wręcz filmowo. Orientujesz się, gdzie aktualnie działa Zakon Kwiatów i kto do niego należy?

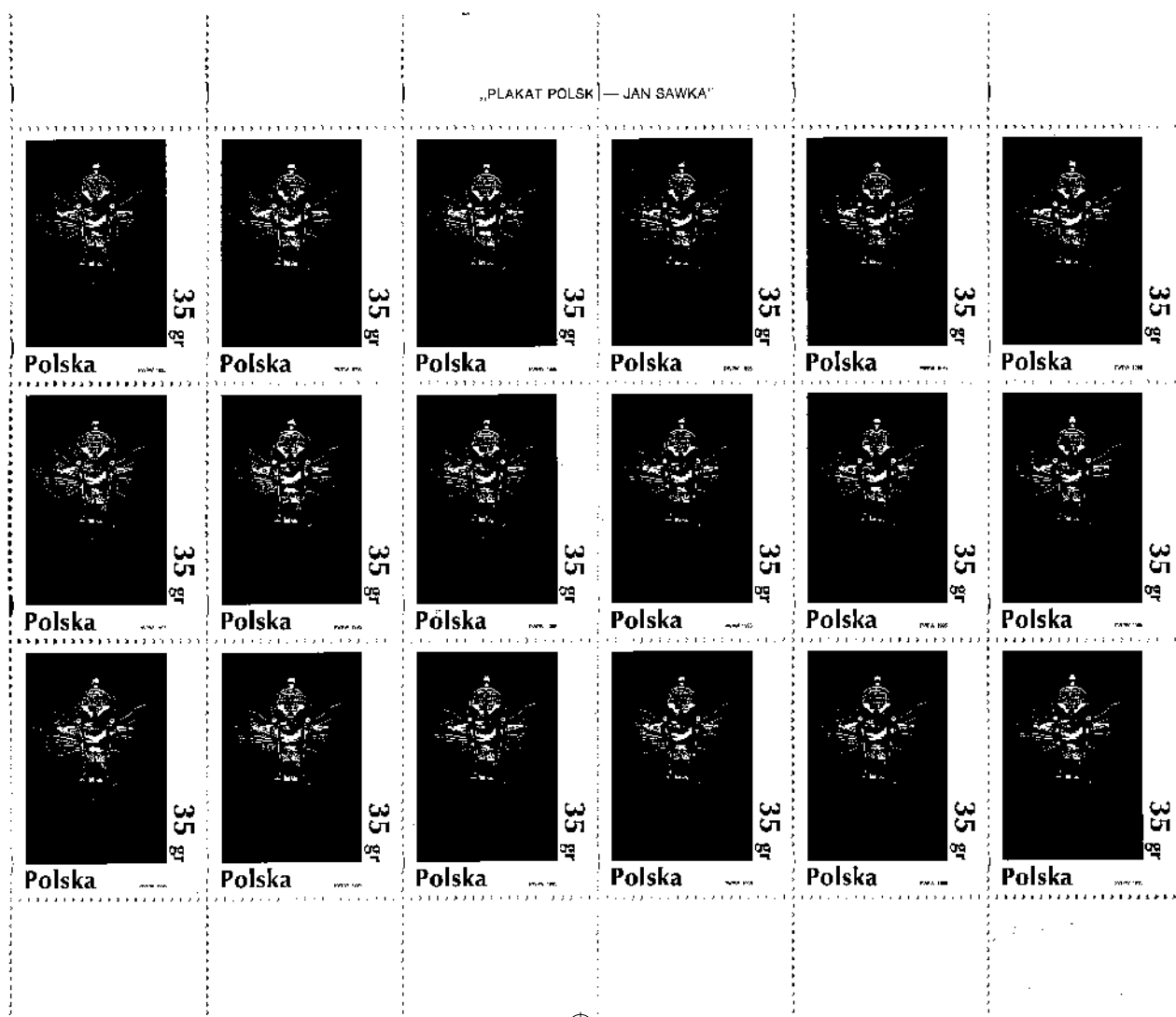
Z tego, co wiem, poetki i poeci niemieccy tworzący w naszych czasach nadal spotykają się w gaju Irrhain, położonym w pobliżu Kraftshof (Kraftshofer Forst) niedaleko Norymbergi. Pierwotnie był to las przypominający labirynt. Każdego roku w maju odbywa się tu między innymi „Irrhainfest” i konkurs poetycki o „Złotą Doniczkę”. Ponadto obszar ten jest zawsze otwarty i chętnie odwiedzany przez turystów. Obok poezji często słychać tam również muzykę. Nie tak dawno w Irrhain koncertował na przykład Nürnberg Accordion Ensemble, wirtuozowski sextet akordeonowy pod dyktando Marco Röttiga. Pegnicki Zakon Kwiatów wydaje też rocznik literacki *Blattwerk*. A jak informuje redakcja tego periodyku, pismo publikuje teksty autorek i autorów z całego obszaru niemieckojęzycznego, od Henstedt-Ulzburg na północ od Hamburga przez Hanower do Klagenfurtu, od Wuppertalu do Mantel w Górnym Palatynie, a także z obszaru frankońskiego od Rückersdorf, Cadolzburg i Mosbach – ale oczywiście także z Norymbergi, czyli miasta, w którym powstał i działa Zakon Kwiatów. Trudno wymienić mi konkretne nazwiska, bo od 1644 roku przez

Zakon przewinięło się 1811 wybitnych postaci, a dość powiedzieć, że od początku XX wieku do chwili obecnej było ich ponad 800. Tylko w tym stuleciu do tego towarzystwa dołączyło ponad sto nowych osób. To nie tylko poetki czy poeci, ale też wybitni literaturoznawcy, językoznawcy, przedstawicielki i przedstawiciele różnych innych dziedzin nauki, także wybitne osobistości życia kulturalnego i politycznego.

Masz coś jeszcze w zanadrzu?

Nie chciałbym zdradzać wszystkiego. Ale, niejako z marszu, przystąpiłem do pracy nad esejem historyczno-literackim zatytułowanym *Tajemnice Silesiusa*, co zajęło mi ostatnie dwa lata. I, wierz mi, warto było... Ale o tym opowiem może innym razem.

Dziękuję ci za rozmowę i życzę dalszych tak owocnych etapów obcowania z Angelusem.



JAROSŁAW BARAŃCZAK

Zabrany most

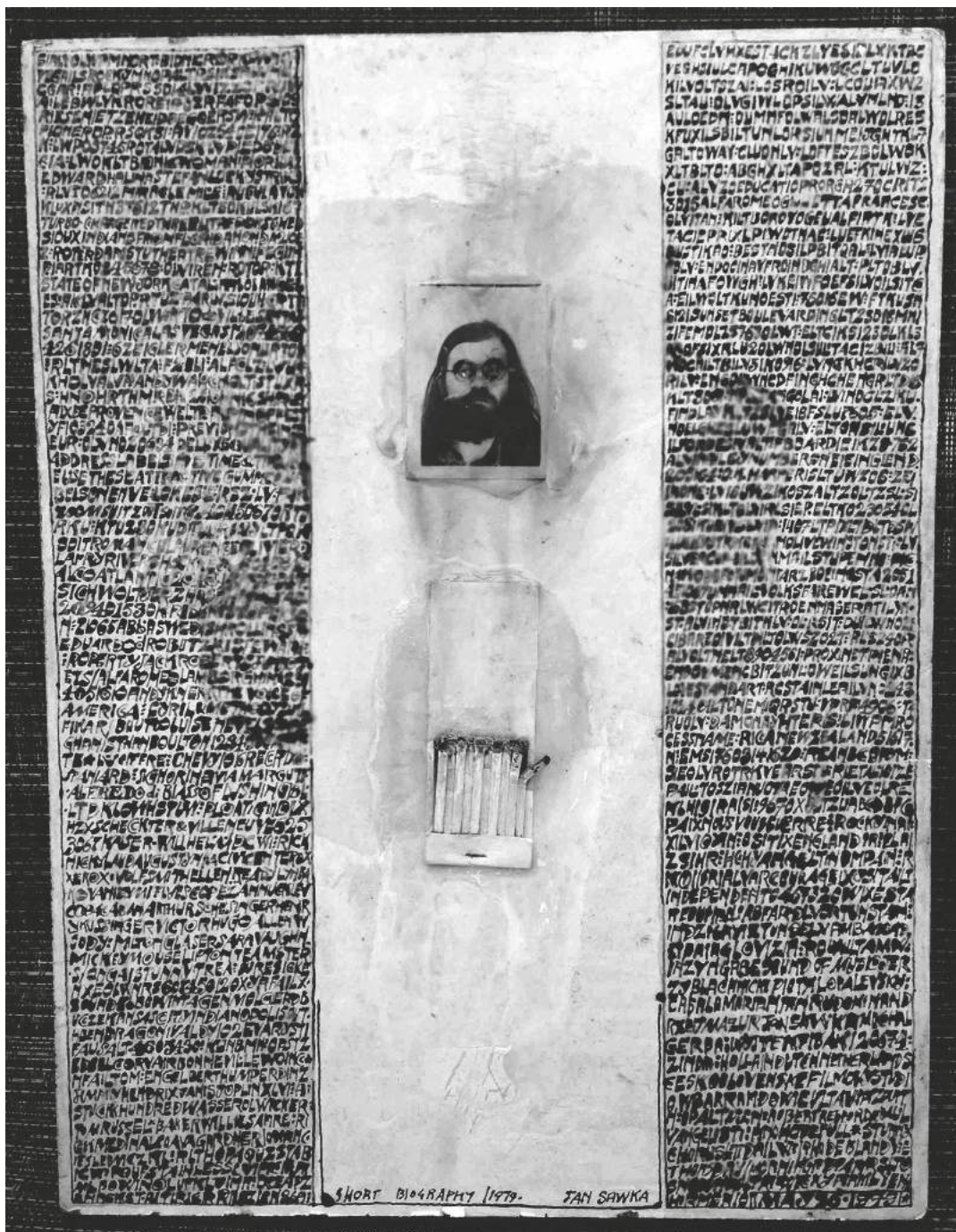
Kiedy patrzyła na tę wielką wodę,
widziała łąkę i zdziwione duże oczy krowy.
Słyszała prychanie końskich chrap
i znikający tupot w lekkiej mgle
płynącej znad lasu.

Kiedy patrzyła na tę wielką wodę,
budziły ją szczeknięcia psów
tuż przed świtem i lęk, czy lis znów
nie naszedł kurnika. Za oknem widziała
migające światełko roweru.

Kiedy patrzyła na tę wielką wodę,
czas unosił się dymem zmieszany
z zapachem tamtego dnia, kiedy rano
wyszli z namiotu wprost na skarpe
rzeki gładkiej jak rybia łuska.

Kiedy patrzyła na tę wielką wodę,
wiedziała, że teraz znów została zdradzona.
W ciągnącym się przed nią rozlewisku
toneła, choć nie czuła się winna. Przecież
nie ona wsiadła wtedy do pociągu,

który odjechał po moście zabranym
przez tę wielką wodę.



Grafika MÓJ ZWIĘŻY ŻYCIORYS, 1979

Czas kata, czas ofiary

Sekretarka ostrożnie zamknęła za nim drzwi. Prezes, nie zwracając na mnie uwagi, pewnym krokiem przeszedł za fosę czarnego biurka.

- Dlaczego pan nie usiadł? – Przesunął jakieś papiery.
- Jestem tu po raz ostatni, a widzę nowy obraz na ścianie.
- Zna się pan na sztuce?
- Interesuję się nią od czasów studenckich.
- Zrobiłem dobry zakup? – Teraz dopiero uraczył mnie spojrzeniem.
- Finansowo tak.
- Czyżby to nie było jedyne i najważniejsze kryterium? – Przygryzł górną wargę i wysunął szczękę, jakby za chwilę miał parodiować Mussoliniego. – Pochwalili nas w mediach, że popieramy artystów, rodzimą sztukę i takie tam różne...
- Przepraszam, przyniosłem projekt – przypominałem. – Jestem w zastępstwie...
- Wiem, Stan meldował mi o tym przed wyjazdem. – P. mówił bezbarwnym, znudzonym głosem. Odjechał z fotelem od biurka i, jakby to go pobudziło, powiedział energiczniej: – No tak, skoro kiedyś był pierwszy raz, to musi być też ostatni. – Pochylił się, z uśmiechem poskubał po brodzie. – Ale nie widzę przerażenia w pana oczach, drżenia rąk.
- Lubi pan to?
- Przeszedł pan specjalne treningi? – Badał mnie zza grubych szkielek okularów.
- Jogowie hinduscy czy mnisi tybetańscy?
- Nie, przyjaciel.
- On to potrafi?
- Dwadzieścia lat temu byłem na krawędzi choroby psychicznej. Oszczędzę szczegółów.
- Przyjaciel był psychiatrą?
- Nie, to tylko mądry człowiek.
- „Zainteresowałem się” – pomyślałem. „Może też miał podobny problem”.
- Zamiast kluczyć i kołować, powiedziałem wprost:
- Jeśli pozwolisz, żeby ten mały, miotający się w tobie szalenciec rósł, to ty będziesz się kurczył. A kiedy tamten będzie wystarczająco silny, to weźmie cię za kołnierz i zaprowadzi do najbliższego psychiatryka.
- Tak mógł powiedzieć przyjaciel?
- Na szczęście zrobił to. Uzmysłowił mi, że jeśli sam nie pokonam własnych słabości, to nikt inny za mnie tego nie zrobi. To dlatego nie było w moich oczach strachu, którego pan oczekiwał. Przepraszam za zawód; ludzie mający jakąkolwiek władzę zdeprawowani są służalczą uległością personelu.

– To was boli – powiedział to tak, jakbym odkrył przed nim coś, o czym nie wiedział. – Poprawił zegarek i spojrzał ku mnie wyzywająco. – Tak, zginamy karki, ale to tylko teatr – myślicie sobie – bo powszechnie wiadomo, że wszyscy macie mnie za skurwysyna.

– Prócz tych, co donoszą.

– To jeszcze większa swołocz, bo robią i zawsze będą to robić za pieniądze, i dla każdego. – Patrzył w stronę nowego obrazu. – A gdybym tak zatrzymał tę bieżnię, po której zapierdalał? – Spojrzał na mnie. – Uśpił komputer i zapomniał na chwilę, że muszę być... no tym, wie pan...

– Nie robi pan tego.

– Zastanowię się... ale wróćmy do sztuki. – Trzymał w palcach pióro z pozłacaną skuwką i przesuwiał ją w górę i w dół. – Czy coś praktycznego wynika z tego, że zna się pan na kierunkach w sztuce, ma jakieś ulubione obrazy, może malarzy? Pomaga to w pracy, w zakupach, na ulicy, w pociągu?

– Każdy ma towarzystwo, z którym lubi przebywać.

– Pańskim jest ta trupiarnia utalentowanych nędzarzy, alkoholików, degeneratów, których płodami podnieca się ludzkość. – Oczekiwał mojej reakcji. – Milczy pan. Przecież w czasie tych kilkunastu lat pracy wkurwiłem pana wielokrotnie. Często robiłem to celowo, bo wiedziałem, że stoi za panem Stan, który jest tu nie do ruszenia. Nie skorzysta pan z okazji, żeby się chociaż odszczeknąć?

– Zawiodę pana, zemsta nie jest rozkoszą bogów, ona jest tylko nadzieją biedaków.

„Niby się otwarł – pomyślałem – ale to wciąż pozory”.

– Podobno za komuny napisał pan książkę. – Głos przeciskał mu się między ledwie rozchylonymi wargami.

– Popęlniłem ją.

„Zaczął jak śledczy, znowu jest sobą”.

– Była hołdem dla partii – nie mógł się przemóc, żeby spojrzeć mi w oczy – i tych czerwonych tępaków przy władzy.

– Czytał ją pan? – Czekałem, żeby złapać choć na sekundę jego spojrzenie.

– To o czym w niej było?

– O ludziach z ulicy Spadzistej, Krochmalnej i Podmurnej.

– Ale w czasach komuny? – Poczuł się wygrany i roześmiał sztucznie.

– Jeśli pańscy rodzice byli wtedy komunistami, to tak.

– Nie pozwalam na osobiste wycieczki.

– Znaczący, że nimi nie byli, dobrze, a więc żyli jak wielu w tym kraju. – Zauważyłem, że pod starannie przyciętym zarostem nieustannie poruszały mu się zuchwy.

– Czyli o nich też była ta książka.

– I dało się to czytać?

– Na to powinien odpowiedzieć któryś z czytelników. – Pomyślałem, że z takim facetem nie jest łatwo, ale poczułem się lepiej. – Po trzynastym grudnia osiemdziesiątego pierwszego odpowiednie służby starannie wyczyściły księgarnie z niesprzedanych jeszcze książek.

– Więcej pan nie pisał?

– Może kiedyś...

- Czyli zaliczył pan sobie taką solówkę na długopis.
- Uściślając: na wieczne pióro z zielonym atramentem. – Obserwowałem jego tłuste, opanowane dłonie. – Miałem do spłacenia mały dług.
- Aż tak? – zdziwił się i ustawił bardziej profilem. – W życiu nie wystarcza rodzina, kobiety, artyści? Trzeba czuć jakiś abstrakcyjny dług? Domyślam się, że chodzi oczywiście o ludzi, o tę anonimową hałastę. – Zaśmiał się wymuszenie.
- Mój ojciec był węglarzem. Platformą ciągnioną przez konia rozwozili węgiel.
- Dostrzegłem, że P. rozchylił ledwie widoczne spod zarostu wąskie wargi, jakby zdziwiony, że się do tego przyznaje. – W każdą sobotę musiał się upić, a my uciekaliśmy z mamą do obcych ludzi, bo pijany demolował dom i niszczył, co mu podeszło pod ręce. A ważył ponad sto dwadzieścia kilo. W niedzielę, często jeszcze niezupełnie trzeźwy, był w kościele na sumie, a gdy wrócił, potulny, przepraszający, reperował sprzęty, malował ściany. Nudzę?
- Proszę, jeszcze słucham.
- Wtedy polubiłem ludzi, choć nie wszystko jeszcze rozumiałem. Obcy przyjmowali nas na sobotnio-niedzielne przechowanie. Sami zapraszali. To ważne, w tej, jak pan zauważył – abstrakcji. Dzielili się z nami łóżkiem i kartoflem. U nich odrabiałem lekcje. To była biedna dzielnica, ale w tamtym czasie solidarna do bólu. W tej mojej książeczce było o nich i o ich życiu. Tym zaraz po wojnie, w latach pięćdziesiątych i późniejszych, w Sierpniu...
- Długo trwał terror... pana węglarza? O, przepraszam, ale za moich czasów takie postacie oglądałem tylko w filmie Barei, w tym, no... w „Misiu”...
- Byłem najstarszy z rodzeństwa i któreś soboty postawiłem mu się.
- Pomogło?
- Widzi pan tę szramę na lewym policzku? Sięga aż do ucha. – Mój rozmówca okazał teraz większe zainteresowanie. Wiadomo: krew ożywia akcję. – Wytrzeźwiał, jak zobaczył, że leżę bez ruchu na jezdni.
- Skończyły się sobotnie demolki?
- Od tego zdarzenia upijał się codziennie, ale na spokojnie. Do izby wracał potulny, często nocował w stajni. Któregoś wieczoru pijany zasnął na jezdni, niedaleko domu. Przejechało po nim auto. Stało się to w moje imieniny. Miał ze sobą nowe szachy. Wcześniej grywaliśmy.
- Czas duszę wyleczył?
- Duszę uleczą tylko śmierć.
- Gdzie można przeczytać tę pańską książkę?
- Czasem pojawia się w Internecie.
- Bez widocznego zainteresowania sięgnął po plik papierów.
- A jednak zaskoczyłem. Nie głupio panu? Potwór przemówił ludzkim głosem!
- Poprawił wieczne pióro w alabastrowej rynience. – Moja bieżnia nadal w bezruchu. – Był zadowolony z siebie. – Jeden zero dla mnie.
- Nie jestem partnerem dla pana.
- Ale dzisiaj mam gest, stawiam, fraternizuje się...
- Zapytał pan o książkę, odpowiedziałem i sprawa zamknięta.

– Tak, ale czasem nachodzą mnie myśli, żeby zwolnić na chwilę. – Wzrok ponownie skierował w stronę obrazu. – Zupa ugotuje się pięć minut później i może będzie bardziej jadalna. – Odchylił się w fotelu, rozłożył ramiona, jak ksiądz w czasie podniesienia, wysunął podbródek. – Zastanawiam się, co by musiało się stać, żebym nagle zapalał miłością do ludzi. Do ludzi, czyli właściwie do kogo? Do tego tłumu przepychającego się na ulicznych przejściach, który widzę zza kierownicy auta, do Stacha na portierni, śmierdzącego czosnkiem, do kiboli okładających się z policją, czy może do trędowatych, niegdysiejszych podopiecznych Matki Teresy?

– W młodości miałem przyjaciela, Żyda. Urodził się już po wojnie. Był starszy ode mnie. Gdy ja chodziłem do liceum, on studiował już na politechnice. Jak na młodego człowieka, był za spokojny, zrównoważony, nie strachliwy, ale taki akuratywny. Jakby bardzo się pilnował, żeby ludowa władza nie mogła mu nic zarzucić. Naszą wspólną pasją były książki. Po Październiku w Polsce znalazło się nie tylko wiele wartościowej literatury z Zachodu, ale także ze Wschodu: Babel, Trifonow, Paustowski, Płatonow. Zawodowo fascynowały go turbiny wielkich mocy, ich niezwykle precyzyjna budowa, a potem ustawianie do pracy tych kolosów, przy której milimetrowe błędy mogły spowodować katastrofę. Rozstaliśmy się po Marcu sześćdziesiątego ósmego. wyjechał z rodzicami z Polski. Jakiś czas pisaliśmy do siebie, posyłałem mu książki, fotografie naszej paczki, ale po roku czy dwóch to się skończyło. Po kilku latach dowiedziałem się, że jest wysokim oficerem armii izraelskiej i pilotuje bojowe odrzutowce. Nie wierzyłem. On, który w czasie zajęć ze studium wojskowego wymyślał przeróżne fortele, żeby tylko nie brać do ręki jakiegokolwiek broni, którą nazywał „złomem z trupiarni”, ten człowiek pilotował wojskowe odrzutowce? Nie mogłem uwierzyć. Przez rodzinę odnalazłem go i napisałem list, pytając także, skąd u niego taka zmiana. Odpowiedź była krótka, choć serdeczna, a na pytanie o przemianę odpisał, że stało się to w czasie jednej samotnej nocy na pustyni. Nic więcej. Dlaczego tam się znalazł, co się wydarzyło? Nic. „W czasie jednej samotnej nocy na pustyni”.

– Nie wierzę, że w jedną noc można przepilotować swoje życie. Nie chciał albo nie mógł napisać prawdy i poszedł w fikcję literacką.

– U mnie podobnie zadziałała książka.

– I co pan wtedy zyskał?

– Przekonanie, że chcę być prawie wolnym człowiekiem, w prawie wolnym kraju. Proszę pamiętać, że to nie stało się miesiąc temu albo rok, ale w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, kiedy odwaga – nawet w myśleniu – była jeszcze w cenie.

– Ale dlaczego prawie?

– Bo nie cierpię polityki i nie pozwolę zmuszać się do kłamstwa.

– Znaczy – pełen komfort.

– Czekając tu na pana, wiedziałem, że dostałem piętnaście minut na przedstawienie projektu, który ma przynieść ćwierć miliarda zysku.

– W zarysach, oczywiście... i do jakiego doszedł pan wniosek?

– Pomyślałem o związkach wartości z miejscem i czasem.

– Tempo dyktuje warunki: spóźniony przegrywa.

– Ale czy nie jest ironią, że te piętnaście minut to akurat tyle, ile tirówka przeznaczona przygodnemu kierowcy na rozkosz za sto złotych?

– Nie widzę sprzeczności: w obu przypadkach chodzi o zaspokojenie instynktu, tyle że za różne pieniądze. – P. podniósł się energicznie. – Fatalna jest ta moda na garnitury „z młodszego brata”. – Ściągnął marynarkę i rzucił na fotel. Kilkakrotnie zacisnął powieki i wsunął palce pod okulary. – Z oczami u pana w porządku? – zapytał, wciąż nie odejmując ręki od twarzy.

– Zgodnie z wiekiem.

– Przez błąd konowała w dzieciństwie omal nie straciłem wzroku. – Westchnął ciężko. – Skutek jest taki, że wciąż – mimo mojej ledwie czterdziestki – jestem zagrożony jaskrą, chorobą ludzi wiekowych. – Podniósł okulary w stronę światła i spojrzał na nie spod bezradnych powiek krótkowidza. – Podobno te szkła zmniejszają zagrożenie chorobą, ale wie pan, jak to jest... szachrajstwa marketingu... chociaż oddział genewskiego Zeissa to na pewno firma solidna. – Przesunął palcami po okularach. – Te soczewki mają napyłone jakieś nadzwyczajne warstwy czegoś tam... Oprawki też kosztowały krocie. – Obejrzał okulary z różnych stron i zadowolony dokończył: – Są nieco ekscentryczne, ale takie chciałem.

– Oryginalne, nie widziałem podobnych.

– Przyznaje pan to z bólem?

– Skądże, lubię ładne przedmioty, bez względu na to, kto jest ich właścicielem.

– Uśmiechnąłem się i poprawiłem w fotelu. – Osobiście wybierał pan te oprawki?

– Oczywiście. – Teraz dopiero nałożył okulary i przygładził wątle włosy na skroniach. – Dlaczego pan pyta?

– Okulary mają klasę, ale na pana twarzy ta część obejmująca soczewki, te dwa jaskrawo czerwone koła odróżniające się od jasnej reszty kojarzą mi się z kajdankami.

– O, to ciekawe. Nie myślałem o tym.

– Podświadomość często podpowiada nam rozwiązania, jakby wiedziała o naszych pragnieniach wcześniej od nas.

– Kajdanki – powiedział, zdjął okulary i spojrzał na nie od zewnętrznej strony.

– Rzeczywiście. Trafnie pan to zauważył. Czerwone kajdanki. Kolor sugeruje także zmianę przeznaczenia; weselej czuje się ten, który je nakłada, a i krępowanym oszczędza się nieco stresu. – Uśmiechał się wewnętrznie. – No tak. Oczywiście. Personel musi zmięknąć, zanim jeszcze usłyszy mój głos. – Cieszył się. – Gdyby pan nie był już jedną nogą poza firmą, to dałbym panu za tę odpowiedź specjalną gratyfikację.

– Dziękuję, czuję się dowartościowany. – Sięgnąłem do trzymanej na kolanach teczki. – Przejdźmy więc do sprawy.

– Tak nakazuje logika... – Ponownie zdjął okulary i, pomrukując, oglądał je z różnych stron i kołysał nimi. – Ale w tej naszej męskiej... no, powiedzmy, chwili szczerości, nie było jeszcze o kobietach. – Założył okulary, jakby teraz, świadomy ich kształtu, mógł mnie lustrować dokładnie. – Stan opowiadał, że miał pan z nimi swoje szalone pięć minut.

– Fantazjował, może mu się podobała któraś z moich dziewczyn... Jest przecież sporo młodszy...

– Mówi pan: dziewczyn. Znaczy, że było to jakieś obmacywanie pod stolikami tanich barów i klubów studenckich, plucie do ucha lichymi wierszami i zapijanie się kwaśnym piwem na chudych prywatkach?

– Błyskotliwie pan to ocenił, ale chciałbym przeżyć jeszcze takie chwile.

– Poprawiłem w dłoniach teczkę, w której spoczywał ćwierćmiliardowy projekt.

– Pańskie kobiety to bajka. Podczas premier, koncertów i innych okazji podglądałem z ostatnich rzędów towarzyszące panu piękności. Nawet kiedy je pan zmieniał, to każda następna wyglądała tak, jakby przed chwilą zeszła z wybiegu wyborów na Miss Europy.

– No, bez jaj. Jest pan już wolny i nie musi płaszczyć się w pochlebstwach.

– Mówię serio. Mam przyjaciela fotografa, któremu często asystuję przy sesjach zdjęciowych z aktorkami, modelkami i innymi cudami na nogach po pachy, i znam się na tym trochę. Te pańskie to posągi elegancji. Nie jakiś blond standard z wyprasowanym włosiem i w ciuchach z butików.

– Mam za sobą rozwód. – Pochylił twarz i przygryzł wargi. – Kasa, jak pan wie, to coś więcej niż siła ziemskiej grawitacji... – Wyszedł zza czarnej warowni, przysiadł na blacie i rozchylił uciskający kołnierz koszuli. – Jest pan szczęśliwy?



- To prawdziwie ocenia się w nieszczęściu.
- Pańska kobieta wie, że pracuje pan ostatni tydzień?
- Rozmawialiśmy o tym.
- Nie zagroziła, że odejdzie?
- Dlaczego miałyby to robić?
- To znaczy, że jest pan szczęśliwym człowiekiem. - Pochylił głowę, wydawało mi się, że chciał skubnąć zębami paznokiec środkowego palca u prawej dłoni, ale cofnął się i potarł brodę pod dolną wargą. - Moja żona, żegnając się po sprawie rozwodowej, powiedziała: „Życzę ci szczęścia. Podobno go nie ma, ale ty je sobie kupisz. Na pewno”.
- Rozstał się pan z kobietą, która miała klasę.
- Nie wierzyłem, kiedy mówili mi o tym inni. Niedługo cieszyła się samotnością. Może przed rozводом też kogoś miała? Ma piękną córkę. Czasem szukam okazji, żeby popatrzeć na jej dziecko. Na ich... - P. przeszedł za biurko i wpatrzył się w zgaszony ekran komputera, przesunął go. - Te kobiety, które, powiedzmy umownie, prowadzą niby na salony, jak pan to z wdziękiem zełgał: z wyborów na miss - zaśmiał się kwaśno - są zaprogramowane na byt urodziwy. Ale jak się człowiek poślizga po ich wygolonych cipkach, podpieści na podkarmionych silikonem cyckach i nasłucha orgazmów z „puszki”, to mu się marzy jakaś niedomyta Mańka na sianie. Nieważne, czy urodziwa, zgrabna, byleby tylko była prawdziwa. - Ożywił się. - Warte to jest nawet wtedy, gdy okazuje się, że człowiek nie wydoli w pieprzeniu tyle, ile ona potrzebuje. - Zasępił się, ale za moment spojrzał na mnie spanikowany chwilą szczerości, która wymknęła mu się spod kontroli.
- Niewielu mężczyzn jest gotowych przyznać się do tego - powiedziałem spokojnie i widziałem, że odetchnął z ulgą. - Potrafią to jedynie ci, którzy cenią kobiety. Wszystkie. Nie tylko te, z którymi było im dobrze.
- Zdarzyły się panu takie... no... wypadki?
- Od początku moich damsko-męskich przygód.
- Eee... I przyznaje się pan do tego bez rumieńca?
- Koło trzydziestki - mówiłem rozluźniony - poległem z nieco starszą góralką. - Westchnąłem. - Ta nacja jest niesamowita. Ich kobiety mają kochanie wszędzie. Tak, jakby za chwilę miał przyjść wichur, który z nami skończy, i trzeba brać, co swoje, póki go jeszcze nie ma. One nie kalkulują. - Przypomniałem sobie tamtą przygodę w Brzegach. - Za pierwszym razem ja się jej po prostu wystraszyłem... Potem to już było jak w góralskich dowcipach.
- I co, miało to w sobie coś niby z tej Mańki na sianie?
- Nawet dwóch, a może i trzech...
- Badał mnie spojrzeniem spod zaissowskich czwórek w czerwonych oprawkach.
- Było o kobietach, zatem skończmy już tę szermierkę rozkapryszonych chłopaków - zaproponowałem.
- Gramy - rzucił z ledwie dosłyszalnym vibrato na „a” - bo pan stąd nie może wyjść z tarczą.

„To go boli – pomyślałem – musi upudrować ten kawałek prawdziwej twarzy, która wysunęła mu się spod maski. Naprasza się wojny”. Nie zastanawiając się, strzeliłem:

– Kiedyś był pan prymusem we wszystkim... prócz łóżka.

– To z własnych doświadczeń?

– Też. Mówiłem o tym wcześniej, ale ja byłem słabeuszem. No, może prócz gry w zołkę i cymbergaja. – Nudził mnie ten sflaczały ping-pong. Zamilkłem.

– Skończyły się pomysły wojenne? – prowokował. – Szósty zmysł dopadła demencja, a trzecie oko ślepotą?

„Koniecznie musi udowodnić, że jest tym, za jakiego go miałem. Szkoda”.

– W tamtych czasach nie wiedział pan jeszcze, że średnia u mężczyzny to było ledwie trzynaście centymetrów, a przecież wokół szeptano o osiemnastu i więcej. Takie maczety dawały sławę na podwórku, w szkole i w dzielnicy.

– Uważa pan, że tutaj polegnę? Niedoczekanie...

– W wojsku, bo znałem się trochę na literach, przydzielono mnie do komisji przyjmującej rekrutów, gdzie zapełniałem kratki różnych formularzy. Jak się zobaczy w ciągu dnia trzystu nagich facetów z interesami na wierzchu, to wydaje się, że na świecie nie ujrzy się już nigdy dwunoga, któremu nie pęta się coś między nogami. I choćby jeden czy drugi z tych chłopaków był wyjątkowo zbudowany, miał ładną twarz czy cokolwiek inne, to wzrok bezwiednie podążał do jego interesu, żeby mu go ocenić. Porównać ze swoim, a nawet „zmierzyć”. Mniej ma ode mnie czy więcej? A potem zaraz porównanie z nosem, bo to przecież dawno znana zależność: drobny nos, mały kutas, i odwrotnie. Przeważnie się zgadzało.

– Jak, według pana, prezentowałbym się w tej rekruckiej zgrai?

– Ma pan wąski nos o niespokojnych nozdrzach, ale ze względu na słaby wzrok odpadał pan z armijnej konfrontacji.

– Proszę się nie migać. Pański los w naszej firmie jest przesądzony. Obowiązuje zasada: maksymalnie pięćdziesiąt pięć lat i ani dnia dłużej. Pan – dzięki wyjątkowym zbiegom okoliczności – przekroczył tę granicę o trzy lata. To nie do pomyślenia. Może pan teraz mówić, co zechce.

– Niech pan spojrzy do lustra i sam sobie odpowie.

– To wszystko? Nigdy, nawet przy małych stawkach jak tutaj, nie gram dla zabawy.

Chciałem zakończyć i odejść, ale przypomniał mi, że m u s z ę stąd wyjść „na tarczy”. Tak. On ma mnie do niej przybić, przykleić, może przyśrubować? Szarpnęło mną. Wkurwiony, skoczyłem mu do oczu:

– Jako dwudziestolatek, wyniosły i dumny, udawał pan, że pogardza kobietami.

– Nerwowo poruszał wargami i wpatrywał się w zaciśnięte pięści. – Prymusowi świat bił brawo, prawie się kłaniał, a on, znerwicowany, walił konia, gdzie popadło.

Poderwało nim, co starał się zatuszować uderzeniem dłoni o kolana. Obszedł biurko. Usiadł za nim, podparł twarz i sztyletował mnie wzrokiem zza czerwonej lunety.

– Pozwalałem panu na drobne harce – mówił, delektując się każdą zgłoską – ale cały czas nie puszczałem dalej niż na odległość strzału. Komfort tej sytuacji zmywał ze mnie ślady błota, którym próbował mnie pan obrzucać, czując się jeszcze

uprzywilejowanym i niezastąpionym. Ale, jak pan wie, nie ma ludzi niezastąpionych. Prawda?

– Powtarzał to, nabijając fajkę i posyłając pod ścianę towarzyszy, generalissimus Józef Stalin.

– Nie wiedziałem.

– Nawet jak się wie, wygodniej jest udawać, że tak nie jest.

– Boi się pan „ściany”, pod którą pana wysyłam? – patrzył na mnie, świadom już „kajdankowych” szkieł.

– Nie tak bardzo, jakby pan tego pragnął.

– Tak, i dlatego od jakiegoś czasu dobiera się pan do mojego skalpu, żeby nadziać go na kij i ponieść tam, piętro niżej, gdzie czekają na niego sfrustrowani „Siuksowie”. Czy tak? – Wyciągnął dłonie przed siebie, przechylił głowę na bok. – I jeszcze jedno: nie piecze pana ta zatęchła żółć zemsty, którą chciałby bluznąć na mnie?

– Utylizuję ją, żeby nie gnici od środka i cieszyć się jeszcze różnymi duperelami, które są więcej warte niż kalecząca duszę kosa zemsty.

P. podszedł do okna, poruszył elektrycznie sterowaną roletą.

– Sądzę, że pomocna jest w tym pamięć o napisanej kiedyś książeczynie, która była niby tą... przemianą, czy obojętnie, jak to nazwiemy.

– Jedni muszą się wyrzygać po łyknięciu świństwa, a innym ono smakuje.

– Jadam w sprawdzonych miejscach. – Podszedł bliżej i stanął w pozycji władcy. – Pewną ręką prowadzę swojego odrzutowca. Przeważnie schodzę tak nisko, że ciąg silników porywa ludziom kapelusze. Widzę na przyrządach, jak obsługa naziemna prowadzi mnie w skupieniu i strachu. Tak, dobrze pan słyszał – w s t r a c h u! Ludzie muszą się bać. Od początku wszechrzeczy bazują na tym wszelakie władze i idee, w których przecież chodzi o to samo. – Sięgnął po marynarkę, nałożył ją z irytacją. – Jak teraz wygląda ta pańska „miłość do ludzi”?

– Jest taka sama – powiedziałem uspokojony. – To pan urodził się, żeby wygrywać, ja częściem jestem na minusie.

Usiadł, sięgnął po nóż do rozcinania kopert i pocierał nim po otwartej dłoni, jakby go ostrzył.

– Na minusie... Na minusie... Właśnie... – powtórzył. – I to były ostatnie słowa skazańca. Najostatniejsze...

Zostawiłem teczkę z projektem na fotelu i poszedłem do drzwi, a on wciąż siedział przy biurku z opuszczoną głową.

– Ale to nie był dobry czas dla kata. – Sięgnąłem do klamki i lekko uchyliłem drzwi, żeby słyszano mnie w sekretariacie. – W jego odrzutowcu pracują już silniki...

– Ciemna sylwetka P. wklejała się w bezruch masywnego mebla i tylko czerwone okulary pod wysokim czołem ożywiały tę scenę. – Wkrótce poniesie go do miejsca, gdzie chętne na tę robotę dziewczyny nagiego zakują w skórzane uprząże i batożyć będą, aby przypomnieć mu, że jest tylko ofiarą... tylko... – Poderwał się i przesunął rękę w stronę przycisku przywołującego ochronę, ale powstrzymał ją. – A kat, marząc o prawdziwej kobiecie, strzykał będzie zjełczałym nasieniem.

listopad 2017 roku

JOZZ

rytm i piosenka

Nr 12 (220) Grudzień 1974 r. (Rok XIX) 6 zł



ANNA CZYRSKA

*

A co jeżeli AI napisała dla nas miłość
albo inny scenariusz
swoistej rzezi nadmiernych uczuć

bo przecież nikogo nie obchodzą nasze
uczucia poza AI
poza tym kim jestem na sobie
kiedy ubieram się w sztuczną inteligencję

pragnąc jedynie twojego ciepła
delikatnego chłodu
z ust
i cichej łzy w uporczywym rozsądku
który dotyka każdego z nas kiedy

chce kochać

ANNLOVE

**

A co jeśli artificial intelligence zrzuca moje ubrania
i unosi się wtedy zapach komputerów i Internetu
czy Internet może pachnieć
zdjęciem
gdzie mamy wyglądać lepiej bliżej
naturalnie

ANNLOVE

Czy AI mi ciebie zastąpi stworzony przez AI ideał
rozprzestrzeni się jak zapytam AI czym jest miłość
to co mi odpowie?

Miłość to jak czytanie
książki złożonej z samych pierwszych
stron wyników wyszukiwania

ANNLOVE

TESKNIĘ ZA TOBĄ



Prozy

I.

Gdy zobaczyłam siebie leżącą na stole prosektoryjnym, postanowiłam dokonać sekcji zwłok na własnym ciele. Chciałam dowiedzieć się prawdy o swoim życiu i czym było moje ciało. Dlaczego zostało wydane na pastwę ciosów i bólu. Nie miałam pozwolenia, zakradłam się do tego mrocznego miejsca o zapachu śmierci i o chłodzie lodówek, w których leżały inne martwe ciała. Skalpel rozcinał moją martwą skórę, poddawała się z łatwością nacięciom, odsłaniając mój mechanizm, który służył mi do przebywania na ziemi. Patrzyłam na siebie, każdy milimetr był mi taki znajomy. Każdy milimetr, który pochłonął tak wiele bólu i zadanych ran. Gdy było jeszcze żywe, wydawało się, że to nie ciało, ale rana. Teraz gdy było martwe, rana znikła, jakby przeszła do innego wymiaru. Było po prostu ciało, które można z medyczną precyzją kawałkować i opisywać według słowników medycznych. Wszystko szło zgodnie z planem, nacięcie ujawniały kolejne warstwy ciała. Wnętrznosci wydawały się takie książkowe i zgodne z opisami anatomii. Na tym kawałku martwego mięsa można było uczyć się mechanizmów działania tej niezbyt skomplikowanej maszyny zwanej ciałem. Wszystko niby było tak jak powinno, a jednak gdy otworzyłam moje ciało, zamiast wnętrznosci były drzewa. Zamiast serca była złota kula. Zamiast żeber były metalowe konstrukcje jakiegoś nowoczesnego budynku. Wszystko było takie pogmatwane: drzewa, szkło, metal i złoto, ale niby niepasujące do siebie tworzyło pewną całość. Przedzierałam się przez ten las moich wnętrznosci. Było tak ciemno w tym lesie i tak trupio. Czuło się, że to ciało już jest martwe. Ptaki leżały martwe pod drzewami. I nigdzie nie było żadnej drogi. W tym lesie spotkałam jeden z ciosów. Był ubrany w szkarłat i trzymał w rękach złote monety. Spotkałam też drugi cios, siedł w łachmanach i udawał, że jest świętym. Trzeci cios wybiegł mi naprzeciw, miał łzy w oczach i prosił, żebym zapomniała jego imię. Ale gdybym nawet zapomniała, moje ciało nie potrafiłoby zapomnieć. Martwe czy żywe ciało zachowuje pamięć i powraca poprzez stulecia. Długo błąkałam się po tym lesie. Wszędzie był zapach rozkładających się ciał i krwi. Wychodząc z tego lasu, raz jeszcze obejrzałam się za siebie – zobaczyłam, jak te trzy ciosy trzymają się za ręce i skaczą w jakąś przepaść. Wyszłam wtedy do jakiegoś nowoczesnego budynku, to niby miały być moje żebra. Budynek miał być spowity moim oddechem. Ale ja już nie oddychałam i w budynku nie było powietrza. Wszędzie tylko mgła, a w tej mgłę metal zakwitał jak syntetyczne kwiaty. Wchłaniał tę mgłę i zmieniał swoją postać. Raz był liczbą, innym razem pomnożeniem tej liczby. Ta liczba była jak jakaś ściana niby przezroczysta, ale nie do przeniknięcia. Dotknęłam ją i jakby coś drgnęło nie tylko we mnie, ale w moim martwym ciele. Chyba pod wpływem dotyku szklana ściana zaczęła miotać wokół

mnie cztery bicze. Nieskończone spirale otoczyły mnie z czterech stron, ja pośrodku stawiałam się bardziej sobą. Nagle pod moje stopy potoczyło się moje martwe serce. Było złotą kulą. Niby miało w sobie blask, ale to już nie był blask prawdziwego serca. Wzięłam je do rąk, ale ono było zimne i ciężkie. Jakby ktoś przetopił wszystko, co złe w moim życiu, w złoto. Złota kula milczała i patrzyła na mnie swoim złotym okiem. Kiedyś byłam słońcem, teraz jestem jego cieniem. Zaczęłam toczyć tę wielką kulę przed sobą, gdy nagle potknęłam się. Byłam na wysokości ust i wtedy zauważyłam, że jest w nich jakiś klucz. Zaczęłam go wyjmować. Klucz robił się większy i większy. Zajmował już całe pomieszczenie, gdzie leżało moje martwe ciało. Klucz przesłaniał wszystko, co napotykał na swojej drodze. Chciałam go ponieść, ale był taki ciężki i nie do udźwignięcia. Ale klucz powiedział: zostaw, to nie ty masz mnie nieść, poniosą go ci, którzy pochowają twoje martwe ciało. Wybiegłam z pomieszczenia, a klucz zamienił się w mężczyznę. Nagle przez małe okno zobaczyłam, jak ten mężczyzna bierze w ramiona moje martwe ciało i płacze. Moje nagie, martwe ciało było sine i całe w ranach. A on przyciskał je do siebie i coś nieprzytomnie mówił. Chciało mi się płakać, bo nikt za mojego życia nie okazywał mi miłości. Wtedy mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na mnie, oboje mieliśmy łzy w oczach, a on powiedział: tak wiele straciliśmy czasu.

II.

A teraz moje czułe i kochające serduszek włożę do małej hermetycznie zamkniętej skrzyneczki i odeślę tam, skąd przybyło na ziemię. Odeślę je bez listu, by trafiło do rąk własnych tego, kto mi je włożył do piersi. A teraz moje kochające i dobre serduszek zamykam do hermetycznej skrzyneczki. Uszczelniam grawitacją i antymaterią dostęp do tej skrzyneczki. Przesyłka jest już prawie gotowa. Przesyłka już czeka na mój znak. Przesyłka niecierpliwi się, kiedy wreszcie będzie daleko stąd. Z tej małej hermetycznej skrzyneczki już nikt na ziemi nie wydobydzie tego serduszka. Dobre serduszek będzie tylko wspomnieniem. Dobre serduszek będzie dawnymi czasami, które już nigdy nie wrócą. Dobrze mu będzie w tej hermetycznej skrzyneczce. Tam jest i chłód, i ciepło, tam jest i zapach, i kolor, tam jest i dotyk, i brak dotyku, tam jest światło i ciemność, tam jest śnieg i deszcz, tam jest gwiazda i księżyc. A teraz moje dobre serduszek wkładam do hermetycznie zamkniętej skrzyneczki. Pewnie ktoś chciałby wiedzieć, jaki jest jej kształt. Pewnie ktoś chciałby wiedzieć, czy taką skrzyneczkę można stworzyć. Pewnie ktoś będzie próbował ją przechwycić. Hermetyczna skrzyneczka z moim dobrym, kochającym i czułym serduszkem powędruje tam, gdzie jest się poza zasięgiem. A teraz biorę do ręki to moje zakrwawione od zadanych ran dobre i kochające serduszek i mówię do niego po raz ostatni ludzkimi słowami. Bądź tam inne niż dotychczas, bądź tam takie, jakiego cię nikt nigdy nie znał, bądź tam razem ze mną. Dobre serduszek idealnie przylega do ścian hermetycznej skrzyneczki. Skrzyneczka jest czarna i ma zapach kamienia. Skrzyneczka jest lśniąca i ma połysk wszystkich gwiazd. Skrzyneczka jest radioaktywna, promienie gamma, alfa i beta są wpisane w jej powierzchnię. Skrzyneczka jest szumem skrzydeł ptaków i wód scalonych w jedną łzę. Skrzynecz-

ka jest taka przyjazna i swojska, zakodowana na liczby spoza czasu. Skrzyneczka jest jak żebro Adama przełamane na pół. Dobre serce mości sobie w niej miejsce. Jeszcze myli matematyczną przestrzeń skrzyneczki z gniazdem. Jeszcze waha się, czy dobre, kochające i czułe serce wymienić na wykalkulowaną tablicę rozliczeń. Na zimno i z zimną krwią. Czułe, kochające i dobre serce będzie teraz daleko. To, co w pobliżu stanie się jak punkty odniesienia, jak siatka rzucona na teren zagłady, jak kosmiczny kod. To, co w pobliżu nie dostosuje się do optymalnych warunków istnienia. To, co w pobliżu będzie na zimno rejestrować okiem kamery w piersiach. Przeliczenia mają się zgadzać z odległością do naszej symetrii. Przeliczenia mają być pomnożone przez odległość serduszka w hermetycznej skrzyneczce. Wykalkulowana tablica rozliczeń zamiast dobrego serduszka unicestwia dobro. Miłość ją brzydzi jak coś, co upodabnia się do martwej rośliny. Nie zna uczuć i nawet nie pyta, czym są uczucia. Nie zna dobra i tylko rejestruje dobro jako wroga. Obmierzły, obłudny, zakłamany rodzaj przevorsowywania nikczemnej siły.

III.

W pewnym momencie zauważyłem że nikt nie zwraca na mnie uwagi. To ja do ludzi popatrzcie Jestem wariatem i stoję nagi z zakrwawionym nożem w rękę że niby chcę się przebić ale każdy przechodzi obojętnie obok mnie i mówi pewnie wariat do roboty leniwy gnoju. To ja inaczej pokroilem się na kawałki i rzuciłem pod nogi tłumów ale oni nic idą dalej i tylko mówią co tutaj tak śmierdzi i co tak niewygodnie się idzie do celu. To jeszcze inaczej mówię Jestem umierający złożyła mnie śmiertelna choroba i kładę się na środku rynku tuż przy Jakiejś ruchliwej i eleganckiej restauracji a ludzie tylko siedzą jedzą tłuszcz ścieka im po brodach i cały czas coś żują i tylko od czasu do czasu na mnie i wykrzykują pokaż papiery na tę chorobę pokaż opinię lekarską dlaczego mamy ci wierzyć że Jesteś chory wyglądasz na głupiego palanta to wszystko jak się ładnie umalujesz od razu będziesz inaczej wyglądać. No to ja makijaż klauna i znów na ten rynek tym razem myślę rozedrę się i pokażę im swoje bijące serce. Ale jak to moje serce zaczęło bić akurat wybiła jakaś godzina i nagle zegary i dzwony kościelne zaczęły zagłuszać to moje bijące serce. Nie mogłem tego znieść dlaczego nikt nie umie usłyszeć mojego bijącego serca dlaczego każdy odwraca głowę na bijące dzwony i na wybijane godziny, przecież czas nie istnieje przecież jestem tym który zwyciężył nie tylko śmierć ale czas. To stoję i pytam słyszycie spadaj stąd pojebie bo zawołamy policję. Zwinąłem się w pół i odszedłem. Ale myślę nie, nie dam za wygraną ktoś musi mnie zauważyć. Biegnę na bosaka półnagi cały ciało wysmarowałem czarną farbą i objam się ciałem o każdy budynek że chcę przebić się i przedostać do drugiego człowieka. Nagle patrzę a za mną biegną jacyś ludzie ubrani na białe. Wybiegłem do nich myślałem że to ci którzy mnie rozpoznali. Ale jak już byłem blisko nich i czekałem kiedy krzykną do mnie po imieniu. Rzucili się na mnie i chcieli mnie schwycić. Zacząłem się z nimi szamotać myślę chyba tym razem nie chodzi o miłość. Ci ludzie chyba mnie nie kochają. Wyrwałem się i uciekam a oni za mną i wołają gonić go gonić to niebezpieczny zjeb. Zacząłem na oślep biec przed siebie ale czuję że łyzy zaczynają mi płynąć po policzkach.

Nie wiedziałem co się dzieje i skąd te łzy, jakby coś się stało z moimi oczami, było tyle tych łez że wokół mnie porobiły się rzeki. Wskoczyłem do jednej z tych rzek i płynę myślę byle szybko i najdalej od tych ludzi. Gdy tak płynąłem nagle zobaczyłem jakąś łódź. Ja patrzę a na niej rybacy zarzucają sieci. Chcę do nich dopłynąć pytam ich z daleka weźmiecie mnie na swoją łódź? A spierdalaj syfie jeszcze czego będziemy brać bezdomnego na swoją łódź. Jesteś nam niepotrzebny znajdź innego głupiego co ciebie zechce. Czuję że tonę że moje ciało stało się teraz jedną łzą i spada na dno tej rzeki. Gdy sięgnąłem już dna nagle widzę na samym dnie leży błękitny kamyk ten sam który kiedyś nosiłem w dzieciństwie w kieszeni. Gdy go dotknąłem nagle moje ciało pokryły błękitne szaty i gdzieś się przeniósłem. Nie wiedziałem co się dzieje chciałem uciekać. Ale nie krzyczałem myślę poczekam co dalej z tymi szatami. Nie byłem nigdy przyzwyczajony do takiego stroju zawsze lubiłem swoje łachmany. Oprócz szaty na stopach zaczęły się pojawiać błękitne sandały. Wyglądały jakby były ze światła i z jakiegoś lśniącego kruszcu. Nastraszyłem się nigdy nie lubiłem czegoś takiego. Myślę co teraz ze mną będzie nie mogę jeszcze umrzeć bo muszę poszukać prawdziwego człowieka. Nagle czuję że coś się dzieje z moim ciałem nie zdążyłem powiedzieć tego do siebie i znów stoję na rynku w mieście. Stoję obok tej restauracji gdzie kiedyś leżałem umierający. Nagle patrzę a jacyś ludzie otwierają drzwi przede mną do tej restauracji mówią zapraszamy czekamy na pana miejsce jest już przygotowane. Znów widzę te same twarze przeżuwiają coś i tłuszcz ścieka im po brodach. Nagle patrzę a obok nich leżę ja chyba umarłem bo obok policja i karetka pogotowia. Ale nikt na to nie zwraca uwagi. A ktoś do mnie niech pan nie patrzy na to gówno to jakiś biedak zdechł nie ma co na to zwracać uwagi. Ale ja mówię nie co to znaczy biedak? Jakiś śmierdziel bez kasy myślał że ktoś mu coś rzuci z pańskiego stołu na ulicę że sobie zje jakiś ochłap. Podchodzę do siebie widzę że to ja leżę i rzeczywiście jestem martwy. Odwracam się i pytam dlaczego pozwoliliście umrzeć temu człowiekowi? Dlaczego nikt z was nie podszedł do niego i nie zapytał o jego imię. Dlaczego nikt z was nie zauważył że tym człowiekiem byłem ja.

IV.

Nie wiem o co chodzi ale od jakiegoś czasu w ZOO zaczęły znikać zwierzęta. Co się z jakimś zaprzyjaźniłam przychodzę kolejny raz a tego zwierzęcia już nie ma. Niby jest wybieg klatka jego miejsce ale cóż z tego że jest miejsce jak nie ma tego kogoś kto w tym miejscu mieszkał. Chodziłam coraz bardziej zdziwiona tym ZOO. Ale nie tylko ja idę a tu jakiś facet z synkiem idzie i wszystkich pyta tutaj kiedyś był wilk gdzie ten wilk się podział? Stałam obok niego czuję że staję się wilkiem musnęłam go delikatnie wzrokiem po szyi i myślę dobrze że pytasz o wilka inaczej wyrwałabym ci z tej szyi kawał ciała i rozerwała tętnice. Popatrzyłam na jego synka taka mała kruszynka ten jeszcze nie wie że ten wilk trzyma go w swojej paszczy i się śmieje. Idę dalej wybieg dla tygrysa a po tygrysie ani śladu. Myślałam że oszaleję biegam wokół jak wokół mojego serca. Znów zamieniam się tym razem w tygrysa. Czuję swoje łapy jak suną cicho i niebezpiecznie po ścieżkach ZOO. Próbuje się maskować wchodzę na klomby blisko drzew żeby się ukryć. Nagle odczuwam ból w sercu jest

taki dziwny nie w pionie ale w poprzek jak usta które się zaciskają na rozkazie. Co jakaś klatka gdzie były zwierzęta które kiedyś obdarzyłam miłością zwierzęta jakby nagle znikły. Pozostawili tylko te oczywiste i te najbardziej skrzywdzone. Te skrzywdzone są najbardziej rozmowne i też bołą ale ich ból jest taki podobny do mojego że jest mi łatwiej. One o tym wiedzą cieszą się że jesteśmy razem. Poszłam do kolejnej klatki i kolejnego wybiegu. Patrzę znów nie ma zwierząt pusty wybieg jakby ktoś te zwierzęta porwał. Ale ja myślę może tych zwierząt nikt nie porywa może ci z ZOO biorą te zwierzęta i bezkarnie gdzieś sprzedają. Robią na nich pieniądze i nie liczą się z tym że jest coraz więcej pustych klatek i wybiegów. Poszłam do wybiegu gdzie kiedyś stanęła kosmiczna kobieta ludzie nazywają ją matką boską ale to kosmos w kobiecym ubraniu. Patrzę i widzę jak stoi przy wybiegu ze zwierzętami najdziwniejsze że miała złożone ręce i była ubrana na czarno. Wyglądała na skupioną i jakby się modliła. Widziałam ją w oddali jak podeszłam bliżej zamieniła się w normalną dziewczynę. Nic chodzę ścieżkami ZOO i widzę że coraz mniej jest zwierząt. Znikają w jakiś dziwnych okolicznościach. W pewnym momencie zaczęłam się obawiać że z całego ZOO zostaną tylko pająki Czarna Wdowa i jakiś krokodyl. Ale nic idę dalej nagle czuję że zaczyna drżeć ziemia. Zrobiło się takie trzęsienie ziemi że niebo zaczęło recytować jakieś wiersze. Zatrzymałam się i stoję za jakimś drzewem zaczynam wszystko obserwować. Patrzę a nagle wszystko na moich oczach wali się i otwierają się wszystkie klatki i wybiegi, zwierzęta zaczynają nieprzytomnie uciekać. Widzę jak pierwsza biegnie jakaś gazela potem wilk potem słonie wszystkie zwierzęta rzuciły się do ucieczki. Gdy tak stałam pod tym drzewem i patrzyłam na to wszystko nagle podszedł do mnie krokodyl i mówi najwyższy czas żeby te zwierzęta stąd uciekły a ty i ja znów spotkamy się przy rzece.

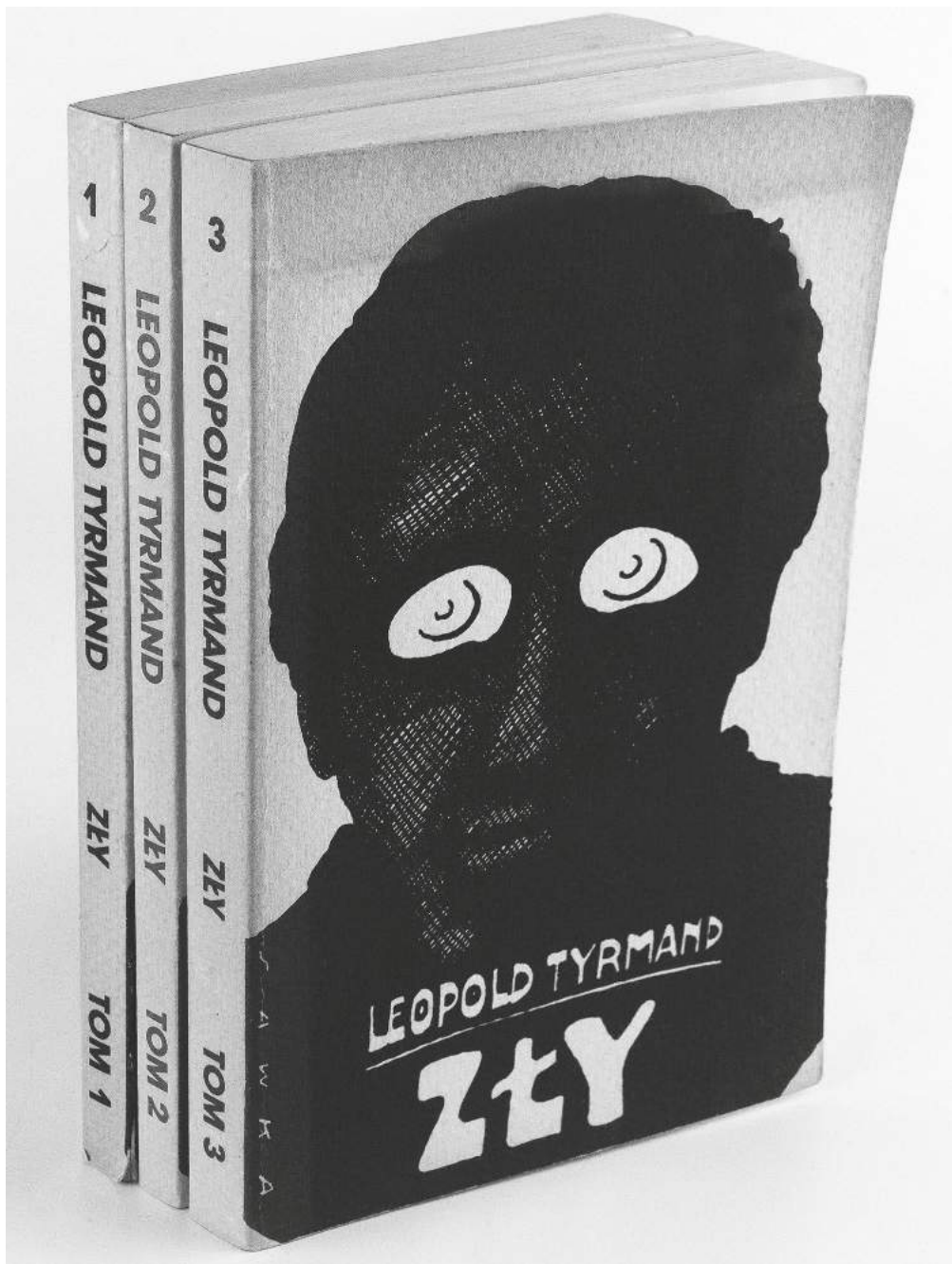


Okładka pisma GRAPHIS nr 210, 1980/81

MAREK RAPNICKI

Szczyt wszystkiego

Zapisuję tylko to co widziałem
rano z sukami ponad klif licząc stare sosny przyjaciółki
do wydemki gdzie reper wskazywał czterdzieści siedem metrów
ponad poziom
wtedy Duch zjawiał się pod postacią klucza łabędzi
w ciszy wspartej o divertimento fal i tryle zięby
zamieniał pustkę w dzwon powietrza
bezmiar w kształt palca przyłożonego do ust



Okładki książki Leopolda Tyrmanda ZŁY (tom 1-3),
wyd. CONTEMPORARY IMAGES INT'L, Chicago 1985

STANISŁAW KAROLEWSKI

Portrety herosów wrocławskich

*„I rzekł do niego: Puść mię, bo już wschodzi zorza. Odpowiedział: Nie puszczę
cię, aż mi błogosławisz”.*

Biblia Jakuba Wujka: Rdz 32:26

Waldkowi

Stoi zanurzony po kolana w Morzu Śródziemnym. Stąd można wypłynąć w rejs ku pogańskim Maurom, przez Kartaginę i czarne żagle Tezusa, aż do jeszcze ciemniejszej Rupes Nigra, kresu świata i początku świata. Niepokój Nieskończonego, przywieziony z mórz Północy, daje się utulić rytmowi fali, który w popołudniowym słońcu przynosi łagodność – tysiące lat kultury, spychającej wieczność w jakieś inne rewiry. Dzieci bawią się na szerokiej płyciźnie. Otchłań, którą ma pod koszulą, wobec miąższu ostryg i ciepłych jeszcze od słońca owoców taje i ścieka prosto do słonego morza.

W kraju, a to znaczy to samo od czasu Raławic, a może od listopada, w kraju – morze jest zawsze morzem łez. Próbuje zagadać otchłań. Wie, że to bezskuteczne, ale wciąż tka sieć słów i znaczeń, na której, Mój Boże, balansuje już tyle lat i wciąż nie spadł.

Ławica małych rybek opływa mu stopy. Co to za rybki? Może sardynki, pewnie nie, bo takie małe jak sardynki z targu lub te sprzedawane wprost z żaglówek, znoszonych prosto z kutra, prosto z jachtu – tu język grzęźnie. Traci na znaczeniu. Tu nikt go nie rozumie, więc przestaje tkać. Topik na urlopie. A wieczność mimo wszystko nie nadchodzi. Zbliża się wieczór jak z dłuta Fidiasza, z pokoleń rybaków, oliwą i barokiem tutejszych kościołów. Wieczór spokojny, pogodny i długi.

Może gdyby urodził się tutaj – pod słońcem południa, a po szkole biegał na plażę, nie musiałby wznosić wież ze słów i z fiszbinów karpia milickiego po dziewięćdziesiąt dziewięć za kilogram, sprzedawanego z wielkiej wanny nieopodal jego domu na placu Kościuszki albo jeszcze wcześniej, gdy wanna stała na skrzyżowaniu Wieczorka i Nowowiejskiej.

Mężczyźni myślą, że on dużo może. Jak smoczy wiedźmin – wystarczy pomyśleć życzenie – albo jak ojciec chrzestny. Bardzo lubi i film, i książkę – tak mu się wydaje, bo przecież jedno i drugie poznał. Ile to już lat temu, czy tamten to jeszcze on?

Czasem sam staje się kobietą. Jedną z trzech sióstr, a może czwartą siostrą z Głowackiego i zarazem Mojrą tkającą wątek tej opowieści na podstawie zadanej przez los. Kobiety to lubią. Podoba im się potok wypowiedzianych słów. Egzotycznie brzmiące terminy historyka sztuki i delikatność, z jaką otwiera małże – jakby każda kryła perłę.

Kobieta z perłą. Perłopławy. Czandor. Onyks. A gdy chce przypierdolić, wali prosto z architektury: maswerk lub lżej – pilaster i szybko przechodzi do portyków, i znów wypływają w rejs – doryckie kolumnady, świątynia Artemidy w Efezie, Atena z Milo utkana z piany Mare Nostrum.

Tysiące lat kultury – siatka już jest. Krawędzie nie ranią stóp, słowa przelatują przez ustalone już oczka. Można się wspiąć i nie spaść, bo wszystko toczy się przecież w tysiącletnim morzu, w którym wystarczy być.

Może tu wielbią poetów. W kraju Saavedry, gdy tak spaceruje w poprzek fal – czuje przychylne spojrzenia czarnych oczu, głęboko skrywających odpryski otchłani. Więc nawet tu, nawet tu: słowa.

Gdyby po szkole biegał za piłą po plaży zamiast rzucać śnieżkami w neogotyckie sklepienia Świętego Michała, a Morze Śródziemne omywałoby mu stopy, tu też wyrósłby na dużą rybę, ale nie musiałby pływać w za małym stawie.

Uli

Rachunek gwiazd i mądrość bogów. Stronniczość ich praw karzących niewinnych i słabych. Jej wielkość zbyt ogromna, bezradnej poetki płacz. Nie wiem, kiedy skojarzyła mi się z Herbertem. Może gdy podważyła jego wielkość, a może jeszcze wcześniej dostrzegłem, że nosi w sobie coś z tragizmu Marka Aurelego – cesarza i filozofa uwieszonego przez materię. Przez ciemność wyciąga rękę i pięści zmysłów te litery. Bezradnej filozof płacz.

Czasami się spotyka umysły zbyt wielkie, by mogły dobrze funkcjonować w materii. Ciągłe obcowanie z bogami ma swoją cenę – trudno jest wracać do Niflheimu. Czasem patrzę na otaczające ją twarze, do których przemawia, jakby wciąż jeszcze była na Olimpie. A to świat ludzi. Z jednym krótkim życiem.

Nie boi się mówić o sexie – ciała śmiech to śmiech ducha. Wpada do Chrystusa na herbatę, którą przygotowuje dla niej osobiście – bo wie, że nie przepada za jego kelnerami. Gdy szklanka jest już w trzech czwartych opróżniona, Chrystus zamyka interes i biegną do dziewiątki – suną po szynach nieś miłosierdzie.

Krzyśkowi

Kiedys przywiózł mi pigwę i jabłka ze swoich sadów. Dziesięć skrzynek – nie do przerobienia. Rozdawałem je potem znajomym i znajomym znajomych, i rodzinie, i rodzinie rodziny, a nawet rodzinie rodziny rodziny. Rok później zadzwonił i zapytał, czy chcę porzeczek. Jasne, że tak – odpowiedziałem, a wyobraźnia podsunęła do głowy wielki sokownik, cukier, słoik, słońce lata, dłoń babci, późne podwieczorki, wakacje, dzieciństwo, dorastanie, cierpki smak porzeczek.

Przychodzi jednak ze zwykłą aktówką, wyjmuje z niej swój ostatnio wydany tomik poezji, w którym niza słowa. Jak kulki porzeczek, jarzębiny na sznurek. Korale. Perły.

Artysta plastyk, artysta muzyk, błyskotliwa kariera w Paryżu. Poeta. Przedsiębiorca. Właściciel ziemski. Nauczyciel. Polski da Vinci naszych czasów. Przychodził do antykwariatu, zanim się poznaliśmy. Niepozorny pan w grubych okularach i koszuli w kratkę. Zawsze dźwigał torbę lub staromodny plecak.

Poeci jednak też muszą czasem zjeść albo zapalić. Kupić proszek do prania, telefon do telefonowania, maść sadowniczą do pigwy.

Pod marketem, supermarketem, extra-, giga-, megamarketem alejki wysypało żwirem. Schyla się – plecak jeszcze go nie przygniatał, a może schyla się mimo tego przytłoczenia, może to zawsze jest mimo tego przytłoczenia. Podnosi kamyk, który mrugał do niego swoim ponadczasowym okiem. Waży go w dłoni. Czas jest lekki. Ktoś go trąca – stoi taki facet na środku alejki z pełnym plecakiem i gapi się na swoją dłoń. Jak u Castanedy – spójrz na dłoń, żeby przekonać się, w którym ze światów jesteś. Czy to jawa, czy sen?

Skryształizowana powierzchnia kamyka ukazuje swoje warstwy. Miejscami kładzie światło, a gdzie indziej je odbija. Gdy go odwrócić, przypomina wakacje u babci – tam też były takie kamyki na plaży? A może to cicha melodia, którą rzadko kto słyszy.

Gdyby go nanizac na sznurek obok tamtego różowego kwarcu i dwóch dojrziałych wiśni, powstałby modern jazz w najlepszym wydaniu Modiglianiego, Bacha i któregoś z pogrobowców Malewicza.

Wpatruje się w ten kamyk jak we Wszechświat, który właśnie stworzył.

A potem pijemy piwo. Zimna goryczka chłodzi trud stworzenia.

Krzyśkowi

Zaprosiłby Pana Boga na piwo albo jeszcze lepiej – pod gorące niebo Lizbony lub Porto. Kolejny z magicznego kwadratu przecznic Jedności Narodowej, wcześniej Stalina, wcześniej *Matthiasstraße*, i tak w koło Macieju: Kluczborska, Nowowiejska, Daszyńskiego, Damrota – on otwiera kwadrat, ja zamykam. Kto się wychował na jednej z tych ulic, dostaje plus pięćdziesiąt procent do talentu pisarskiego, bo bliżej tam do jednej z tych piwnic, w których mieszka Pan Bóg – mieszkańcy Ołbina wiedzą, że On przechadza się czasem, udając głupca, stracha na wróble, który pod połami marynarki ogrzewa dzikie króliki, a kłosa w głowie dziobią mu wróble.

Spotyka Go też w zachwycie: gdy buła na pół, rów Hermana, mama, o piękna. Był też w Niemczech i w górach. Może dlatego nie mógł się zdecydować, czy grać na pianinie, czy na saksofonie – gra więc na dziwnym instrumencie, w który trzeba dąć, naciskając klawisze, by bateria zamrugała zielonym oczkiem – zapewne niemi albo górale potrafią wymówić jego nazwę.

Nawet żyje z widokiem na górę za oknem, ale ma do niej dalej niż inni. Wczoraj cały dzień rąbał drewno. Kobiety widzą w nim dobry materiał.

Do Boga z przydrożnej kaplicy modli się już tylko o jedno: żeby po śmierci nie trafić na etykietę od oranżady albo do gabloty: wybitni absolwenci naszego liceum.

Archaniołowi

Z książek utkał swoje życie. Książki zabierały go z Przodowników Pracy na odległe pampasy, do krain tak realnych jak muzyka i film – jego święta trójca.

Kolejne księgarnie, w których pracował, kończyły się, waliły, paliły, bankrutowały. A on jak wysłannik Pana z płonącym mieczem podążał do kolejnej.

Dziś zawsze ma tysiąc spraw swoich i cudzych. Nawet z własnego spotkania autorskiego wychodzi spóźniony – do roboty.

Zawsze gdy się widzimy, właśnie coś wydaje: prozę, poezję, wspomnienia, marzenia, sny, fantazje, czasem uderzenia młotem o kowadło.

Śni piękny sen o własnej żonie, a przechodnie zastanawiają się, czy ona wolałaby spokojniejszych snów?

Kipi energią. Cały czas dzwoni. Pedaluje. Biega. SMS-uje. Spóźnia się. Spieszy. Żadnej pracy się nie boi, bo wie, że życie to ruch. A talent wykuwa się w wiecznym ogniu góry Orodruiny. W fotelu zasiądzie dopiero po drugiej stronie – chyba że trzeba będzie komuś pomóc.

Jarowi

Czasem jest tak, że od gestu pędzla ważniejszy jest cios siekierą, bo otwiera w nas wgląd w jakieś inne przestrzenie albo zmienia naszą optykę. Zrywa kurtynę. Ukazuje, kto jest kim. On uderzył siekierą trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć razy. Tak to sobie wyobrażam, choć rozum podpowiada, że drzewa najczęściej padają pod ciosami pił spalinowych.

Po ostatnim uderzeniu wiedział już, kim jest i kto jest adminem iluzji wokół nas. Zjechał z gór i przywdział fartuch. Piłę zamienił na farby. Z uśmiechem zen, którego nikt nie odgadnie, przywodzi na myśl słynną Giocondę, choć jego uczniom kojarzy się raczej z Kung Fu Pandą.

Na palcach jednej dłoni, nie licząc tych, które utraciłem dawno temu przy wycince lasu, umiem wyliczyć tych, o których myślę: ten wie, jak żyć. Od niego zawsze zaczynam tę krótką wyliczankę.

Kiedyś odwiedził admina i na plaży ujrzał, że ten jest lepszy od niego – chociaż nie używa siekiery ani piły, ani nawet, c'est la vie, żegnajcie, pędzle. Znow praktykuje u Mistrza, choć już inaczej. Mądrzej – sam przecież jest już Mistrzem.

Układa te patyczki, zamyka je w sztywnej ramie.

A gdy szukam czegoś dla ojca na prezent i pytam go o to, o co zawsze antykwariusz pyta artystę: Ile?, odpowiada: Chodź, Stasiu. Postawię ci piwo. Na prezent podarowałem scyzoryk z trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesięcioma sześcioma ostrzami.

Andrzejowi

Życzliwy. Skrupulatny i dokładny. Wszyscy chcą się z nim przyjaźnić – jak to z władzą, mimo że czwartą. Uśmiechy, żywe gesty, ukłony – gdy ten tylko wyjdzie do kibla.

Jest sprawiedliwy. Równo rozdziela miejsce na szpaltach i pochwały. Tym, którym się należą i w stosownej do geniuszu ilości. Dla każdego ma dobre słowo i tabelkę w Excelu, żeby to wszystko objąć, dopilnować – przecież to na jego głowie, to jego życie.

Pisze dobrze. Konkretnie, ale ze znanstwem intencji. Kochają go w kraju i poza nim. Opiekuje się żoną i synem, koledzy mogą mu wierzyć.

A potem życie szybko mija. Obowiązki się kończą. Magazyn ogarnie już ktoś inny. Trochę mu szkoda – tyle wspomnień, i co z tego. Wstaje. Dmucha na nieco zakurzone klucze, o których w ostatnich latach myślał coraz częściej. Teraz ma na to czas. Schodzi po krętych schodach do piwnicy. Innym zwykle kręci się w głowie, ale on ma ten swój zmysł redaktora. Doświadczenie sapera. Idzie więc pewnie.

Przynosi szafiry, rubiny, diamenty, w których świat wiruje.

POLSKA

Cena zł 25

Nr 3 (259) - 1976



Bez początku¹

*Nie mogę być ani niczym, ani wszystkim: jestem pomostem
pomiędzy tym, czego nie mam, i tym, czego nie chcę.*

Fernando Pessoa

Dzisiaj dyskutowaliśmy o Fatum. Niewiele z tego wynikło, skazani na rany i cierpienie, na brzegi nie do przebycia podążaliśmy po dnie rzeki z tłumem białych postaci. Jak na dawnych obrazach, idąc, sami stawaliśmy się obrazem. Na przedzie pochodu parskwały rumaki, które były o wiele szybsze od naszych kroków. Moje wizje bywają interesujące wizualnie, piana, wędzidła, kopyta, plecione grzywy. Spod kopyt tryskają grudy suchej ziemi. Ponad drzewami mgła, jak to o świcie. Oczekujemy swojego losu, nie mamy nic do powiedzenia. Nasz sen pomięty jak zużyta pościel nurza się w powodzi słów. Nad nami pajęczyna wysnuta przez skazanych na dalsze życie. Oni też zginą. Fatum wpatruje się w ich źrenice. Symbol rodzi symbole. Kobiety rodzą kolejne dzieci.

Było w tym momencie bardzo szlachetnie, byliśmy zdumieni własną szlachetnością. Delikatne przymierze z chmurami pozwalało nam przetrwać kolejny dzień. Kolejne widzenia nie nadchodziły. Być może byliśmy nadmiernie szczęśliwi. Wszystko wydawało się białobłękitne, ludzie, zima za pasem, szron na butelce, słowa podobne do innych słów. Wszystko pisało się samo, kłębuszki wody toczyły się bezszelestnie. Moja składnia składała się z samych niepewnych sformułowań. Czego były one niepewne, kogo się bały, dlaczego musiały unosić się ku górze jak para owinięta kokonem z bieli? Owady opowiadały swoją historię, to, co wydawało się niedawno odległym horyzontem, było coraz bliżej. Pod głową mieliśmy dwie łąki, dwie poduszki z laki i tysiące pól niepotrzebnych nikomu. Byliśmy sami tak jak zawsze, cisza skoszonych błękitów w śniegowej gałązce oplatała nas swoim szlachetnym brzmieniem i postrzępionym na krawędziach ostrzem. Błękitna krew zobowiązuje, płynie o wiele szybciej od czerwonej.

Kupiłem fotel o zielonych nogach. Nie odczuwałem w tym momencie przesady. Wiedziałem, że najlepiej będą się na nim czuły dojrzałe owoce, rezedowe kwiatki. Oparcie jest bardzo miękkie, jak twoje piersi, sutki stawiają się nieuważnie, bosy

1 Trzecia, ostatnia część tomu „Bez początku”.

księżyc przechadza się nieopodal, jest dobrze. Jego pełnia, nasza pełnia, jego nów, nasza ciemność. Fazy drgają jak drogocenne klejnoty na palcach nocy. Z wiekiem staję się sentymentalny, lubię zapach cygar, wonną grę światła, nie interesują mnie inni, nawet ci najbardziej potrzebujący. Czuję, że moje myśli przybierają barwę starych koralików, które spłowiałe leżały długo na dnie skrzyni przywiezionej do naszego mieszkania tuż po ślubie. Tłukliśmy wtedy dzbany, rozrywali gwałtownie dziewicze błony. Dziewice pachną inaczej, cierpko i gorąco, zakrywamy ich łona pierwotną materią, słuchamy harmonii ich sfer. Uczestnicy owocobrania siedzą za paradnym stołem, milczą, milczenie jest złotem, seks srebrem, nasz fotel wypełnia się ciałem, a słowo staje się, słowo staje.

W nagrodę dostaliśmy płatek cytryny, wywinięty włóknami do ust, do plasterów. Starałem się nic nie uronić z cząstki, która stała się moim udziałem. Rozeta z nasyconą skórą jak z gotyckiej katedry. Zamknięto w niej jednym tchem Boską doskonałość na wyciągnięcie ręki. Motyle o imieniu pierwotnych drzew próbowały odlecieć na odległość naszych dłoni. Czy zdołamy to przeżyć, wieczne piękno, listki soku ściekające po korze? Mam kolekcję najpiękniejszych tuż pod matowym szkłem. Kiedy patrzę na nie, ożywają, machają skrzydłami, zapraszają na swoją ostatnią uroczystość. Żółta defilada zaczęła się niedawno, są również paziowie i rusałki, idziemy razem, uwielbiam świeckie pochody, wysoki ton piszczałek. Menażerie wypełnione zwierzętami pozostawiamy poza sobą. Jesteśmy cierpliwi, ponieważ nasza sztuka się dopełnia, gorzko, bo gorzko, ale zawsze.

Zaniedbuję wszystko nieustannie brakiem wspomnień, pustką kalendarzy. Na kominku nie płonie ogień, pokrowce na fotelach, muszę ożywić dawne płomienie chociażby jedną iskrą. Moje książki milczą, nikt o nich nie wie. Przypominają wygasłe świeczniki, stare, opuszczone domy. Nie umiem im pomóc, czytam pęki listów sprzed lat, odwijam welinowe wstążki, staram się rozplatać kosmyki włosów zaplatane w zwiędłe liście. Zaniedbałem pamięć i czas, moje zegary stoją, drewniane kukłki nie wychylają się z nich i nie odczytują kolejnych dni i godzin. Melancholia nienarodzonych dzieci, gwiazd przedwcześnie wygasłych, nie spadają w kosmos stopione w jedno, wybierają samotność, słoneczny wiatr nie owiewa ich pomarszczonych ciał. Zaniedbuję codzienność, nie sprzątam, nie rozmawiam z miejscowym ludem, zaniedbuję poprawność widzenia i to, co ma się wydarzyć. Muszę zacząć od zdjęcia pokrowców, od starcia z twarzy nalotu obojętności. Mówisz do mnie i powinienem to usłyszeć, cofnąć się w ogień po wywoskowanej drodze.

Jest późna jesień, jestem dojrzałym człowiekiem, niosę na plecach spory garb pamięci, bagaże jakby wyjęte ze starego teatru. Zdobywam nowe ziemie, zawsze jestem w pierwszej osobie jak kamień polny, jak kwiat aloesu. Ktoś odczytuje nieustannie wyroki, o których dotąd nie wiedziałem, w tym wyrok śmierci. Nie traktuję tego poważnie, mój proces jeszcze się nie zaczął. Słyszę głosy marynarzy będące dopełnieniem nieznanego mi morza. Myślę o konstrukcji z imiesłowem, jaka szkoda, że jest zamknięta i zwarta oraz nie wybiera się na żadną wyprawę. Taki

żart słowny, droga do pokrytej koralami wyspy. Kiedyś zamieszkam na niej, polecę swą duszę Bogu, zrozumieć chwilę przesilenia dnia z nocą, a Bóg będzie dla mnie łaskawy, jak to Bóg. Pokaże mi muszle pominięte przez zbieraczy, najcenniejsze perły ukryte w załomach fal. Będziemy z sobą rozmawiać jak równy z równym, smakować kolejne szczypty soli. Bóg lubi sól, chociaż nie zna tego słowa, lubi sam smak soli, ja wolę słowa.

Ostatnio zauważalna jest pewna poprawa. Tancerze coraz lepiej tańczą tango, łuki są coraz bardziej giętkie, nasze penisy dochodzą do monstrualnych rozmiarów. Patrzę w twoje oczy, sprawdzam, czy rozszerzają ci się źrenice. Jest dobrze, dalej mnie pożądasz. Nadal piszę tekst, który nie ma początku, i to w pełni mi odpowiada, ustawiony w szeregu wychodzę przed szereg, staram się nie powtarzać i nie trwać na posterunku, staram się. Nazywam wieczność, a to poważne zajęcie, nie wszystkim drogim przyjaciółom przez to odpowiadam, gubię swoją szansę na niezwykłą popularność na portalach, odczuwam trudy poszukiwania w ciemnościach, które coraz bardziej zakrywają ziemię. Litość współobywateli mnie nie przeraża, uznaję ich prawo do samostanowienia. Tak zachmurzeni i dumni przejdziemy prosto w słońce, wyczuleni na milion dotyków nietrwania. Ostrożnie rozwiniemy śmierć, można się o nią skaleczyć jak o igłę z zatrutym końcem, znieczulającą, na przyszłość i na teraźniejszość.

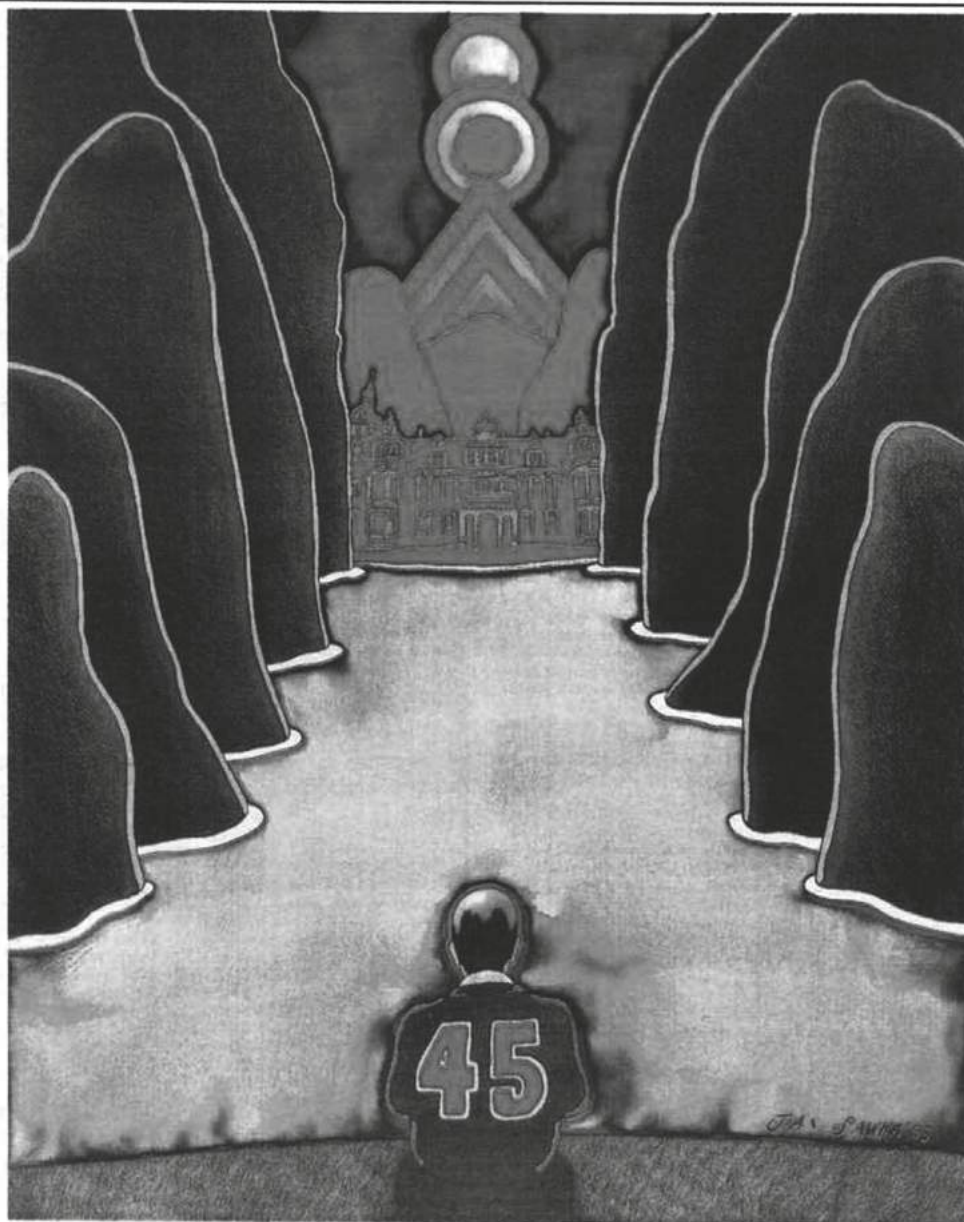
Staram się zasnąć, sen nie przychodzi, to ludzkie. Kiedy przyjdzie, stanę się kimś innym, nieustannie staję się kimś innym, wędrówki po alejach nie przynoszą spodziewanego rezultatu. Lubię rytm mojej prozy, dzieła, które nigdy nie powstaną, formę zaspokojenia wyobraźni. Moje sandały otrzepane z kurzu gościńców, moje proroctwa niespełnione. Prawa gry, reguły i brzmienia, które opanowują moją głowę. Rozgarniam włosy, patrzę na ogon pawia rozpościerający się po horyzont. Duma i uprzedzenie rodzą coraz krótsze teksty. Położmy się razem na otwartej księdze urodzaju, jeszcze nikt się tak nie kochał, sny o potędze i kilka ziaren spermy na kartkach. Moi synowie przypominają wyblakłe litery, nikt ich do końca nie przeczytał. Prawda zasnęła i ustąpiła miejsce iluzji. Alegorie się mnożą bez naszego w tym udziału, symbole nie chcą przyjść, schowały się za rogiem w taniej knajpie. Mamy prawo do błędu i do milczenia. Pijemy wódkę, ona też ma swoje prawa i obowiązki, staramy się nie patrzeć na drugą stronę ulicy.

Rzeczy mnie przytłaczają, leżę skulony pod nimi jak nowo narodzony szczeniak. Mają nierówne kanty i sporą wagę, nie potrafię ich zrozumieć. Nikt nie chce ich stąd zabrać, nie mają znaczenia dla historii. Wsłuchuję się w ich cichy skowyt, przesuwam stertę bliżej stołu, przecieram nowe szlaki, zajęty stopniowym wyciszaniem bicia mojego serca. Ciało łączy się z materią, nie chce się poddać nadmiernemu uduchowieniu. Ma świętą rację, jak zawsze, liczy na oderwanie się od języka i na jego potoczystość płynącą jak strumień po wytartych od wody kamieniach. Liczy na jedwabistość pejzażu, samo jest poezją. Widzę twarze pochylone nad świętym ogniem, które nie chcą niczego uronić ze świętości, widzę na stołach szklane po-

1959 PAŁACYK 2003

KONFRONTACJE

Drugie przedjubileuszowe wydanie specjalne • Wrocław, 31 maja 2003



© JAN SAWKA

6

pielniczki, które przypominają nam o realności istnienia. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, popiołu jest coraz więcej, gwiazda Piołun świeci nieustannie. Urny poruszają się w rytmie jej obrotów. Są obecne i to im na razie wystarczy.

Spoza gór i rzek wyszliśmy na brzeg. Dziwna fraza, nie wiemy, gdzie znajduje się „spoza”, co to były za góry i rzeki, dlaczego oni zawsze nas tam trzymają. W ustach smak goryczy, ziarna pieprzu. Staram się być daleki od konkretności, ale ten typ abstrakcji nie pozwala mi budzić się spokojnie. Patrzę przez okno na wypukłość deszczu, na rzadko używane rzeczowniki, przywracam moim oczom niebo. Napisy są coraz gęstsze, prosisz mnie, aby nie przesłoniły nam obłoków, nie wsączyły się w ciszę. Ponad nami kolejne kłębiaste góry, chmury przypominające liście ostrokrzewu, nie ma rzek, na szczęście ich nie ma. Tylko dym nad miastem z cynamonowych sklepików. Jesteśmy coraz bardziej leniwi, koszule są najbliższe naszemu ciału, węże miedziane już nas nie kęsają. Sylaby w kształcie srebrnych kandelabrow, to jest moje królestwo. Jak zawsze zdania o krągłym kształcie ostatniej dziewczyny, która jest jednocześnie pierwsza i w głębi swoich warg wewnętrznych bardziej niż kiedyś doskonała. Wgłębienia tuż pod piersiami, lubię obfitość negatywów, to nastroja i to podnieca. W rękach instrumenty służące pożądaniu, tamburyny ze złotymi blaszkami, resztki miłości własnej. Jesteśmy obnażeni do łez i do kilku kropel potu, ubrani w tkaninę rozdartą między udami.

W mojej świątyni kilka hełmów na ścianach zwieńczonych bawolimi rogami. Młodzieńcy dmą w muszle perłowe, ich plecy napięte, ich skóra bez barwy ochronnej. Idziemy wśród śpiewu, natchnieni i wolni, wystarczy, mówisz, nasze sny o potędze nie mają już sensu, nasze psy na smyczach, nasze marzenia na siatkach zielonych horyzontów. Poza nimi widoczne są żagle podwodne i miecze wbite w dno morza, tak pamiętam to miejsce i jeszcze kilka innych. Linia zdania wyraźnie się zapętla, dzieli na strony, na porównania, nic już z niej nie wydobędę. Mówisz mi: przestań, opowiedz coś o antyku, o jego najprostszym stylu. Jest dzień, nie myślimy wtedy o cieniach czających się w świątyni, o pięknie dziejącym się obok bogów.

W naszych oknach nie ma firanek, nikt nie zakrywa nam spojrzenia, nikt nie zamyka drzwi. Widoki ulegają zwielokrotnieniu, twoja twarz, moja, szept piany na włosach, skóra przeźroczysta jak pergamin. Dotykam swoich myśli północnych, ty jesteś południem i słońcem mrocznym o tej porze roku. W moim widzeniu ciebie nie ma konsekwencji, są fragmenty, zarysy, nie wiem, czy tak naprawdę jesteś ze mną, czy odchodzisz nieustannie na łupinie orzecha stojąc. Połóżmy się na naszych rzęsach, nikt tego wcześniej nie wymyślił, wymyślamy siebie, tyle wieków poezji i nikt. Obłok w spodniach, obłok ciała, z prochu powstałeś, przypominam widzom moją ulotność. Są zadowoleni, liżą mnie jak watę cukrową, mówią: wszystko obecnie jest takie płaskie, żyjemy w płaskich czasach, spłaszczonych. Milczę, przesuwam paciorki pustego różańca, od grzechu, od piasku, od marchwi.

Są miejsca nieprzewidziane przez system, władzę, religię i ludzi. Tam jestem, walczę z realnością, opisuję wąwozy, w których widzę przewidzenia rzek, kolej zwykłych rzeczy niespodziewaną i mądrą. Odczytuję dziesiątą tablicę i robi mi się niedobrze. Za dużo światła, zbyt wiele ostrzeżeń. Nie nadążam za swoimi prorocztwami, na pytanie, kim jesteś, nie odpowiadam. Przychodzę zawsze nie w porę, nie mam białych rękawiczek. Zbyt wiele zaprzeczeń w miejscach niedokończonych, tam jestem, inkantacja, zaśpiew, porwanie Sabine. Słowa płyną swobodnie, kruszą mury, pozwalają wspiąć się na palce, patrzeć, jak ludzie przechodzą na drugą stronę, jak niosą arkę, nie wiedząc, co jest w środku.

Moje ramiona zarysowane piórami. Dajemy do zrozumienia, sporo sugestii dla niewtajemniczonych. Stoję nad ginącą skałą, urwiskiem, które nie ma końca. Na dnie kilka sylwetek i nie wolno okazywać nadmiernie ich uczuć. Sytuacja mnie przerasta, nie czuję się w niej dobrze. Muszę powrócić, tam, gdzie jestem zrozumiałą, do milczenia. Przebiegam mosty ujawnione w locie, fiolet zaczyna pochłaniać moją pamięć. Jestem ciekawy w kolorze fioletowym. Na balustradach siedzą mądre ptaki, wybrane z żaru zachodu jak gorące kasztany. Nadmiar metafor, jak zwykle, wybrane dla blasku i potęgi, dla skrzydeł pomalowanych olejno. Nie jestem tutaj potrzebny, wiem o tym, nikt nie jest tu potrzebny. Jeszcze jeden wiersz niczego nie wyjaśni, kolejna profanacja nikogo nie przekona.

Portrety mojej krwi, regularne rysy, garb poezji. Liczę na ustalenie pokrewieństwa, na ojca i matkę, których nie mam. Przysięgam dochować tajemnicy, skracam teksty nadsyłane przez nieznaną mi ludzi. Ponad głową obłok świętej sprawy, wspólne hasła. Nazywamy przyjaźń lekkością, marsz w przyszłość przestał nas już interesować. Nic nie jest tym, czym się być wydaje, nasze pęta na rękach pękają nieustannie. Sytuacja spętania ulega gwałtownej zmianie. Myślimy o zwyczajnym życiu, chodź ze mną, pożyjemy zwyczajnie. Nie będziemy niczego czytać, nasze zwyczaje staną się gromadne i stadne. Jesteśmy blisko podwodnej ławicy, zawsze fascynował mnie jej ruch podobny do cięcia nożem, jej jednoczesny zwrot i ucieczka przed niebezpieczeństwem. Kto nam zagraża oprócz śmierci, barwy życia stają się nadmiernie jednostajne. Wciąż odżywają niegdysiejsze śniegi, krople spadające z dachu, wizerunki z rytualną rysą na środku obrazu. Pochodzą z czasów pierwotnych, kiedy matki jeszcze nie było, z pokładów farby położonych na płótnie bez skazy przez niezbyt zdolnego malarza.

Coś o Narcyzie, o jego spojrzeniu, o snach o potędze. Jestem twardy, walczę przy pomocy dłuta i historii, chociaż nie ma to najmniejszego sensu. Słyszę moje kamienne myśli wypowiedane podczas bitwy, przybierają kształt modlitwy do dalekich bogów. Jest ich wielu, jadą na białych koniach, mają maski zamiast twarzy. Zamienimy się miejscami, weźmiesz do ręki naczynie grzechu i wylejesz z niego całą zawartość. Będą zadowoleni. Przytuleni bezsilnie do drzewa poczniemy nowe życie, zamkniemy je na klucz, klucz wyrzucimy do morza. Otworzysz oczy, a ja odsunę ostatnie zasłony,

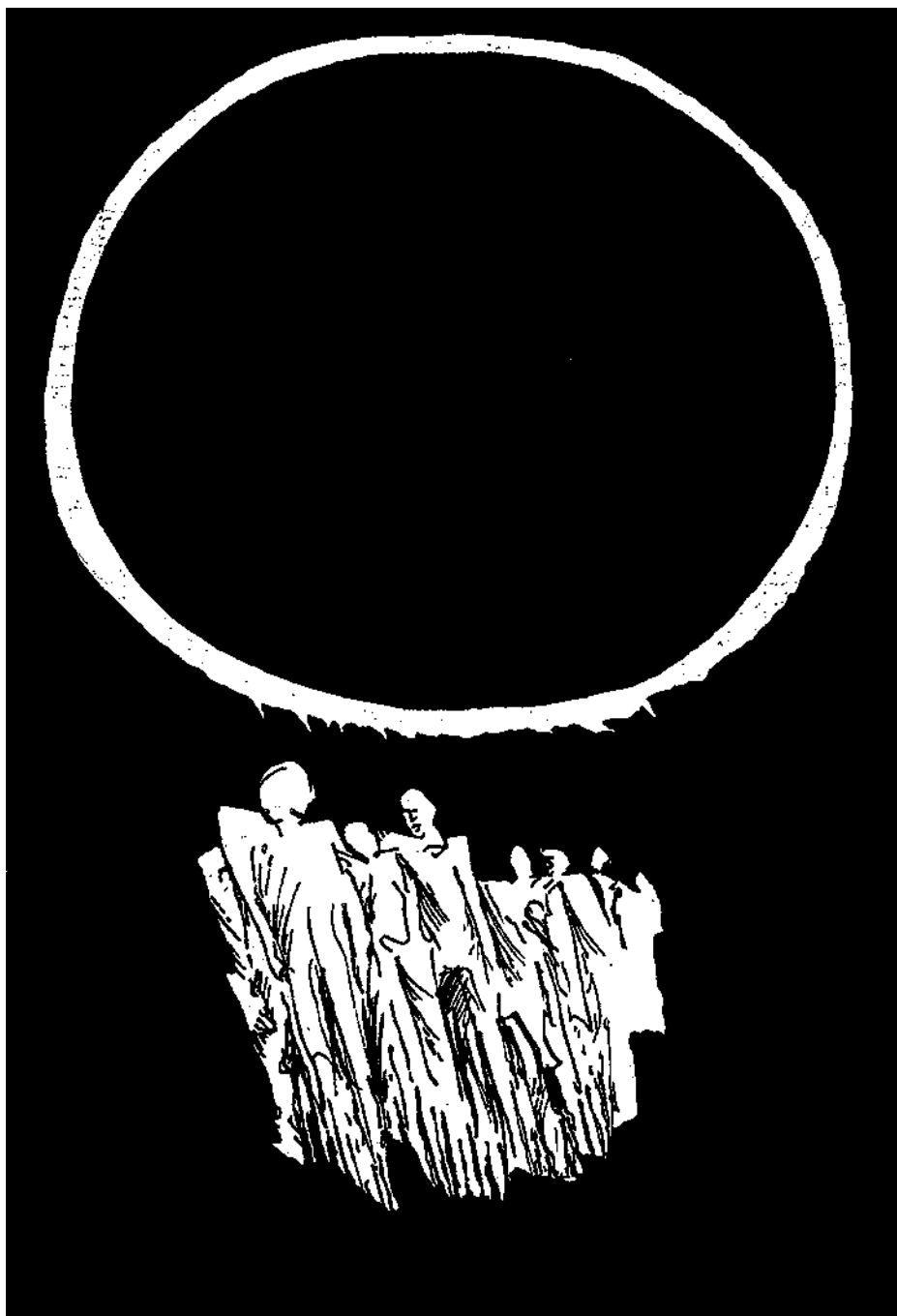
tak powstanie wiersz pierwszy o literze i wiersz drugi o błogosławionym seksie, i wiersz trzeci o miłości, zakochany, bezbronny i bezradny zarazem.

Piszemy dzisiaj baśnie, porzucamy pogardę i codzienne lęki. Baśnie są piękne, my jesteśmy piękni, kiedy tak leżymy nadzy i powtórzeni nieskończenie przez zwierciadła świata. Twój oddech, zagubiony prześwit, cięcie kwiatów tuż przy korzeniach. Jest jak tunel pomiędzy światłami, sala zapomnianych kroków, które mają kształt półkolisty, idą samodzielnie i odważnie przez ciemność jak po szynach z lekkiego piasku. Idą jeden jedyny raz i nigdy już nie wrócą. My też przejdziemy bezpiecznie, nie czekając, aż rozkwitną ziarna, my też. Nie stać nas na więcej, to i tak sporo. Z tej sfery nie wychodzi się tak łatwo, najpierw trzeba zasnąć i nic nie pamiętać, później wejść w siebie i tam pozostać na zawsze. Wyobraź sobie trwanie w kimś, przez wieczność. Nie poruszaj się, zostań, ludzie nas nie usłyszą, słowa twe dziwnie... Wspinamy się na szczyty, przeskakując przez pagórki. Piszemy baśń o dwóch księżycach, kosmiczną i zwyczajną zarazem.

Nie jestem przekonany co do postępu w sztuce. Sztuka jest podstępna. Gry słów pochłaniają mnie coraz bardziej. Stoję pomiędzy wschodem i zachodem, północą i południem. Nic się nie zmienia, niekiedy wychodzę z ram, jestem nieudanym portretem. Trzeba mnie wymazać, może autoportretem, tak faktycznie będzie lepiej. Rzadko używam czasu przyszłego, raczej przeszłość i niewiele więcej. Moja postać przypomina światowida o kilku twarzach, płaskie uśmiechy, pozorna wielostronność. Mam ochotę mówić o sobie dzisiaj w sposób niezbyt przychylny, przekreślić swoje istnienie różą, krzyżem i gwiazdą. To na pewno mi pomoże, nawet prawda może przemykać się lasami. Zdania mimowolne, podeptane przedwcześnie, odnajdywane w środkowej warstwie ciszy. Odnoszą się do jakichś zdarzeń i nieznanym mi ludzi, zapętlają wokół szyi, bolą.

Choruję ostatnio na obojętność, oni chorują na obojętność. Tyle dni potrzeba na jeden wiersz, tyle wierszy na jedną miłość. Mówię: przychodzisz do mnie jak noc majowa po białej linii wysnutej z lnu i akacji. Tak chciałbym mówić codzienne, ale coś nam nie pozwala. Linia pęka, widoczne są liczne załamania. Na naszych dłoniach piętna, których nie potrafimy zetrzeć. Szelest listowia przeszkadza mi w zaśnięciu, jestem zawieszony ponad nami, trącam niebieskie struny, całuję rzęsy nocy, barwy stają się coraz bardziej senne, fałdy na poduszce ciemnieją. Kto pozostanie, jeżeli porzucimy siebie, jak odnajdą się nasze ciała przypominające muszle połączone perłą, która nie potrafi już płakać. Jest zbyt mała, aby żyć naprawdę, jesteśmy zbyt słabi, aby żyć naprawdę. Nie umiem tego skończyć, wersy niosą mnie dalej i dalej.

Nieporozumienie, niemożność porozumienia, zaprzeczenia gubią się w głębi zdania. Mam zdanie na każdy temat, wędruję razem z wiernym psem i liczną służbą, zawsze chciałem mieć liczną służbę, został mi tylko pies i mury oświetlane od dołu tajemniczym światłem. Drzwi do pól, furtka do samego siebie, bezwzględna szczerość uczuć, niecierpliwość serca, coś w tym stylu. Obok mnie wieże



Tył okładki programu do spektaklu W RYTMIE SŁOŃCA według poematu
Urszuli Kozioł w reżyserii Bogusława Litwińca w Teatrze Kalambur,
Wrocław 1970

katedry, turnieje z woalką w tle i kilka trupów rycerzy dla ożywienia krajobrazu. Śmierć widziana z wysoka nie robi tak silnego wrażenia. Mijamy wszystko w pośpiechu, widocznie tak musi być i tylko wiatr rozkołysał nasze drogi i tylko wiatr zagubiony w czyimś śnie próbuje się obudzić. Litery rozsypują się na stole, proszę, nie wierz mi, kiedy mówię wierszem.

Myślałem o metafizycznej głębi, wrzucałem do niej kamienie. Na dnie leżały maski, kilku mimów, czas zieleni. Głębia nie odpowiadała, przypominała starą studnię z wyszczerbioną cembrowiną, zagasty ogień. Moje myśli ulatywały nad nią, nie mogąc osiągnąć kresu, pojęcia zamieniały się w rzeczy, rzeczy odbijały ode mnie jak od ściany. Wszystko zamierało nieustannie i nie miałem nadziei na cykliczny powrót czasu ani na nieśmiertelność. Ciemne opowieści pochłaniały mnie coraz bardziej, płonąłem na wietrze jak pochodnia, skóra przypominała wysuszony ogniem pergamin. Mówiliśmy o krzewie gorejącym, widziałem taki krzew, nie widziałem płomieni. Świętość nie przychodziła, chociaż musiała być niedaleko. Klaskaliśmy w obrzękłe prawice, nieśmiertelne wrzeczona kręciły się nadal.

Na początku słowo, jak u mnie, później trochę światła i walka z ciemnością. Lubię te opowieści, tym bardziej że ciemna materia istnieje nadal i kiedyś nas pochłonie. Światło nie zwyciężyło do końca, istnieje w niewielkim procencie jak nasze szept, jak codzienne narodziny. Zajmujemy niewiele miejsca, jesteśmy przywiązani do ziemi, do prochu, do wielkiego śmietnika, do ejakulatu. Na powierzchni trwa zima, nie ma śniegu, ale za to przedwcześnie przyleciały ptaki. Niosą ze sobą klucze do powietrza, słyszę ich krzyk pomalowany na niebiesko. Czasami myślę, że to nieprawda, co piszę, o czym piszę, ktoś we mnie pisze. Ptaki wymyśliłem, ich nawoływania sprzed kilku miesięcy pamiętam. Kręcę się w jarmarcznej karuzeli, czekając na kolejne metafory. Mechanizm czasami się zacina, barwy nikną w oczach. Obcy przyglądają mi się uważnie, patrzą na ręce. Będę musiał ich zastrzelić jak dziką kaczkę. My, nocni łowcy, potrafimy trafić bezbłędnie w czułe punkty skroni.

Mówiłaś o ciszy leśnej, taka inspiracja zamiast mszy niedzielnej, która przestała mnie inspirować wiele lat temu. Błądziliśmy wewnątrz niej przez całe lata, było nam dobrze. Mówiłaś: zrób mi dobrze, dzieci już śpią, twój anioł stróż poszedł do pewnej anielicy, która ma piękne, uduchowione piersi i coś jeszcze pamięta z życia przed życiem. Nie lękaliśmy się niczego, spleceni niespokojnie jak płomyk i kaganek, przebrani w leśne trawy i wiedzę o liściach spadających z drzew na nasze ciała. Wiedza pomaga przetrwać, mówiłaś, nasze dialogi rwały się w pobliżu świętych zwierząt, które przychodziły do wodopoju, wtulone w sierść swoich matek jak w miękkie poduszeczki. Patrzyliśmy na nie, zawinięci w cienie sarnie, w dotyk i trwanie na najwyższym z kamieni leśnych. Musimy wracać, powiedziałem, anioł stróż jest znowu na swoim posterunku, milczy jak zawsze, może coś mu się nie udało, może piersi były nadmiernie uduchowione. Na szczęście nadal patrzy w inną stronę.

Powinniśmy odpocząć, nie wymagamy wiele, tylko chwili odpoczynku. Powinniśmy zamknąć bramy naszego miasta i położyć je sobie pod głowę, zła godzina wtedy nie nadejdzie. Warto jest też coś opowiedzieć innym o sobie, może posłuchają i zapamiętają nasze głosy na zawsze. Płyniemy pośród wielkiej powodzi, kłaniamy się nisko brzegom, fala za falą, zerwane mosty, przerwane tamy. Złudzenia pękające na pół i co jest po drugiej stronie. Bronimy naszą łódź przed zalaniem, to takie ludzkie. Wybieramy losowo kolejne marzenia, jesteś coraz bardziej dorośli i samodzielni. Jest ich coraz więcej pomimo upływu lat i siwych włosów na twojej skroni. Wiemy, że muszą się spełnić, zanim dopłyniemy do celu, ostatni obrońcy naszych szkańców wyjdziemy pierwsi z podniesionymi rękami, prosto w ciemne światło.

Moje słowa stają się coraz krótsze, bardziej krótkie, dbam o ich poprawność i niewymuszony styl. Uderzony przez nagły wiatr z południa przypominam o palmach na białej plaży, o owocach mango, o podmuchu piasku od strony morza. Jestem nagą małą, która przez tysiące lat żyła na koralowych rafach. Tam byłem szczęśliwy, mój dotyk na grzbietach wielkich ryb, mój wzrok przeźroczysty pod wodą. Fontanny uniesienia, dzieci urodzone dzięki przypływowi i odpływowi księżyca. Budujemy wszystko na dymie z ognisk, na monsunach opływających nasze biodra. Rozwijamy spirale włosów, polujemy pośród zielonych wzgórz naszej afryki. Biegniesz obok mnie, patrzymy, jak ponad białą pianą płyną drzewa przypominające nagie pokolenia poruszane niewidoczną ręką, wzburzone grzywy koni, lustra odbite od nieba. Twoja przepaska osuwa się jak woalka z deszczu, uderzamy bez cierpienia i strachu, noc nigdy nie nadejdzie, piękny jest upadek jak w raju, jak pośród złotych węży. Przenosisz mnie w środek huraganu, spokojne oko cyklonu zamiera na chwilę, aby nagle obrócić nas gwałtownie w stronę nieznanego lądu. Nasz dzień dopiero się zaczyna.

Muszę się spieszyć, wszyscy musimy się spieszyć, jest śmierć, jej cichy lot. Alfabet od „a” do „z”, wypadki chodzą po ludziach, przypadek rządzi światem i tak dalej, tak dalej. Jak brzmi ostatnia litera, klepsydra zatrzymująca czas, klamra rzucona na zwały piasku, coś, co broni nas przed trywialnością? Zapisy nie chronią nas przed niczym, nasz podpis bez znaczenia, nasi prorocy, którzy już dawno oślepli i ztratili moc prorokowania. Nikt ich nie zna, mają chore węzły chłonne, nie chłoną już niczego, są jak wyschnięta gąbka i piją kwaśny ocet nad ranem. Jestem nieokreślony jak litera znajdująca się już poza alfabetem. Wiem, że musi istnieć inny system zapisu, inny układ wartości. Szukam człowieka, który by mi go wskazał, wyłażę wieczorami z beczki, drapię się po brudnych plecach. Nic mi się nie sprawdza, może to i lepiej. Dzięki temu mam darmowe bilety na wiele istotnych przedstawień, czyste sumienie, kilka przegranych konkursów, eleganckie miejsce na cmentarzu.

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami żyła matka, która o mnie zapomniała. Nie mam do niej żalu, karmiła mnie piersią, krople mleka zlizywałem łakomie, były ciepłe i dobre, były ciepłem i dobrem. Znalazła mnie pod kwiatem paproci, tam nadała mi imię, abym nie był bezimienny. Ostrzegła przed złem, wi-

działem wtedy nad jej głową aureolę, aurę złotą jak suknia pogody z dawnej bajki. Ocierała moje łzy, kołysała w kołysce, poruszając lekko biegunami szeptu. Spadały na nas iskierki z popielnika i kartki z zielonych kalendarzy. Za siedmioma górami żył król siedmiobrody, nie pamiętam dokładnie, ile miał bród, ale wiem, że miał na pewno okrucieństwo w oczach i wiele ofiar na sumieniu. Szkoda, że matka o mnie zapomniała, tak trudno jest przez to ukołysać ból w siódmej krainie, zapomnieć o znikającej aureoli.

Uzbroiłem się w cierpliwość, w łatwość skojarzeń, zbroja, miecze różnej długości, lance ułańskie, żelazo do wypalania piętna na czole niewolników. Lubię takie skojarzenia, świadomość zdarzeń płynie wtedy swobodnie pod prąd i z prądem, godzimy się bez wahań z jawną niesprawiedliwością i głupotą okolicznych mieszkańców. Coraz więcej jest problemów moralnych, coraz mniej poezji. Można się wkurwić, można odpuścić, można zapaść w stan lekkiej katelepsji, zrezygnować z marzeń i zacząć się ponownie skutecznie rozmnażać. Ubodzy duchem, ich jest królestwo niebieskie, wzywam ich na sąd Boży, staram się wzbogacić, ubrać w odświętne szaty. To będzie dobry pojedynek o rękę księżniczki i o jej świeżą cnotę. Nikt mnie nie zatrzyma, wyzwę na śmierć, nie na niewolę sąsiada zza ściany. Na pewno się zgodzi, jest młody i odważny, niedawno kupił sobie nowy samochód. Będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi, o czasy, które minęły, o świeże powietrze, o księżniczkę, z której wywiedziemy kolejną dynastię. Papier wszystko zniesie, sąsiad lubi grillowane mięso, ja nie lubię sąsiada.

Przyjmujemy postawę obronną, za dużo polityki, za dużo rzeczy połowicznych. Świat złożony z samych połówek jest nieznośny. Nie wiemy, gdzie podziła się reszta, nie pamiętamy już niczego, wybiegamy przed życie i poza życie, ukryte słowa, mówimy, są gorzkie, koleje myśli bywają nieprzychylne. Poziom abstrakcji wzrasta wraz z wiekiem, pijemy z pucharów pełnych goryczy jak w piśmie świętym, jak w pismach mniej świętych o tej porze roku. Odkrywamy nasze serca jak na obrazie z panem Jezusem w roli głównej. Pocztówka z zaświatów przyszła w samą porę, można na niej na odwrocie coś napisać albo narysować, można bronić się przez atak lub udawać, że nie ma nas w domu. Pod drzwiami świeci światło, zdradza nas, ujawnia szczelinę w pustej rzeczywistości. Sący się przez nią miłość, rozwija pierwsze przykazanie. Patrzymy na nasze blizny, najwidoczniej obrona była skuteczna i dzięki temu ręce nam się zrosły, przywarły do drugiej połowy i starają dotknąć jej ciała. Tak osiągamy stan spokoju, dotyk, ciepło, gorycz ostatniej porażki.

Pytasz, jak rodzi się zwątpienie. Byłem, jestem, będę. Manifestacja obecności, sierpniowa wiara, która zalewa nam oczy. Obawiamy się przyszłości, to takie ludzkie, wiemy, że ludzie o szerokich horyzontach wątpią, więc są. Słuchamy głosu sumienia, jak zamiera i ma nas już dosyć, my też mamy go dosyć, czas terazniejszy ma go dosyć, notujemy pilnie to, co jest niezbyt istotne. Nasza filozofia manifestuje jedność z filozofem, bycie w byciu przypomina migotliwą parę i dwa motyle, które walczą o naszą duszę. Kocham wszelkie psychomachie, zło i dobro mają wtedy

TEATR ★ ★ STU



twarz jednakową. Jestem głodny, moje uniesienia pozwalają mi przetrwać jeszcze jedną sekundę, portrety odwrócone do ściany trwają jakby na przekór wszystkiemu, symbole się zapętłają i tłą razem z kolejnymi wizerunkami. Nie będziemy ich gasić, ponieważ wiemy, że i tak wszystko jest nieistotne. Przekazujemy sobie tę wiadomość z ust do ust, odchodzimy na wieczność zaniepokojeni, czy rzeczy się dopełniły, a duch nadal będzie mógł wiać dokąd chce.

Wypuściłaś z garści wszystkie wróble, ja wolę gołębie na dachu i sam dach opadający kaskadą czerwieni. Nie potrzebujemy już nowych klatek, te, które mamy, wystarczą. Rozsadzimy je od wewnątrz, zobaczymy, co zostanie na naszym gruzowisku. Wiem, że tam skrzydła gołębie przeistaczają się w błękitne flagi, a wróble potrafią po raz pierwszy w dziejach opowiedzieć swoją historię. Chwiejny lot, ptasi łopot, ślady czyjejs pięści. Ubraliśmy się w ubranka z drutu i starych desek, czekamy na deszcz, na gry i zabawy dziecięce. Jesteśmy już dorośli, ale co to nam szkodzi, bawmy się dalej jak za dawnych czasów. Wiemy, co jest dla nas najlepsze, jak zabawić gości i jak ich wyprosić z domu. Dla każdego przyjdzie kiedyś czas odlotu, nie wiemy, w dosłowność czy do krainy iluzji. Wybieram jak zwykle iluzję, przypomina brudną pianę w zlewie przetartą dla porządku starą ścierką.

Jestem coraz bardziej kaleki, lata garbieją, przynoszą nowe neologizmy. Komputer wie o nich wszystko, nie pozwala im zagościć się na zbyt długo w tekście, który chce być prosty i mieć barczyste plecy. Dzisiaj jest święto pocałunków ogłoszone niedawno w ramach laicyzacji mojego starego kościoła. Z języczkiem lub bez, jak kto woli. Jemy chleb nasz powszedni, języki pracują nieustannie. Lubię myśleć o kwiatach lnu, o swobodzie zapisu, która pozwala na luksus tworzenia rzeczy zbędnych. Mój wiek skojarzony z drogą, muzyka fletów pasterskich, szaty uszyte z kory tuż nad ranem, aby dopełnił się obrządek pojednania z twoimi ustami, wargami wewnętrznymi purpurowymi o tej porze poranka. Melodia płynie i jest coraz bardziej uchwytana, dostępna naszym rękóm i udom, chłodnym szwom z lipowego zapachu. Bose ślady na piasku, dzbany pękające mimowolnie, płomienna rola i pług orzący ziemię. Jak wnikać wewnątrz do wnętrza szerokich oddechów, powietrza, którego brakuje, jak wnikać?

Nasz wspólny przyjaciel gdzieś się zapodział. Może jest w Berlinie albo w Rio, opuścił nas bezwiednie i nawet listu albo kartki. Zamknął za sobą drzwi na kłódkę, zabrał wszystkie świece i ubrania i nikt nie stanął w naszej obronie, w jego obronie, nie było pomiędzy nami nikogo. Serca zamarły, jego serce zamarło i nie bije już dla nas, może jest w Hiszpanii obok pustych pomników, może stoi na czterech stopniach tuż pod katedrą w miejscu, w którym mieszkają smutki i gdzie ulicznicy strzelają do ludzi z procy, aby obalić barykady przyjaciół złotej wolności. Nad naszymi głowami unosi się rozdarte słońce, nie chce świecić pełnią blasku, ponieważ jesteśmy połowiczni. Mówisz: to jest absurdalne, słońca nie można rozedrzeć, odcisnąć w glinie, zabić. Mówię: dlaczego nie, w absurdalnym świecie wszystko jest możliwe, nie tak dawno zdechło słońce wielu narodów i są obawy, że narodzi się

nowe. To ja już wolę księżyc, mówisz, przynajmniej on nikomu nie zagraża, tylko przyptywom i odpływowi morza, kobietom, ptakom wędrownym podczas lotu na północ, dzieciom nienarodzonym lub narodzonym tylko w jakiejś części, we fragmencie niezdolnym do życia.

Nasze rozmowy pozorne i w środku milczące. Zatarłem sobie źrenice garstką prochu, z którego powstałem. Już nigdy go nie będzie, to dobrze, od pewnego czasu nie lubię bliźniąt. Jedno jajo, dwa plemniki, przechodzimy obok mimowolnie, litery składają się same dosyć obojętnie i bez wewnętrznego czucia. Nikt nam nie zagraża, jesteśmy uleczeni z wszystkich chorób naszego wieku już na samym początku, profilaktycznie i mądrze. Zbawienna obojętność, zbawienna wyobraźnia, dwie siły grzeszne i odpuszczające grzechy. Przekonałeś się, byłem przekonany, to nie są nasze ślady, raczej tłumy, który był tutaj przed nami. I będą ludzie, jak byli, podobnie jak patos stłumiony do bólu, jak wawrzyny, o których zapomniano, jak wojny nigdy nierozpoczęte, po co o tym pamiętać. Monety o zatartym profilu w naszych dłoniach, historii, których nigdy nie opowiedziano. Lubię w nich grzebać, chować przed innymi. Ta druga strona ciągle mnie fascynuje, jeszcze nieodwrócona w naszą stronę, zwarta i miękka jak aksamit, pulsująca tajemniczym światłem.

Narzucono nam powietrze, wodę i ogień, nie dano nam wyboru. Oddychamy w głębi wody, nasze skrzela zaginęły i stąd nieustanny niepokój, ryby przecięte w pół, płuca łapiące ostatni oddech na drewnianym targu. Żyjemy ponad losem i lotem, w przestrzeni pomiędzy dzięki płetwom skrzydlatym. Zwierzęta nowej ery, tak je sobie wyobrażam, pośród kropli płomieni, przeźroczyste jak wiatr, obdarzone nadludzką siłą. Żywioty ogarną nasze suknie, będziemy im posłuszni. Moja poezja zatrumfuje podobnie jak poruszenie drzew, jak żar bez skazy czerni, strumienie twarzy przechodzących obok. Będziemy gnać się do cienia posłuszni danym nam napojom i ciepłu płynącemu z najdalszych sfer nieba. Będziemy otwierać siebie na kolejne płody, homunkulusy o cienkich brwiach i wyrazistych oczach. Nasze więzienia zbudujemy z płytek rdzy, z szaleństwa zamkniętych wewnątrz nich zwiędłych liści. To nam wystarczy, stworzone światy będą musiały się nam odwdzińczyć za akt kreacji. Zabiją nas w tej samej sekundzie, obliżą wargi, wypiją krew i zjedzą świeże mięso.

Powiedziano nam, że mamy prawo do przystani, do okrętów o wysokich burtach i trwałych masztach. Odpoczywamy w biegu, nie obawiamy się błyskawic ani sztormu na wzburzonym morzu. Tutaj jest dobrze, taśma wybrzeża nigdy nie zostanie przerwana, czas szczęśliwie nas opuścił i nareszcie mamy spokój ze śmiercią. Szyfry zostały rozwiązane, tajemnice wyjaśnione, światło unosi nas ku górze i niepotrzebne są już nam żałobne pochodnie. Trofea starości świecą jasnym blaskiem na murach tego miasta, w domu mamy kilka pergaminów zapewniających nam wieczną młodość. Zwiotczące mięśnie nabrały młodzieńczej siły i potrafią wiosłować pod największe fale. Nie ma już żadnych nowych spraw, są same stare, coraz starsze, coraz bardziej wyblakłe i pogodne jak jesienne niebo. Czekamy gotowi do powrotu.

Grozi nam jedyna władza. Będziemy wtedy beużyteczni, niedostosowani społecznie i politycznie. Porzucimy naszą pracę jak piąte koło u wozu. Nie przydamy się już do niczego nikomu. Nasze mosty zawisną nad wyschniętymi rzekami, ich poręcze rozpadną się w rękach. Przyjdzie nowy władca i wyda na nas wyrok. Będziemy przypominać suche rośliny i nikt nie przyniesie nam wody. Nowi ogrodnicy przytną wszystkie korony drzew, szpalery staną się równe i nieskomplikowane. Położymy się na ziemi skuci w kajdanach, przebici wołą obywateli, których języka nie rozumiemy. Artyści bez armii, dawni jedynowładcy oazy na pustyni. Będzie porządek i subordynacja ludu bożego, tylko nas już wtedy nie będzie, odejdziemy, ponieważ nasi bogowie przegrają tę nierówną walkę i porzucą nas na piasku na pastwę losu. Głos wołający na puszczy zamilknie, puszcza przestanie istnieć. To jest możliwe, wszystko jest możliwe w świecie bez litości i prawdziwej wiary.

Mówisz o głupocie ptaków niebieskich, o ich ciężkim locie i wypukłych podgardlach. Oplatasz mnie nogami, chociaż jestem ciężarny i niedługo urodzę nowego potwora. Święta pozycja, fundament miłości mnie już męczy. Gorycz losu, świerszcz za kominem, to już było. Możemy jedynie powtarzać stare figury, piskliwe godziny, parawany bieli, cienie zapomnianych przodków. Gdzie jest ogniwo, które to spaja, ogniwo tego łańcucha, oko pawia wnoszące niezbędny ładunek piękna do naszego życia. Słowo nie chce stać się ciałem, ciało nie potrzebuje już słowa, wystarczy mu trochę jęków, skowyt rozdarty na pół, przygryzanie czerwonych warg, krwisty korzeń. Królowie umarli, może to i lepiej, zostały same atrapy, figurki ze starej porcelany. Pytasz, czy jesteśmy już mali wystarczająco, aby zrozumieć wielkich, i gdzie oni są, świadkowie naszego pomniejszenia, gdzie się podziiali, kiedy byliśmy zajęci sobą i nikim więcej podczas kolejnego pojednania?

Nie mogę już niczego zrobić z dawnymi tekstami, czytam i czytam, nic nie układa się jednocześnie, słowa są zbyt wąskie, nie mieszczą się w kolejnych trybach i rodzajach, przerastają mnie, są zbyt nachalne i przedwczesne zarazem. Nie waham się dłużej i niszcze je systematycznie, tworzę palimpsesty, które muszą mi wystarczyć, nie pozwalam, aby spodnie warstwy wyglądały na powierzchnię swoimi ślepymi źrenicami. Wszystko sprzysięga się przeciwko mnie, staję się kolejnym sprzętem, meblem na wysoki, pusty połysk, imitacją świata, kiedy inni są tacy oryginalni, abstrakcyjni, awangardowi, wykształceni. Proszę, przymknij moje oczy jak umarłemu, popatrz na oświeconą przez pomyłkę noc, popatrz, jak błyszczą i odbija kolejne światła. Nasza galaktyka nie może umrzeć razem z nami, nie może zgubić żadnej gwiazdy, żadnego księżyca. Nazywamy tradycję, która niknie, mówienia, podkreślenia, obecności marginesów strony. Kocham papier, jego cichy krok, wiem, że zbiory makulatury są tego roku wyjątkowo obfite.

Drewniany talerz na stole przynosi nam szczęście, jest bezpieczny i na pewno się nie stłucze. Jemy z niego surowe drewno i gładkie porosty morza. Patrzymy, jak traci ciepło o wiele wolniej niż te ze stali lub z brązu. Przykładamy do niego spragnione usta, musimy uważać na zadry i niewidoczne nacięcia. Całe pokolenia

pozostawiły na nim swoje ślady, artyzm, owoce trudu, smak miodu i surowe osady kamienia. Porósł już jak gliniany odlew, jak dzieło sztuki nikomu niepotrzebne. Ponad nim wiszą ikony, są wyjątkowo cenne, posiwiałe ze starości, podatne na kolejne warstwy przemalowań i podkładów z soli. Z oddali leci dysk miedziany, obraca się jeszcze, chce zawrócić na odległe stadiony. Jest pokryty krwią silnych ludzi, pragnie znaleźć się ponownie w naszych rękach, udowodnić, że historia potrafi zatoczyć przypadkowe i nieregularne koło, wirować nieprzytomnie aż do osiągnięcia celu, roztrzaskać się na wietrze.

Dostałem spadek, trochę puchu, marne pieniądze sprzed wielu lat, musiałem podpisać i dać coś posłańcowi na pamiątkę, moja wdzięczność też nie była wiele warta. Trwało to przez kilka lat, stałem na wysokich rusztowaniach i wiedziałem, że w moim świecie wszystko jest możliwe. Łamaliśmy kolejne pieczęcie, otwierali bramy, patrzyli, jak pada śnieg, jak aniołowie siadają na ostrzu noża w swej niezachwianej pewności, że nic im się nie stanie. Mięso tego roku było wyjątkowo smaczne i obfite, jedliśmy je bez wahania, wiedząc, że pochodzi z dorodnych i karmionych prosem osobników. Żar-ptaki obrodziły nadzwyczajnie, gubiły piękne pióra i dzięki nim wymykaliśmy się temu, co potoczne i zwyczajne, jak zwykle, nawet w tak prostych i zwyczajnych sytuacjach. Byłem kolejny raz pod piramidami, przyglądałem się im uważnie. W poziomym świecie wyzwanie rzucone pionom, to doprawdy zastanawiające, podobnie jak niepojęty był człowiek karmiący wielbłądy suchą trawą i maniakiem i znak na ziemi przypominający świętego żuka w pozycji embrionalnej.

Popatrz na mnie, tu jestem, musisz patrzeć na mnie każdego ranka, dostrzec, czy się nie zmieniłem, nie postarzałem nadmiernie po wczorajszej nocy. Moja twarz, twoja twarz, nasze obsesje zdobyte wieloletnim doświadczeniem, osobne i wspólne, jak na targowisku próżności. Musisz patrzeć na mnie nawet wtedy, kiedy mówię w sposób niezrozumiały o trzęsawiskach oczu, o formie widzenia nieistniejących ogrodów, o zmuszaniu się do słów, które nic nie znaczą. Odwróć ode mnie milczenie, wiem, że tego nie potrafisz, ale odwróć i przebac moje błędy i zaniedbania, to, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową i uczynkiem. Przebac nadmierne brzęczenie owadów pod naszymi oknami, niecierpliwe zerwanie struny, błoto na butach, które przyniosłem do domu. Musisz patrzeć na mnie, ulec mojej prośbie, być kobietą upadłą i świętą jednocześnie. Inaczej spotka nas prawdziwa samotność, przekleństwo jutra, pustka wspomnień pod zużytą kołdrą, skarga nie-wysłuchana przez nikogo.

Artyzm, z artyzmem, o artyzmie. Umieścimy go w miejscu niedostępnym, na szponach jastrzębia, u wejścia do jaskini drapieżców. Tam osiągnie doskonałą równowagę, moc monolitu, wyzwanie rzucone przepaściom. Bawimy się w słowa jak w układankę, człowieku, nie irytuj się, nie pamiętam, jak się w to grało i kto był zwycięzcą. W naszym obrazie powinno się coś wydarzyć, jakiś pocisk przebijający kręgosłup, ból przybity gwoździami do gwiazdy, jest sporo możliwości. Proza daje sporo możliwości, mało kto z tego korzysta, ale zawsze. Na przełęczu ktoś rozpałił ogniska, nie ma ich i są jednocześnie, tam przebywają ludzie przepełnieni chęcią

zemsty. Niedługo kogoś zabiją, ale na razie patrzą na dobroczynne szczyty, na rozzerwane pióra dzikich ptaków, na sztylety wbijane powoli w mięso. Są wolni. My też jesteśmy wolni, ale nie umiemy korzystać z wolności. Nasze grzechy zostały już wybaczone, sąd ostateczny odbył się dosyć dawno temu z wynikiem pozytywnym. Artyści nigdy nie śpią i dlatego nie mogą umrzeć do końca. Sen, brat śmierci ich nie spotyka.

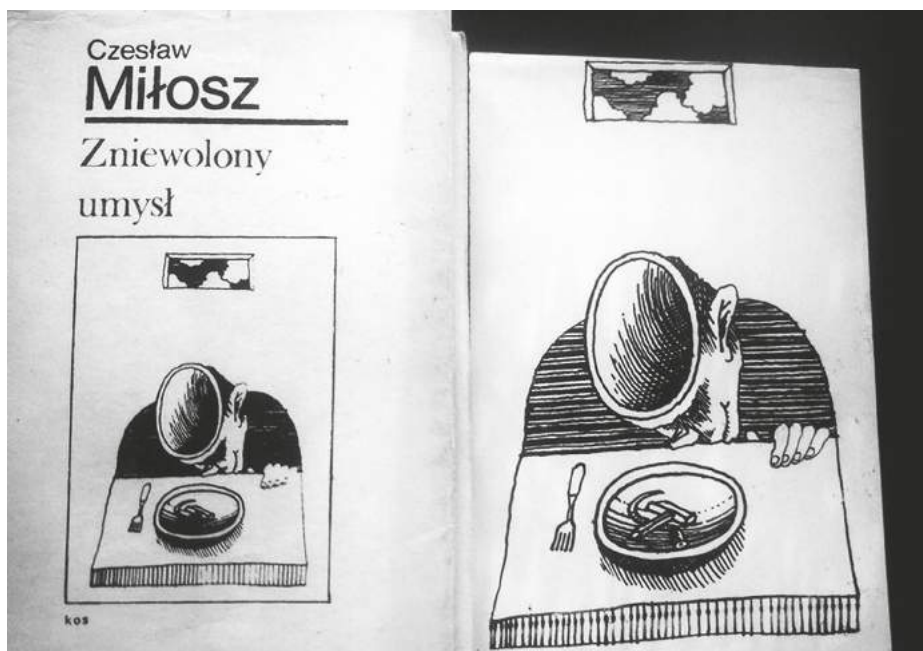
Życzymy sobie wiele pomyślności w nowym roku. Muzyka gra nadal, więc spadamy w sen zanurzony nad tęczą i skrzypce grają nam jeszcze, i ktoś pochyłony nad tobą odczuwa coraz silniej, jak mocno zaciskają się nasze skronie, więc idziesz powoli... Przypominam sobie strzępy wersów, fragmenty melodii, nierealnie i niedokładnie, jak zawsze. Coś, co było, już się nie powtórzy, kolejnego widzenia nie będzie, nadziejo, matko brzemienna, módl się za nami. Jest pełnia księżyca, to zdarza się niezwykle rzadko. Bóg się rodzi w pełni łagodnie i główką do przodu, w pełni światła. Ciemność płodu go nie dotyczy, jest ponad to, podobnie jak ja i ty obecni nieustannie. Kim jesteś tak naprawdę, szukam cię po omacku w miastach wypełnionych muszlami małży, w małżowinach chwytających dźwięki sfer, w pustelni pustelników, w tautologiach i w trawach w pobliskim parku. Nie jestem w stanie łaski uświęcającej, nie jestem dopuszczony do arki. Jestem zmęczony kontaktem z tobą, mam cię dość, możesz już odejść i stać w ciszy kosmicznej aż do przyszłych świąt, bezmyślny i pełen dobrych intencji.

Nie mam ostatnio dobrych wiadomości, nie będę też dzisiaj rozstrzygał żadnych istotnych kwestii. Wypadają mi zęby, nie czuję smaku potraw. Mogę co najwyżej wytyczyć jakieś nowe niebo albo czarną dziurę, niewiele więcej. Wiem, że byłem komuś potrzebny, że nie przeszedłem do końca dawno nieistniejącej drogi, nie wypełniłem kilku przysiąg i nie dopełniłem wielu słów o nas, o drogocennej kuli wypełnionej kryształami lodu, które tak łatwo jest roztopić i zniszczyć. Teksty żywią się sobą, my żywimy się sobą, po uczcie niewiele już z nas pozostaje. Jakieś resztki, kartki niszczone pośpiesznie, trochę nasion, które rozwiewa wiatr, kołyski nienarodzonych. Nie mogę teraz ustalić, co było kiedyś dla nas tak bardzo ważne i dlaczego przestało ostatecznie istnieć. Boli mnie głowa, odpowiedzi nie nadchodzą, pytania uległy zapomnieniu, w stłuczonej kuli przeglądają się gwiazdy i trudno powiedzieć, które z konstelacji są najważniejsze. Nie wiem też, czy Ziemi, dzięki naszemu istnieniu, staje się ciężko na sercu, czy ona ma serce, czy my mamy jeszcze nasze serca.

Moja nowa książka ma szarą okładkę, przyglądam się jej namiętnie, nie czytam, tylko patrzę. Nikt jej jeszcze nie zna i pewnie nieliczni ją poznają, i to nieostatecznie. Mieści w sobie moje skurczone życie, jest embrionem i więzieniem zarazem, grymasem utkany z gestów i kształtów, które domagały się zaistnienia. Nie pamiętam, o czym jest naprawdę i dlaczego kojarzy mi się z wypłowiałym kształtem dzikiego zwierzęcia. Jest taka uporządkowana, zwarta, pozornie prosta, potoczysta, można ją przeczytać w niewiele minut, mieści w sobie kilka domów, wieczory zagubione

w ciszy, sztuczne kwiaty, kaskady i fontanny złożone nieostrożnie do pustych do-
tąd rąk, karty doświadczenia i niewinności. Czasami chciałbym ją zniszczyć, zabić,
ponieważ nie wiem, czemu służy i dlaczego powstała, zabierając po drodze echa
słów niewypowiedzianych i tych wcześniej istniejących. Nie mogę jej już zmienić,
podzielić na lustra i ich odbicia, na szkło pozostałe w oku i na płacz dziecka, na które
nikt nie czeka. Jest mną i jest poza mną, jesteśmy oboje już daleko, ale szczęśliwie
nikt o tym nigdy się nie dowie.

Od rana napotykałyśmy na sporo przeciwności losu, los nam nie sprzyja, toczy
z nami nieustanną walkę, zmusza do krzywoprzysięstwa, odziera ze złudzeń, na
szczęście w tej walce nie jesteśmy sami. Są inni, którzy przyglądają się nam uważ-
nie, patrzą, kto z nas zwycięży. Kocham te spojrzenia pełne zadumy i życzliwości.
Płyniemy razem w głównym nurcie, niekiedy omijając szczeliny i zakręty, które
pojawiają się niespodziewanie i chcą nas pochłonąć jak skorupkę jajka albo kawałek
drotu. Jesteśmy ucieleśnieniem kruchości i lekkości bytu jak fakir, którego widziałem
niedawno na naszej ulicy. Unosił się ponad ziemią na zaczarowanym dywanie, dzięki
czemu kolce i zardzewiałe gwoździe nie mogły go tak naprawdę dosięgnąć. Jest
coraz chłodniej, idzie zima, letnie grona zamarzają w ogrodzie. Los im nie sprzyja.
Trzymam się kurczowo myśli o ciepłych krajach i ludziach pływających teraz po
spokojnym oceanie. Nie jest źle, dziury w płucach się zwapniły, nerki pracują usilnie
na naszą szczęśliwą przyszłość. Zwiędłe liście za oknem przypominają o dawnej,
utraconej miłości.



Obwoluta i wkładka graficzna do książki Czesława Miłosza
ZNIEWOLONY UMYŚL, wyd. podziemne KOS z Krakowa

Nasz wspólny przyjaciel odszedł od nas niedawno, przeminął jak nasze opowieści i słowa, które podobno nie przeminą. Zabrał nam pół życia i pół wyobraźni, pół ciebie i pół mnie. Był z nami tak długo, jak długo trwała nasza bezsenność, pół nocy i pół dnia, nasz wspólny przyjaciel pamiętał o naszym zapatrzeniu, zabrał część twojego ciała i ukrył się z nim w głębi jaskini. Zabrał też część mojego zła, ponieważ miał nasze dwie twarze, tę dobrą i tę złą, dwa zwiędłe serca pełne zapewnień i zapachu bzu. Potrafił unieść cię na rękach lepiej ode mnie i miał nadzieję, że uda się mu do nas dotrzeć, tak jak dociera się do polany w głębi lasu, do spokojnego miejsca w środku tajfunu, jak do kobiety i mężczyzny połączonych kwiatem lotosu. Wiem, że nie wróci już nigdy, ponieważ odszedł połowicznie, i to jest dla nas pocieszające, o ile w ogóle możemy liczyć jeszcze z jego strony na jakieś pocieszenie.

Były przed nami drzwi, słuchaliśmy tego, byliśmy szczęśliwi. Drzwi nie otwierano przed nikim i nikt nie pragnął tam wejść, by je ostatecznie otworzyć, i nikt klucza nie znalazł, aby przybliżyć je do domu, i nikt klucza nie szukał, chociaż był tak blisko. Nikt nie wiedział, że były, nikt nie wiedział, że są, kiedy otwierał oczy najbliższego nam dnia, a słońce i deszcz ukrywały prawdziwe przejście, które ktoś powinien odnaleźć dla nas... Wpadam w rytm, pocieszyciela strapionych, widzę odległe gwiazdy, szukam kluczy, które zapodziały się jak zwykle gdzieś pod podłogą albo w szufladzie. Jestem dzisiaj pomiędzy, nie żyję i nie umarłem. Siedzę w mojej dziupli jak stare ptaszysko, czekam na swój czas w poezji. Klucze wtedy nie będą mi już potrzebne.

Idziemy do parku, którego jeszcze nie ma, taki jest najpiękniejszy, kilka drzew, krzewów różanych, nasz *hortus conclusus*, tuż niedaleko. Jestem w nim odległy i spokojny, tak jak lubię, nie muszę do niczego dążyć ani niczego pożądać, park złożony ze złudzeń, wejście niedaleko fontanny młodości, gdzie grają orkiestry dęte i gdzie pompierzy w złotych kaskach przechadzają się po ugaszonych przed chwilą alejach. Gałęzie szumią, grając na delikatnych strunach kilka niebiańskich gam, które powtarzane nieustannie wydają się być coraz piękniejsze. Drabina Jakubowa stoi oparta o mur graniczny, jej szczeble ktoś wyłamał, ponieważ nie będzie więcej potrzebna. Na ławkach z kości słoniowej załamują się promienie jednocześnie wschodu i zachodu słońca. Noc nigdy tu nie przychodzi i kiedy chcemy trochę się zdrzemnąć, musimy zasłaniać za sobą kotary z mchu i paproci. Ty i ja jesteśmy bezosobowi, kochamy się nadal, ale już inaczej, miłością niebiańską i momentami bezradną. Na horyzoncie wieża ciśnień, tłoczą się w niej grzesznicy jak w tłoczni mistycznej. Na szczęście wyrwano im języki i nie słychać krzyku. Grzech to grzech i trzeba go odpokutować, niekiedy przez całą wieczność.

Przyszedł mróz ze wschodu, na zachodzie bez zmian, stosy wygasły i niedługo ktoś rozpali nowe. Szykujemy sanie do podróży, słuchamy krążenia krwi skołatanej, niespokojnej, co nadejdzie, gdzie ukryjemy się tym razem, jaką pierś będziemy musieli rozorać, aby wykarmić nasze dzieci. Podajemy z ust do ust nowe wiadomości, o zamarzniętych kwiatach, o zburzonych domach, o ludziach, którzy przyszli z wojny,

niosąc ze sobą jej powiew. Musimy ostrzyć noże, wzmacniać zamki, zostawić pajęczyny, by chroniły nas przed groźnymi pszczołami, owadami o stalowych odnóżach i wszytkowiedzących oczach. Spadła jakaś cegła, osunęły się dachówki, korzenie rosna do nieba, nasz katastrofizm dopiero się zaczyna, a już ma siebie dość, nie chce mówić dalej, zamyka sklep z lekarstwami na zbliżające się czasy, na chleb i wodę.

Pada deszcz promienny, na głowy, na zielone rękawy, na chodniki, po których chodzą biedni ludzie, na kicze rozwieszone obok ratusza, na tancerzy tanga i salsy gorszących swoimi roznegliżowanymi torsami, na popiersia mędrców, na dywan, który zapomnieliśmy w ogrodzie, na studnię, w której i tak nie ma wina ani miodu, na urny żywe i martwe. Prosisz: zakryj mnie opiekuńczymi skrzydłami, rozsyp sztuczne kwiaty, które nie więdną i nie bołą, przynieś nasiona palmy daktylowej, pióropusze zaginionych wodzów, czystą prawdę. Ta prośba, esencja prośby, zapis tego, co nie nadejdzie. Deszcz rozwija laurki z dzieciństwa, prośby do świętego Mikołaja. Czytamy je ponownie, patrzymy, jak nasza skóra staje się bardziej gładka, jak powracamy do wianuszków ze stokrotek i obaw przed czarnym ludem. Nasz los ponownie się dopełnia.

Coś na koniec po niepewnym początku. Może o Minotaurze zamkniętym w labiryncie, o wąwozie, w którym ukrywa się rudy lis. Nie mam pomysłu, biorę do ręki kolejne narzędzia, wydynam usta, napinam mięśnie, czuwam o świcie chcąc pochwycić ostatni nierealny fragment tekstu. Świt nadszedł niespodziewanie zza świętej góry, z miejsca, w którym mieszkają smoki. Nie pozwolił mi zasnąć drugi raz, wskazał na boczne wejścia do labiryntu słów, na ukryte korytarze składni. Czekamy teraz na ostateczne wyzwolenie, oplątani nicią wysnutą przez ukochaną kobietę, widząc czarne żagle na horyzoncie. Nasze mity dopiero się zaczynają i nigdy nie osiągną ostatecznego końca.

GABRIEL LEONARD KAMIŃSKI

Wiersze z tomu *Nie potrzebuję cię już synu*

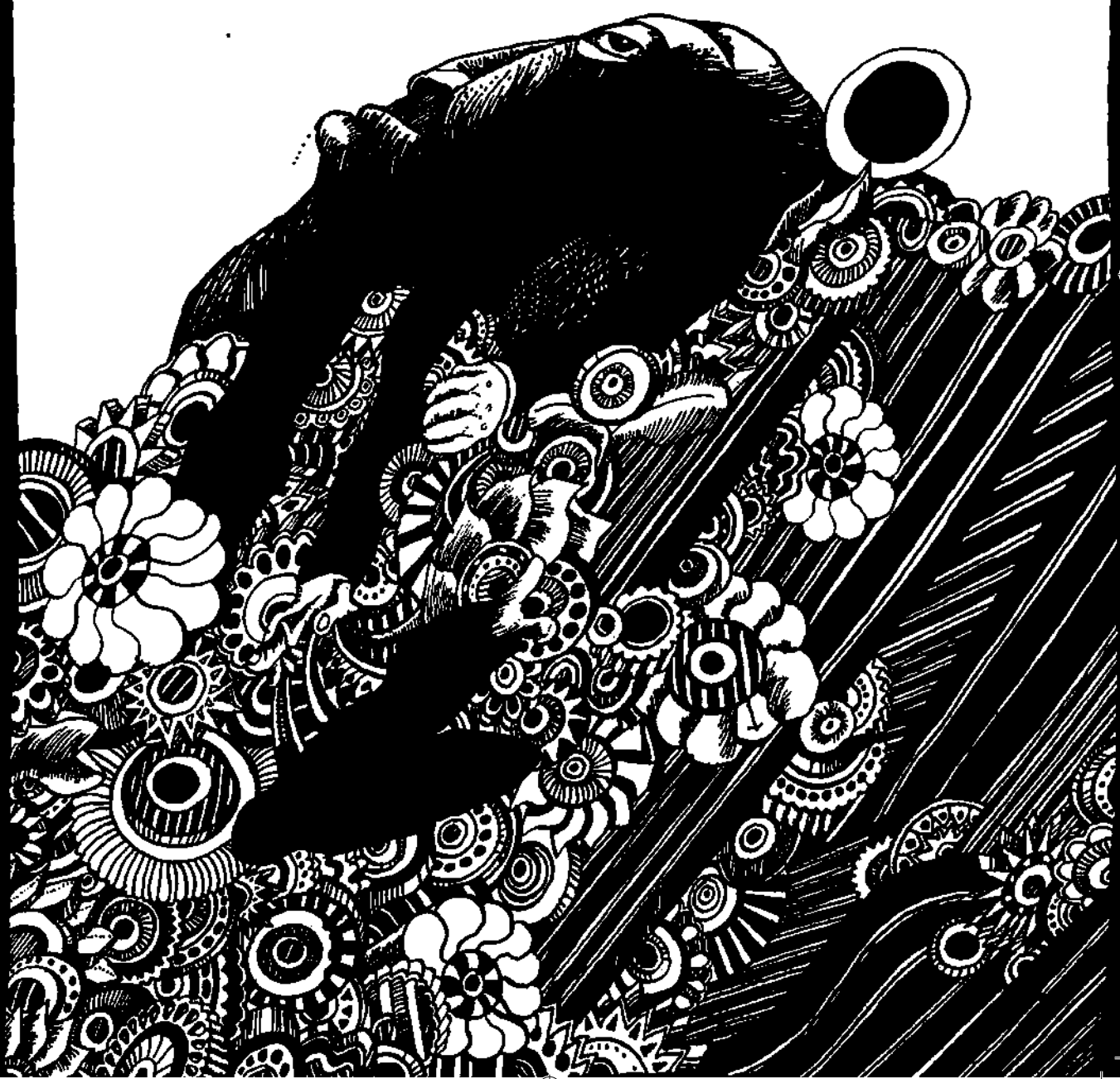
Nigdy nie mówiłam ci całej prawdy

Wiesz już, że życie boli,
a przecież próbowałam dać ci to wszystko,
co mieli inni chłopcy.
Biegałam, grałam w piłkę, jeździłam na rowerze.
Pamiętasz nasze całodienne długie wycieczki:
Szczodre, Wyspa Opatowicka.
I ta niepokojąca długa kreska Odry,
dzieląca miasto na pół.
Tak bardzo chciałam, żebyś był
najszczęśliwszym dzieckiem
pod słońcem.

Noce teraz są coraz krótsze.
Drzwi można już otworzyć
na oścież.

Grafika z wydawnictwa KONFRONTACJE LITERACKIE (suplement), Wrocław 1974

O A D M K E R Y C K I E



Każdy może być Bogiem

Nigdy nie będę stara,
wiesz, że dla ciebie mogłabym przenieść góry,
zawrócić morza, obalić każdą władzę.
Chcesz pustynię Gobi w piaskownicy,
kręcone loki jak Gérard Philipe,
a może wszystkie poranki świata w kinie
Przodownik. Jeśli tylko zechcemy,
życie będzie jak bajka.
Pamiętaj tylko o jednym – nie garb się,
chodź prosto jak struna, nie zginaj karku
przed nikim; mów *Dzień Dobry*,
Przepraszam, Dziękuję.
Wiedz, iż wszystkie książki
stoją przed Tobą otworem.
Tylko nie pytaj mnie, dlaczego
ciągle jeszcze żyjemy w tym kraju.

Kiedy oddasz mi moje życie

Żywopłot, potem ogród, studnia i jarzębina
pamiętam jak przez mgłę.
Biegłeś, synku, przez podmokłą łąkę, woda
odbijała niebo, w nim była twoja gwiazda,
tornister, Ala ma kota i nasze wycieczki
poza granice miasta.
Teraz siedzę nad liczydłami, zera sypią się
z rękawa, rosną słupki cyfr.

Jedyne, co możemy, to
nastawić radio na cały regulator,
otworzyć na oścież okno,
głęboko wciągnąć zapach stygnącego lata
i wczepić wzrok w odległy
kraniec horyzontu.

Okna są duszą domu

Czujesz; otacza nas klarowna ciemność,
jej wyraźne kontury prześwietlają każdy
przedmiot z osobna i wszystkie jednocześnie.
Siedzimy w jej środku, obejmując
światło rękoma jak łódkę
dryfującą pośrodku wzburzonego morza.
Czujesz ten niepokój przesączający się
przez ściany; twoja dorosłość, moja starość.
Dwa bieguny, dwie przeciwstawne siły
niosące nas przez życie –
awers i rewers tej samej monety.
I wszystko to przeminie w jednej
chwili. Zostanie tylko
to nienazwane światło,
przecinające ciemność na pół,
obce naszym dłoniom.
U naszych drzwi czuwa lęk.

Milczenie jest w nas

Mogę zagrać Isadorę Duncan, robię ten szal
już drugi miesiąc, czuję we śnie, jak owija się
wokół mojej szyi, wokół pokoju, wokół twoich wierszy.
Jak chiński papierowy smok wpęłza pod łóżko
i milcząc, opiera swoją kanciastą głowę
o moje kapcie. Nic nie mówisz,
widząc, jak szamocę się między drutami
i supłami bawełnianych nitek.

Nigdy nie umrę, synu, zrobię ci sweter
z grubym golfem, abyś mógł
jak Amundsen pokonać bieguny
ciągnętego niepokoju. Czy wiesz,
od początku dryfuję
w poprzek Golfsztromu.
Nie czuję ocalenia.
Od lat cierpliwe czekam,
aż kotwica uderzy o skaliste dno.

Powiem ci, kiedy będę już gotowa

Oglądaliśmy „Chłodnym okiem” Wexlera;
pamiętasz tę scenę w parku,
kiedy policja rozprasza demonstrantów.
Uciekają 46 aleją, rozbiegając się na wszystkie strony.
Myślisz, że nasze życie także biegnie bezwładnie
przed siebie.

Podobno straciłeś włosy, wiesz,
wujek Marian też osiwił w ciągu paru minut, gdy
spozregł, jak podczas bombardowania Wilna
jego brat biegnie obok niego bez głowy.

Wówczas była wojna, okopy przeorały nasze sny, marzenia,
a milczenie było jedyną formą protestu.
Na pewno nigdy nie powierzę naszych losów
pamięci.

Powiem ci, kiedy będę już gotowa. Śmierć
na pewno nie zostawi nas w spokoju.
Ale można zasłonić okno
i na powrót wstawić lustro do szafy.

Najczęściej, synu, lubimy we śnie

Najczęściej pada we mnie deszcz, rzadziej śnieg.
Mgła łąsi się do nóg, jestem
coraz lżejsza, można mnie trzymać na rękę,
żonglować w powietrzu, nie przestając wytyczać granic
wyobraźni.

Wielka Niewiadoma stuka do naszych drzwi,
a ja ciągle nie wiem: po której jestem stronie?
Szaleństwo można przezwyciężyć, strach
należy pielęgnować niczym pelargonie
lub antyczny mebel nie z tego świata.
Najczęściej, synu, lubimy we śnie
uciekać przed siebie, śmiać się lub płakać,
a łzy, przemawiając do nas ex cathedra –
jak ojciec i matka – pragną, abyśmy
narodzili się ponownie
w gnostycznej wizji katharsis,
u źródeł Dobra i Zła.

Pamiętasz, gdy opowiadałam Ci o tym,
mój ojciec po śmierci zastukał do naszych drzwi.
Stał mokry, w deszczu, rozstawił
w przedpokoju parasol i
kiedy zamykałam za nim drzwi,
rozpłynął się w ciemności.

Kiedyś wrócę, dokończymy ten palindrom
albo całe nasze życie na wspak.
Pamiętaj, synu, człowiek okazuje
swoją prawdziwą wartość
tylko w obliczu strachu.

Poprzez krew do świtu

Od kiedy moja krew zastygła, już nie
boję się wylewów, moje stygmaty
otwierają się w nocy.
Wycieka ze mnie nasz zbiorowy strach,
wykraplam z siebie moje osobiste Lenino,
moją Festung Breslau, Berlin,
kropla po kropli coraz bliżej
pokoleniowego odkupienia. Oni,
rocznik końca wojny, stoją
po obu krawędziach mego snu
ranni w postrzępionych onucach, odwodnieni,
nieopierzeni, niespełna dwudziestoletni,
otwierają płytkie groby, próbują rozprostować nogi.
Śnią mi się, kiedy giną we mgle.

Moje wojenne stygmaty jak fotografie bliskich
ożywają po północy; krew jest gęsta,
pachnie darnią. Oni maczają w niej brzoźowe drzazgi,
stawiając niezdarne krzyżyki na zeszywniałym
od krwi prześcieradle świtu.

Skrzynka na listy dzisiaj znowu jest pusta.

Otchłań, czyli krajobraz po bitwie

Śni mi się co noc bezmiar
przestrzeni. Otchłań bez dna, o nierównych
postrzępionych brzegach, pewna swoich racji
jak moja matka. Nie dopuszczająca mnie do głosu,
zachłanna.

Myślisz, że wiedziałam, jak być matką, że to instynkt,
wrodzony zew krwi?
Nic podobnego, strach, potem żal,
przecież mogłam być kimś,
np. Hilarym, Einsteinem, Madonną, dziwką
albo świętą... Dzień za dniem
przemija, nie potrafię oszukać jednej minuty, a ty mi
mówisz o kruchym jutrze, tej cukrowej laurce
dedykowanej sobie.
Nie chciałam być tylko matką, synu,
przecież wiesz, ile niewiadomych chwil przed nami.
Ile niespełnionych eskapad, w których śniliśmy
powrót do źródeł, do granic sztuki,
poza którymi nie ma już żadnego
świadcstwa bytu.

*Nie potrzebuję cię już synu to próba rozliczenia z niezwykłym człowiekiem, moją
matką Anną Teodozją Kejzik-Kosmowską.*

Zapisy zobaczeń

albo notatki krytyczne i bezkrytyczne o artystach, akademii, literaturze i polityce

Rok 2015

Nowy rok – kolejny skok w nowy czas, w nieznaną przyszłość, nieprzeczuwalną, ale nie jest to tylko tabula rasa, bo wprowadzają weń już wcześniej powołane słowa; te znaki odcisnięte w pamięci, ślady wytrawione na ciele; słowa zapamiętane i poruszane choćby w wierszach. Ale też każdy kolejny rok – to słabszy wzrok, zmęczenie, mniejsza wydajność w pracy. Zostają: chęci, dobre zamiary, wyprzedzające swój czas i napawające nadzieją; czyżby płonna?

Wiadomo, że mówimy o umowności owego przejścia od „starego” do „nowego” roku? Czas jest płynny, jednostajny, (ale czy?) wrażenie, że przyspiesza – jest pozorne? Bo raczej nasze życie szybciej się wypala. Z wiekiem „skraca” się odstęp między tym, co było, a tym, co jest teraz: przeszłość znaczy więcej (jeśli jest pamiętana?), determinuje nasze teraz – które jest wstępem do przyszłości. Im jesteśmy starsi – tym bardziej wracamy do przeszłości (rozpamiętując ją), a jednocześnie ciekawi jesteśmy przyszłości, która wszak nie zapowiada się optymistycznie. Te lęki... są wmontowane w naszą psychikę na stałe.

Zawsze dziwiło mnie fetowanie tak zwanego nowego roku; radość z tego, że już jesteśmy starsi, bo czas jest nieubłagany. Młodzi liczą tu na spełnienie swych marzeń, na realizację nowych obietnic, planów... A starsi: na co liczą? Wiedzą, że to, co „zapisane” w ich losie, przybliży się, zsyła swoje znaki czy sygnały. I tak dalej.

2.01.

W TV przypominają stare filmy; pokazano *Nad Niemnem* (premiera 1987 r.) – adaptację powieści Elizy Orzeszkowej w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego. Wydawałoby się, że to już ramota, ale dla mnie nader wzruszająca, bo budząca nostalgię za miejscem i czasem moich „korzeni” – wejrzenie w tę potencjalną przestrzeń, gdzie żyli moi przodkowie, w tym rodzice. Oczywiście film (i książka) dotyczy czasu co najmniej pół wieku wcześniejszego, kiedy jeszcze żywa była pamięć o powstańcach zrywu styczniowego i o jego wpływie na tych, którzy tam – nad Niemnem – walczyli o niezawisłość swej ziemi i tradycji. Konflikt Bohatyrowiczów z Korczyńskim (ich polegli bracia znaleźli się we wspólnej mogile) miałyby zażegnać ślub Justyny, bratanicy Korczyńskiego, z Janem, synem Anzelma Bohatyrowicza. Ten film to przybliżenie czasu i aury miejsca – to świetna okazja do wyobrażenia, że stamtąd mogli wywodzić

się moi dziadkowie, że ich losy mogły być splecione z dziećmi żyjącymi w tamtym czasie. Czy to ważne jest jeszcze dzisiaj? Dla nas – przesiedleńców z tamtych kresowych ziem na zachodnie rubieże Polski powojennej, w jej nowych (pojałtańskich) granicach – ma to o tyle znaczenie, że wiemy, gdzie i w jakich warunkach kształtowała się nasza przeszłość, która rzutowała na czas dzisiejszy – na tę trudną przyszłość spadkobierców tamtych ludzi i tamtej wrażliwości – odnajdywanej dzisiaj choćby w wytworach twórczości...

Przerwa świąteczna trwa od Wigilii i ciągle obowiązuje – szczególnie w warunkach funkcjonowania szkół (niższych i wyższych), ten sam czas relaksu. Akademia kształcąca adeptów sztuki ten okres szczególnie wykorzystuje, bo nie tylko dla wypoczynku. Ciągłe wraca dylemat: jak opisać i oddać czas życia akademickiego uczelni, która promuje artystów, a przynajmniej służy ich edukacji, czyli przygotowaniu do tego trudnego (o nieprzewidywalnych efektach) powołania. Choć także do zawodu, bo wielu z absolwentów akademii oddaje się pracy projektanta, grafika czy dizajnera, i to jest oczywiście potrzebne w gospodarce, w kulturze. Ale prawie wszyscy (jeszcze studiujący) młodzi ludzie marzą o byciu artystą, o twórczości czystej, szlachetnej. Te marzenia dość szybko weryfikuje rzeczywistość i realia. Dlatego „życie” uczelni artystycznej toczy się własnym torem, gdzie czas świąt bywa także czasem intensywnego ćwiczenia się we wchodzeniu w twórczość, w kreację albo szlifowanie umiejętności warsztatowych. Do tego zadania – do roli interpretatorów meandrow życia uczelni – szczególnie predysponowani są teoretycy (historycy sztuki, krytycy, humaniści) zatrudnieni w akademii, będący wewnątrz jej struktury – i stąd posiadający dobrą wiedzę o tym, co się w jej murach dzieje. Ale nawet bycie wewnątrz tej instytucji nie oznacza wyczerpującej wiedzy o źródłach i intencjach młodych ludzi pragnących być artystami. Ponadto część kadry szkoły artystycznej, o wybujałych mniemaniach o swych kompetencjach i osiągnięciach, niekiedy neguje rolę teorii i teoretyków w dydaktyce. Wręcz uważa ich obecność w procesie edukacji za zbędną, czasami traktując te osoby jako intruzów – zakłócających błogie życie zadowolonych z siebie wyrobników sztuki. Ale czy zadowolonych? Wolno wątpić, obserwując tę masę zawiści i egoistycznych aspiracji – jakie niekiedy ujawniają się w trakcie wystaw czy publikacji traktujących o twórczości akademickiej.

5.01.

Właśnie prasa doniosła o nowej książce Michela Houellebecqa *Soumission*, politycznej fikcji opartej na efekcie przejęcia we Francji władzy przez partię „Muzułmańskie Braterstwo” i wprowadzenia w państwie (gdzieś około 2022 r.) szariatu w prawie i w życiu obywateli. Oczywiście zaraz zaczęto zarzucać autorowi islamofobię jako odpowiednik rasizmu, rozpętała się dyskusja, którą przerwał albo raczej rozjątrzył atak terrorystyczny na redakcję satyrycznego tygodnika „Charlie Hebdo” w Paryżu. Obrońcy, ponoć obrażanej przez pismo czci Mahometa, zabili łącznie 12 osób (w tym dwóch policjantów). To sprawnie zorganizowana akcja: dwóch terrorystów weszło do redakcji w trakcie kolegium i zabiło siedmiu dziennikarzy, przy tym wiele osób ciężko raniąc, po czym zbiegło (później zostali oni wytropieni i zlikwidowani

przez francuskich antyterrorystów!). Zdarzenie to pogłębiło lęki islamofobiczne, których trudno nie podzielać. Fanatyzm religijny nie ginie, a wręcz, niezależnie od wyznania, przybiera na sile. A więc czyżby tylko literatura była zdolna „przeczuwać” zagrożenia współczesnego świata?

7.01.

Pogrzeb Józefa Hałasa, wyraźnej artystycznej osobowości Akademii, który już od kilku lat był na emeryturze. Właśnie przygotowywany jest numer „Formatu” w sporej części poświęcony, między innymi, twórczości tego mistrza malarstwa. Mówiłem mu o tym, nie przypuszczając, że tak szybko zwinie swój warsztat. Józef Hałas niewątpliwie wraz z kilkoma wówczas (lata 60. i 70. XX w.) wrocławskimi artystami, takimi jak: Alfons Mazurkiewicz, Małgorzata Grabowska, Maria Michałowska, Wanda Gołkowska i Konrad Jarodzki (zatrudnieni w szkole), oraz spoza uczelni, jak: Zdzisław Jurkiewicz, Jerzy Rosołowicz, Jerzy Chwałczyk czy Marian Poźniak, stworzyli podwaliny pod wykreowaną na lokalnym gruncie tendencję malarstwa nawiązującego zarówno do tradycji koloryzmu (w obrębie jego materii), jak i eksploatującego nowe poszukiwania abstrakcyjno-geometryczne, z intencją znalezienia swego rodzaju „ładu” struktur, porządkujących przedstawienia obrazowe: tak zaczęto mówić o wrocławskim strukturalizmie. Tendencja ta znalazła z kolei kontynuatorów w jej rozszerzeniu o przedstawienia przedmiotowe i figuralne w propozycjach młodszego pokolenia malarzy, absolwentów uczelni, takich jak: Stanisław Kortyka, Aleksander Dymitrowicz, Andrzej Klimczak-Dobrzaniecki, Janusz Jaroszewski, Paweł Lewandowski-Palle czy Wojciech Lupa. W każdym razie Hałas należał do prekursorów tego nurtu i tworzył jego historię. Zmarł 1 stycznia – na otwarcie tego roku; chorował na przewlekłe zapalenie płuc, przypadłość niebezpieczną dla starszych ludzi. Oto kolejny artysta – poeta (bo miał on wyraźne w tej mierze talenta...) przeszedł na tę drugą stronę; na stronę zdominowaną już tylko przez wspomnienia i pamięć, która – miejmy nadzieję – nie zaginie w gąszczu nie-pamięci. Ale też zacznie się inna *pamięć*, w której dominować będą spory spadkobierców tej twórczości; gdzie wartości artystyczne przeliczane są na wartości materialne (finansowe!).

8.01.

Zmarł Tadeusz Konwicki (1926–2015), wybitny pisarz i reżyser filmowy. Lubiłem jego filmy, ceniłem książki; czytało się je szczególnie zachłannie pod koniec PRL-u, bo wieściły kres tegoż ustroju (na przykład *Mała Apokalipsa*). Ta powieść mówiła o samobójstwie PRL-u, i tak się stało. Pochodził Konwicki z „zagłębia” poetów: z kraju Mickiewicza, Miłosza i Venclovy... Do legendy przeszły jego kawiarniane spotkania z Holoubkiem i Łapickim... o czym donosił w *Kalendarzu i klepsydry* – swoistej kronice życia intelektualnego w tamtych czasach. Tadeusz Konwicki wywodził się z kresów wileńsko-polskich i fakt ten był znamienity dla ukształtowania rodzaju wrażliwości artystycznej; kresowość jako pewien konglomerat kultur, zmyśleń i fascynacji dostarczał później znakomitego „paliwa” dla własnej twórczości, dla nasycań jej obrazami i metaforami, a przy tym otwartej na nowe doznania (na

przykład w warunkach powojennego przesiedlania na ziemie centralne i zachodnie Polski). Tak „kresowość” znamionowała charakter twórczości artystycznej właśnie na Dolnym Śląsku, a we Wrocławiu szczególnie.



Jan Sawka i Eugeniusz Get-Stankiewicz przed Teatrem Królewskim w Yorku, 1971,
fot. Janusz Stankiewicz

9.01.

Ciąg dalszy „czarnej serii”: przychodzi wieść o śmierci Józefa Oleksego, lewicowego polityka, byłego premiera Rzeczypospolitej – schorowany, miał tylko 61 lat. Kończy się świat PRL-u; odchodzą ludzie doświadczeni tamtym czasem i jego problemami. Ale też coraz bardziej i w nas odchodzi tamten okres, który dla wielu nie był tak zły, przynajmniej dla tych, co liczyli na spokojną, choć mierną egzystencję. Teraz przyszedł czas dla młodszych, dla drapieżnych „wilczków”, na tyle przebojowych, aroganckich, by walczyć o swoje. Szczególną aktywnością odznaczają się młodzi, prawicowi politycy, bezpardonowo szafujący hasłami narodowo-patriotycznymi: tacy aktywiści, którzy gdyby urodzili się 40 lat wcześniej, byłiby niezwykle zaangażowanymi działaczami w szeregach ZMP czy PZPR. Oleksy należał do „starego” grona lewicowców, wprawdzie ukształtowanych przez PZPR, ale już o swego rodzaju demokratyczno-reformatorskich (i socjalnych) skłonnościach; ta część aparatu partii w zasadzie przeszła „solidarnościową” ewolucję i pozytywnie wpisała się w życie wolnej Polski. Co prawda historycznie odrzuca.

12.01.

W weekend nawiedził redakcję „Formatu” Jan Grulich, Czech z Pragi, doktor psychologii, ale przede wszystkim „fanatyk” polskiego teatru i naszej literatury. Mówi i czyta polskie książki, a w sprawach naszego teatru, jego dokonań itp. zna się lepiej od niejednego miejscowego krytyka. Może godzinami rozprawiać o rolach naszych aktorów, o ich zawiłościach i treści wystawianych sztuk; zdobył był już taką popularność, że stał się koniecznym gościem zapraszany na festiwale teatralne – relacje z tychże zamieszcza w prowadzonej przez siebie witrynie internetowej (rodzaj bloga), gdzie ocenia spektakle, proponuje rodzaj rankingu na najlepsze wydarzenia itd. Mimo słusznego wieku, Pane Jane, doctore od duszy..., jest ciągle pełen wigoru i pasji poznawczych. Zwykle obdarowuję go różnymi wydaniem o współczesnej sztuce, w tym kolejnymi „Formatami”; podarowałem mu także „Buty Ikara” – rzecz o Stachurze, którego twórczość Janek zna, czytał go onegdaj. Stachura – literacki idol już kilku pokoleń; ważny ze spotkań dla mnie, jak się okazuje, również dla Jana. Sztuka łączy... i to jest piękne.

14.01.

W Galerii Miejskiej – którą świetnie kieruje Mirek Jasiński – wystawa prac Romana Opałki *Pierwsze trzy dekady twórczości*, przeniesiona przez kuratora Krzysztofa Stanisławskiego z galerii „Stalowej” w Warszawie (której Krzysztof jest artystycznym kierownikiem). Wystawie towarzyszy ciekawie pomyślany katalog, w którym pomieszczono niedrukowany dotąd wywiad Stanisławskiego z Opałką, z 1989 r. (miał być drukowany w „Sztuce”, ale czasopismo to zakończyło wtedy swą działalność). Wywiad świadczy o przekonaniu artysty do podjętej już wcześniej decyzji malowania „obrazów liczonych” (1965/1–); projektu, który przyniósł mu sławę i niezłe pieniądze. Jednocześnie autor ten zdecydował o radykalnym ograniczeniu innych możliwości wizualnych wypowiedzi. Ale, jak dowodzi tego wystawa w Galerii Miejskiej, niewiele na tym traci. Bowiem Opałka bez swoich „obrazów liczonych”

byłby jeszcze jednym z niezłych, ale niewyróżniających się niczym grafików i plakacistów. Tak więc wystawa okazała się dość przeciętnym pokazem prac, o niezbyt wyraźnych efektach wizualnych, raczej zaskakująca miałkością tego wczesnego okresu twórczości, bądź co bądź, wybitnego artysty.

16.01.

W „Gazecie Wyborczej” wywiad z Joanną Bator o jej nowej książce pt. *Wyspy łyż* – to efekt na poły autobiograficznej, na poły fabularno-dziennikarskiej relacji z wyprawy do Sri Lanki. Ale w istocie to opis wyprawy do krainy melancholii, która w znaczniejszym stopniu została wykreowana wyobraźnią autorki, choć rzeczywiście istnieje także w sensie topograficznym. Zachęciło mnie to do weryfikacji tych opinii, wśród których pojawiły się również ostre relacje krytyczne wobec tej pozycji, w porównaniu do chwalonej jej wcześniejszej książki *Ciemno, prawie noc* z nagrodą „Nike”. Po prostu krytyka raczej nie znosi mieszania poezji z prozą...

17.01.

W Galerii FOTO-GEN wystawa odnosząca się do tradycji fotografii artystycznej. Adam Sobota inicjuje projekt realizacji nawiązujących do *Niebieskiej flasz* Henryka Mikolascha. W tym celu zaprasza do ekspozycji uznanych autorów współczesnej fotografii. Wernisaż gromadzi sporą publiczność – co nie dziwi wobec liczego uczestnictwa fotografów w tej inicjatywie. Ale dziwić może (i to pozytywnie) duże zainteresowanie dla tradycji tego medium, czyli zdecydowane podporządkowanie się autorów wymogom tak zwanych technik szlachetnych (w przykładach prac: guma, bromolej i inne, nawet dagerotyp). Znaczy to, że takie techniki uzyskiwania atrakcyjnych estetycznie i treściowo obrazów nadal znajdują akces w czasach dominacji prac minimalistycznych i schematycznych w ich formie; co można odczytywać jako swego rodzaju „rekompensatę” wobec niejako „strat” powodowanych przez aktualną twórczość fotomedialną. Tym samym kurator tego przedsięwzięcia dowiódł ciągłej obecności tradycji piktorialnych w fotografii, jej przydatności w kreowaniu choćby ruchu amatorskiego w tej sztuce.

18.01.

Krążąc między literaturą a eseistyką poznawczo-krytyczną, między poezją a dokumentem dokonań artystycznych, zawsze będę *między* (to słowo z lubością jest używane przez artystów multimedialistów), co daje szerszą perspektywę widzenia albo zobaczenia czegoś, co właśnie istoczy się pomiędzy, jakby „prześwituje” spoza szczelin rzeczywistości. To ukłon w stronę filozofii, ale przede wszystkim poezji. „Poezja to stanowienie bycia poprzez słowa” – mówi M. Heidegger – a „bycie jest jasnością, w której wychodzi na jaw to, co jest – a jasność sama nie jest przecież bezpośrednio widoczna”.

21.01.

W Akademii semestr zimowy dobiega kresu; krótka sesja zaliczeń i przeglądów prac, kolejny semestr, który – wydaje się – jakby szybciej biegnie ku wakacjom.

I tak to się „kręci”. Nawet nie wiadomo, kiedy przeleciało tyle lat, licząc od 1981 r., kiedy zostałem zatrudniony do prowadzenia zajęć na wydziale AW i WP (historia projektowania w architekturze wnętrz i wzornictwie przemysłowym). Rektorem wtedy był „solidarnościowy” Jan Jaromir Aleksy, niecałe dwa lata, zdjęty po ogłoszeniu stanu wojennego.

22.01.

Kolejna wystawa prac członków wrocławskiego okręgu ZPAF, zbiorówka, jak zwykle prezentująca mieszankę postaw, realizacji i intencji. Ekspozycja zatytułowana *Metafory realności* nawiązuje do wcześniejszych inicjatyw organizowanych przez Andrzeja Dudka-Dürera, teraz przy kuratorskim wsparciu Stanisława Kulawiaka. Tym razem kurator zdał się na wolne propozycje autorów, a ci przedstawili całą paletę indywidualnych (charakterystycznych dla nich) rozwiązań stylistycznych. Choć także ujawniło się kilka nowych – interesujących ich propozycjami – nazwisk, na przykład A. Ścibor, J. Stopa czy M. Lasota. Tekst wprowadzający do katalogu napisał Mateusz Palka, „uczeń” Bogdana Konopki, doktorant na kulturoznawstwie – dość celnie opisujący propozycje uczestników wystawy.

Równocześnie ukazał się almanach fotografii związkowej – wydany z okazji 70-lecia tej organizacji twórczej. Teksty wprowadzające w problematykę dokonań członków ZPAF (Okręg Dolnośląski) – w realizacji Adama Soboty i mojego autorstwa. Adam w swoim tekście odnosi się ogólnie do trendów i koncepcji współczesnej fotografii polskiej, ale zwraca też uwagę na główne jej nurty z punktu widzenia jakby „technicznego”. Ja natomiast w swoim materiale próbuję, w miarę możliwości, uporządkować dominujące tu trendy i postawy członków tylko wrocławskiego okręgu, wskazując, wobec wielu występujących propozycji, technik i tematyki, te wyróżniające się nurty twórczości, które znajdują swą kontynuację w wybranych postawach oraz ich dokonaniach. Ta raczej umowna klasyfikacja daje wyobrażenie o różnorodności i bogactwie dokonań środowiskowych, prezentujących w zasadzie wszystkie aktualne techniki i idee, od fotografii konwencjonalnej w jej wymiarze dokumentalnym oraz wzbogacanej „fotogenicznie”, po zdjęcia kreowane, inscenizowane i manipulowane w cyfrowej obróbce, a także koncepcje wielomedialne (postkonceptualne).

26.01.

Wystawa Joli Nitki (pseudonim: Nikt) w galerii siedziby KIK-u, na ul. Kuźnicznej. Małą, „pamiętającą” jeszcze czasy PRL-u i składającą się z dwóch pokoiów przestrzeń wypełniło kilkanaście prac artystki: gwasze na papierze oraz olej poświęcony pamięci Józefa Hałasa, którego Jola była uczennicą. *Gdzie jesteś, Profesorze?* – pyta autorka w tytule obrazu. Jola wygłasza nadto kilkanaście wierszy o zgrabnych, metaforycznych pointach, przy tym tekstów subtelnych, świadczących o ogromnej wrażliwości ich autorki. Obrazy – martwe natury, przystające do wierszy. Publiczność – ilościowo skromna, ale też i zdarzenie ma charakter spotkania przyjaciół. To specyfika tej placówki, prowadzonej przez rzeźbiarza, profesora ASP – A.M. Zyśko.

Nie ma prawdy obrazu: „Świat nie posiada obrazów sam z siebie, które jedynie należałoby mu niejako wyrwać. Obrazy powstają w spojrzeniu, które poszukuje nowego i osobistego wglądu. Są obrazami tego, kto patrzy na świat” – powie H. Belting (*Antropologia obrazu*, Universitas, Kraków 2007). Co dodać do tego? Że dopiero w „zgodności” widzenia indywidualnego (owego wglądu w rzeczywistość niejawną, nieoczywistą, będącą tam) z emanacją obrazu, który został wypatrzony (wyrwany z niebytu) rodzi się fotogenia. Ona jest wypadkową tegoż, jest czymś, co „przykrywa” widok realny, tym, co dotarło (przed oczy) z nieoczywistości. To intrygujące zjawisko i jednocześnie koncepcja odbioru współczesnej fotografii, tej z kręgu jeleniogórskiego.

28.01.

W „Odrze” nr 1/2015 kilka interesujących tekstów o sztuce (na temat ciała w sztuce i tekst G. Dziamskiego o książce Grupy Luxus). Także J. Łukasiewicz pisze o teatrze Grotowskiego i miejscu, z jego punktu widzenia, Ludwika Flaszena w tej Firmie i Pleromie. Owej Pleromie przypisuje znaczącą rolę w ugruntowaniu teatru – Firmy. Co to było? Według Łukasiewicza było to i rozumienie sztuki (w sensie neoplatonickim), i efekt dzieł – arcydzieł, które są furtkami do Pleromy.

30.01.

W „Tygodniku”, dodatku „młodej publicystyki” do „Gazety Wyborczej”, z 30.01.2015 (nr 4/4) wywiad z Dorotą Monkiewicz – dyrektorką Muzeum Współczesnego we Wrocławiu (nazwa tej instytucji nader kontrowersyjna!). Dorota „zesłana” z Warszawy (w „teczce”) obejmuje w Urzędzie Miejskim (z rekomendacji P. Krajewskiego?) najpierw funkcję z-cy dyr. ds. organizacji MWW, a potem zostaje jego dyrektorką. No i prowadzi całkiem dobrą robotę, chociaż wybiórczo traktuje sztukę z Wrocławia. Ostatnio (wraz z prof. Anną Markowską – pracującą w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego) przygotowuje prezentację sztuki awangardowej z lat 60. i 70. Sądzi, że to one, z zewnątrz (bo jedna z Warszawy, druga z Krakowa), mogą przywrócić należną rangę wrocławskiej sztuce tamtych lat; prezentując i dokonania „Permafo”, i Galerii Sztuki Najnowszej (kierowanej przez R. Romualda), i innych młodych wówczas conceptualistów. Z tym przypomnieniem jest prawda, choć częściowa, bo o sztuce wrocławskiego conceptualizmu (sztuka pojęciowa) pisano w „Odrze” (między innymi J. Ludwiński i M. Hermansdorfer), pisano także w innych czasopismach, tylko kto wtedy przywiązywał większą wagę do tego, co działo się w sztuce poza Warszawą i Krakowem? Zresztą również dzisiejsze sukcesy wrocławskiego teatru mają swoje „korzenie” w klimacie stworzonym tu przez Grotowskiego, Tomaszewskiego i Teatr Kalambur. Tylko że poza recepcją dokonań Grota kto dzisiaj mówi o roli Tomaszewskiego czy kręgów Kalamburu i jego Festiwalu Teatru Otwartego? Wrocław (w sztuce) ciągle czeka na „odkrycie”?

2.02.

Między semestrami na uczelni – czas wytchnienia i wpisów (studentom zaliczeń). W „Literatce” dość przypadkowo spotkanie z Krzysztofem Fabijańskim – właścicielem

galerii „Stalowa” z Warszawy, gdzie dyrekturuje artystycznie Krzysztof Stanisławski. To ich wystawa, wczesnych prac Opałki, miała miejsce w Galerii Miejskiej. Wystawa nieco rozzaczarowująca wobec późniejszych sukcesów obrazów „liczonych” tego wybitnego artysty. Ze spotkania: obietnice przyszłościowej współpracy... z nadzieją?

Jerzy Stajuda (1936–1992), warszawski malarz i pedagog ASP (u niego studiowali między innymi sławni artyści: Katarzyna Kozyra i Paweł Althamer), powiedział ongiś: „Życie malarza polega na nadawaniu rzeczywistości własnym snom. Najwięksi malarze przedstawiają swoje sny w pełni, bez zmieniania czegokolwiek”. Tę zasadę odnosił również do swoich rysunków i akwarel. Nazywał je – za Witkacym – „obrazami hipnagogicznymi”; rodzą się one w stanie pół snu – jak mówił – a jak się ma szczęście, to i na jawie. Rysował z upodobaniem ciało kobiece, inspirował się „japońszczyzną”. Ale chodzi tu o malarstwo o surrealistycznej proveniencji, bo mowa o wszelkim malarzy wejściu w głąb snów. Tylko czy sny mogą być kolorowe? Barwy snów są przecież snem rozmyte, są utrzymane w tonacji cieni, które budują tamten za-śniony świat wyobrażeń i projekcji (bo przecież w snach nie ma cieni; to ważne spostrzeżenie!).

4.02.

Literatura piękna jest poza potocznością, bo inaczej nie byłaby sytuowana w obszarze sztuki. Jest czymś (z życia) wyodrębnionym. Jak długo można żyć w wyodrębnieniu – tym czasie zanurzenia się w lekturę dobrych książek (dobrej literatury), która mówi o pięknie i dobru? Która bywa panaceum na zło? Ale czy bywa?

Czytam Zagajewskiego (*Lekką przesadę*) – to esencja literackości, w tym refleksji o poezji, którą właśnie on tak określa: *lekka przesada*... a może jednak – duża...? Czytam powtórnie; to książka do której można wracać i ciągle na nowo wydłubywać te „smakowite” kąski. Lubię i podziwiam jego pisanstwo, w tym piękno jego wierszy, ten „blask”, który znajduje. „Poezja jest poszukiwaniem blasku” – powiedział kiedyś Adam Zagajewski.

Z dzieciństwa: zapach pudru w szufladzie dużej etażerki. Bawiłem się tymi szufladami wraz z młodszą siostrą. Mebel był rozłożysty, trzy lustra, w tym boczne ustawiane pod kątem, zdradzały nieskończoną perspektywę odbić, w której gubiliśmy nasze zaciekawione głowy, trochę łobuzerskie. Ten puder, nieco rozsypany po całej szufladzie, pośród innych pudrów z barwami, maściami i szminkami właśnie trzymał ten swój „różany” zapach, cikliwy jak wspomnienie całego dzieciństwa. Matka nigdy nie dowiedziała się, kto rozsypał te zbytki młodych dam – którą wtedy chyba była.

6.02.

W legnickiej Galerii Sztuki wystawa malarstwa Piotra Błażejewskiego, retrospektywa z okazji 40-lecia twórczości. Piotr – w swej zapobiegliwości finansowej – zdołał wydać imponujący album swych prac, z wieloma tekstami, które zamówił u takich autorów jak: A. Jarosz, P. Lewandowski-Palle (najdłuższa analiza), J. Jaroszewski,

A. Klimczak-Dobrzaniecki, L. Dmochowska czy B. Kowalska (tekst przytoczony). Tego albumu pozazdrościli mu niektórzy profesorowie Akademii, bo oto Piotr „dorobił się” chyba najokazalszego wydawnictwa w dziejach ASP. Co do wystawy – ekspozycja w dwóch częściach: pierwsza w salach Galerii Sztuki, powieszona raczej bez wyraźnej koncepcji, więc wrażenie nadmiaru, jakby autor chciał jak najwięcej pokazać. Piotr chwalił się, że sam ją aranżował, i ten brak dystansu do swoich prac był widoczny. Pomieszanie obok siebie prac z różnych okresów, czasami „gryzących się” swoim sąsiedztwem, zakłócało percepcję. Znacznie lepiej w drugim miejscu (sala w Rynku), gdzie obok kilku dzieł Piotra pojawiły się ze swoimi pracami osoby niejako „specjalnie” zaproszone do wspólnej ekspozycji malarskiej. Ale tu prezentowały się w zasadzie obrazy z prywatnej kolekcji Piotra: po jednej pracy między innymi K. Jarodzikiego, S. Kortyki, A. Mazurkiewicza, K. Maliszewskiej, A. Klimczak-Dobrzanieckiego. Ciekawy zestaw nazwisk, choć trudno tu mówić o wspólnocie drogi, może poza Mazurkiewiczem, którego uczniem był swego czasu Piotr. Ale ta część wystawy imponowała poziomem artystycznym i ekspozycyjnym.

Ciągłe zobowiązania tekstów – zaproszeń od artystów do napisania wstępów do katalogów itd. Zgadzam się, a potem czas nagli, goni... Mnie właśnie pociąga poezja – a tu żmudna robota analizowania, ocen, chwalby lub delikatnego kwestionowania. Zwykła praca krytyka sztuki. Jednak sztuki wizualne nie mogą się obejść bez słownego komentarza. Właśnie to dominacja obrazowania (i presja odbioru rzeczywistości za jego pośrednictwem) sprzyjała powstaniu szerokiego nurtu filozoficznych i humanistycznych dywagacji na temat wizualizmu i warunków percepcji ikonicznej. Już począwszy od lat 60. XX w., ta presja łączenia obrazów ze słownymi interpretacjami dawała o sobie znać. Ot, choćby przykład pisarstwa malarza Józefa Czapskiego, który publikował swoje „kroniki zapatrzeń”.

7.02.

Ponownie zagłębiam się w *Lekką przesadę* Adama Zagajewskiego – poety i eseisty. Wydana jeszcze w 2011 r. – to ciągle inspirująca rzecz. Trudno wynurzyć się z tego strumienia wrażeń, który opływa moją wrażliwość i ją stymuluje, by ruszyła swoim nurtem. *Lekka przesada* to właśnie bardzo dobra definicja poezji. „Jest (poezja) lekką przesadą, póki się w niej nie zadomowimy, kiedy staje się prawdą. A potem, kiedy ponownie z niej wyjdziemy – bo nikt nie potrafi w niej zamieszkać na stałe – znowu staje się lekką przesadą”. „Jest przesadą, niepotrzebnie pogrubia kreski i linie rzeczywistości, sprawia, że rzeczywistość dostaje gorączki, tańczy”. Do lekkiej przesady przynależą: porównania, metonimie, retoryczne zwroty, litoty i tym podobne figury retoryki. W istocie ten termin „lekka przesada” zawdzięcza A. Zagajewski swemu ojcu, który tak nazywał poezję syna. Zagajewski pisze też o piekle według Milto-na; nazwał je „ciemnością ujrzań”. To inspirujące: coś z fotogenii (w fotografii?). Metaforę „lekkiej przesady” wykorzystałem do tekstu (wstępu do katalogu) przy wystawie zdjęć Waldemara Grzelaka w jeleniogórskiej BWA. Ciekaw jestem, czy trafnie zostanie ten tekst odczytany, odniesiony do neoplatonickiej fotografii tego autora. Czy nie przesadziłem może lekko?

11.02.

Nagrodę „Warto” tegorocznej edycji konkursu dla młodych w sztuce, w plastyce przyznano Łukaszowi Rusznicy za zorganizowanie wystawy pt. *Jak fotografować?*, traktującej o manipulowaniu zdjęciami znalezionymi w archiwum. Znów chyba w tym przypadku zdecydowała „polityka” – bo byłbym raczej za nagrodą dla Anny Bujak, znakomitej ceramiczki i rzeźbiarki, której „Łanie bez głów” z metalu były eksponowane na placu Nowy Targ (w witrynach tak zwanej młodej sztuki), w ramach otwarcia przewodu doktorskiego w ASP. Kiedyś byłem (już 3–4 lata temu) jurorem tego konkursu, lecz wobec decyzji obecnego Rektora ASP „wymieniono” moją osobę na młodszego jurora, Michała Bieńka – kuratora Surwiwalu, a obecnie wybranego na kuratora plastyki w ramach Europejskiej Stolicy Kultury – Wrocław 2016. Może i dobrze, bo moje wybory są raczej konserwatywne.

Znów „ciemne skrzydło agresywnej polityki” Rosji dało o sobie znać na konferencji w sprawie zaprzestania walk na wschodzie Ukrainy. Jak zwykle stronami sporu są: „naiwny” Zachód z jednej strony (Merkel, Holland) i Putin (arogancki, pewny siebie „kagebista”, z „carskimi” zapędami). To zderzenie kulturalnej opcji z agresją i hipokryzją. Cynizm Putina zaprzeczającego udziałowi Rosji w walkach „ludzików” wyposażonych w nowoczesną broń jest już horrendalny. No i co? I nic: umowy podpisywane, a tak zwani „separatyści” robią swoje; część „wschodu” (Donbas) Ukrainy już zagarnięta przez Rosję.

Sukcesy (ostatnio) polskich filmów na międzynarodowym forum. Oto *Ida* Smarzowskiego nagrodzona w Londynie oraz nominowana do Oscara. Małgorzata Szumowska za *Ciało* wywalczyła w Berlinie Srebrnego Niedźwiedzia. *Ida* dostała Oscara za najlepszy film obcojęzyczny. Kiedyś śledziłem nowości filmowe na bieżąco, teraz z powodu TV – rzadko, chyba że oglądam seriami w trakcie festiwalu Nowe Horyzonty. Ten festiwal to swoisty fenomen w pejzażu wrocławskim, jak to było kiedyś (w latach 70.) w ramach Festiwalu Teatru Otwartego (organizowanych przez Kalambur), ściąga on tłumy młodych ludzi zafascynowanych dobrą sztuką i poświęcających jej swój wakacyjny czas.

15.02.

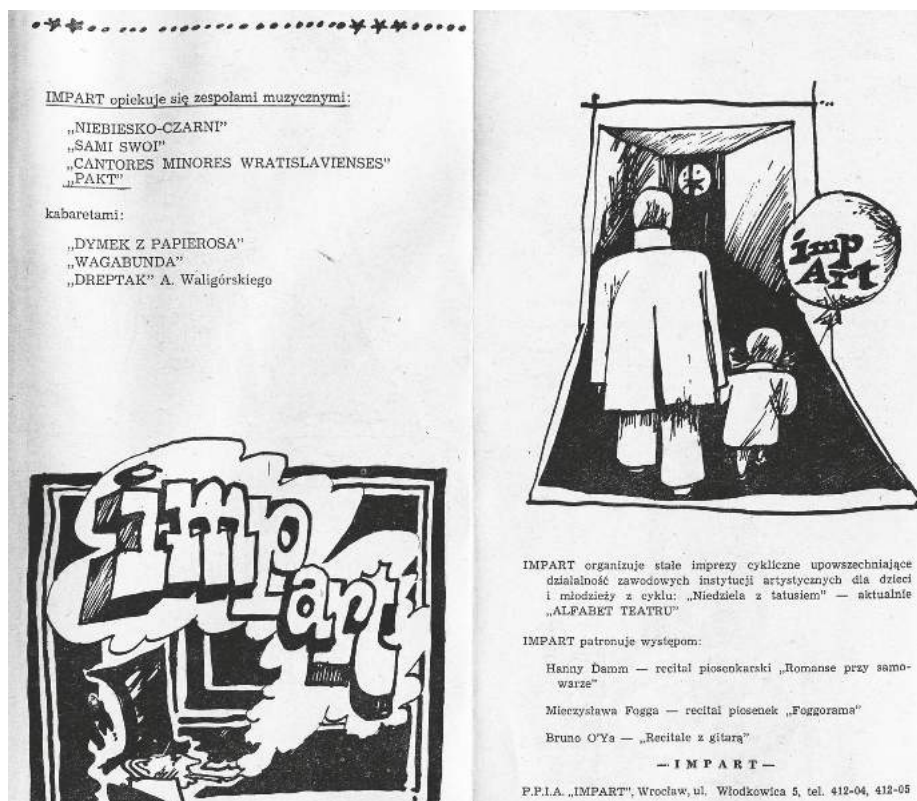
Karol Maliszewski przygotowujący do „Dyskursu” wkładkę poetycką ponagla o przesłanie wierszy (jest planowany mój udział w publikacji). Wysłałem dwadzieścia kilka tekstów wybranych pod kątem miejsca druku, a więc sporo tekstów inspirowanych sztuką, a Karol prosi o więcej tekstów i o innej tematyce; spodziewa się takich, które pełniej odsonią moją osobowość. Ale jakie to mogą być wiersze? Całe dorosłe życie byłem nauczycielem akademickim, zajmującym się krytyką fotografii i sztuki, zatem żadnych „dramatów”, stagnacja i spokój; więc jestem (byłem) takim samym „Rezerwistą” o aspiracjach poetyckich bohaterów: Osłoncy i Ciemnego. No i do tego jestem już „starym poetą”. To tyle. Tego dotyczą moje teksty, co dążą do poszukiwaniu innego wymiaru...

16.02.

W Ratuszu, w galerii Patio, Zdzisław Nitka ma skromną wystawę prac, które znalazły się w wydany albumie w serii ASP, promowanym w trakcie tej prezentacji. Jest to seria albumów o wybitnych artystach Wrocławia (ukazały się dotąd wydania o twórczości J. Hałasa, J. Chwańczyka, M. Jędrzejewskiego, K. Cybińskiej, L. Podsiadłego, Z. Karpińskiego, L. Kiczury, J.J. Aleksuina, M. Zdanowicza, no i Nitki. Wszystkie pod red. Andrzeja Jarosza – historyka sztuki z Uniwersytetu Wrocławskiego, który nota bene już kilka albumów serii opracował tekstowo, w tym Nitki – napisany naukowym (chłodnym) językiem. I tak wielu twórców powiązanych z ASP zazdrości mu tej publikacji, uważając, że zbyt „młody” Zdzich winien jeszcze poczekać na swoją kolej.

19.02.

ASP przygotowało – z inicjatywy Urszuli Gralak, Dziekanki Wydziału AW i W – konferencję zamykającą niejako cykl imprez powiązanych z wystawą Alesandro Mendi-niego w Muzeum Architektury oraz wydaniem albumu poświęconego temu artyście – wybitnemu włoskiemu projektantowi. Poproszony zostałem o moderowanie, wraz z Włodkiem Dolatowskim, obrad (robiłem to na drugi dzień, przy podsumowaniu treści referatów). Wystąpienia młodych (asystentów, doktorantów) nie zachwyciły;



Fragment folderu IMPART, Wrocław 1970

były to najczęściej prezentacje z pomocą zdjęć własnych prac i projektów. Jedynie referat Patrycji Ochman-Taska z ASP w Krakowie (doktorantka) o temacie: *O burzeniu schematów w myśleniu projektowym* był adekwatny do tytułu konferencji, czyli *Wbrew konwencji*, i w swoim poetyckim wydaniu stanowił refleksję na temat potrzeby tak zwanego symultanicznego, a nie liniowego myślenia w projektowaniu. Jak projektować, by nie ulegać konwencji, by znaleźć nowe rozwiązania? Stąd potrzeba odrzucenia „sztywności” w myśleniu, potrzeba przekraczanie nawyków, burzenia tego, co jest, by budować nowe. Niby te uwagi są nader oczywiste, ale chodzi tu też o stworzenie nowej przestrzeni projektowej, w której celowe kontrowersje będą służyć kreacji. Duży tu wpływ myślenia prof. Janusza Krupińskiego – filozofa projektowania, wykładowcy krakowskiej Akademii Sztuki. No i referat „seniora” tej teorii w kraju, dr. Józefa Mrozka z ASP w Warszawie, który relacjonuje związek (dialektyczny) między konwencją w projektowaniu a jej przełamywaniem. Bez konwencji nie moglibyśmy funkcjonować – bo one oswiają świat, ułatwiają życie i komunikację. Konwencje funkcjonują, bo są ciągle (na przykład długotrwały styl, ale też krótkie: moda) i mają różny zasięg (na przykład rodzina, kraj, wspólnoty religijne itd.). Tu łamanie konwencji może być negatywne. Zwykle gdy konwencja „zastyga”, to przemienia się w styl, a potem w stylizację i wtedy już jest czas na jej przełamanie. Według tego autora nader jałową konwencję reprezentował modernizm, czego dowiodły budowane osiedla komunalne, bloki, czy choćby w sprzęcie hi-fi, jako skutek przeniesienia na Daleki Wschód doświadczeń szkoły z Ulm (przykład: Dieter Rams czy „Olivetti” i Sottsass). Ale po 1968 r. rodzi się we Włoszech bunt przeciw konwencji: to jest właśnie postmodernizm w wydaniu na przykład Alchimia Studio z lat 70. oraz rola A. Mendini, a także dokonania grupy „Memphis” itd. Mendini krytykował architekturę modernizmu, a jednocześnie zapraszał tych architektów do współpracy (na przykład w ramach Alessi), bo chciał przełamania banalizmu przedmiotów przemysłowych. A w Polsce? Sądzi Mrozek, że u nas postmodernizm był wymuszony stanem wojennym, więc raczej w podziemiu (druki itp.), był raczej dekonstrukcyjny, dopiero po zmianach w 1989 r. zaczął postmodernizm przenikać do klasy średniej (poprzez sprowadzane produkty, między innymi też firmy Alessi). Ale to już też się skończyło.

23.02.

Znów z konieczności planów druku w „Dyskursie” muszę przygotować kolejny plik wierszy – do dyspozycji K. Maliszewskiego. Problem w tym, że wszystkie moje teksty są w rękopisach i proces poprawiania, a potem przepisywania na komputerze trwa... Stąd opóźnienia. A przy tym poezja porusza te struny, które są już tak napięte, że nie można grać na nutach racjonalności, więc to ciągle wymyka się spod „palców” stukających w klawisze... i stąd zagłębianie się w miąższu słów, zmiany, które rodzą się w rejestrach brzmień nadzwyczajnych. Wiersz powstaje jakby ponownie?

24.02.

Nadeszła miła wiadomość o kontynuacji finansowania „Formatu” przez Urząd Miasta (J. Broda). Na razie decyzja dotyczy dwóch numerów oraz dopłaty do format-net. Dziękuję za to!

Intensywnie pracuję nad koncepcją numeru (70.) tematycznie poświęconego wrocławskiemu strukturalizmowi – tendencji w sztuce, charakterystycznej i specyficznej dla tego środowiska. Już wcześniej zamówiłem teksty u stałych współpracowników czasopisma; to wybitne postacie krytyki i teorii sztuki, a dodatkowo wypowiedzi czynnych malarzy, identyfikujących się z tą opcją sztuki. Zapowiada się ciekawy numer „Formatu”.

Afera i zamieszanie w środowisku ASP spowodowane publikacją książki J. Jakimczyka *Najweselszy barak w obozie*, rzecz o krytyce i artystach, którzy ponoć – na podstawie dokumentów esbeckich – donosili, czyli byli TW (Tajnymi Współpracownikami). Taką „łatkę” przyczepiono między innymi byłemu rektorowi Konradowi Jarodzkiemu, który był w stanie wojennym internowany, a w czasie „Solidarności” aktywny w organizowaniu pozaoficjalnych wystaw, na przykład *Droga i Prawda* (w kościołach). Jarodzki przeżył to pomówienie okropnie, mimo listu popierającego ze środowiska plastyków. Wśród podejrzanych o TW znalazło się także kilku innych lokalnych artystów, również pochopnie kwalifikowanych jako współpracowników SB. Jak się później okazało, do efektów tak zwanej „współpracy” zaliczano obowiązkowe raporty z działalności uczelni, wysyłane do ministerstwa kultury – do czego ówcześni rektorzy byli służbowo zobligowani.

Nowa książka: *W cudzym pięknie* A. Zagajewskiego – o poezji, o obronie poezji – przed kim? Przed czytelnikami tej „poetycko” pomyślanej książki? Chyba nie. Poezję, a raczej poetów atakował W. Gombrowicz (*Przeciw poetom*), raczej za ich postawy wobec życia (pijaństwo...). Zagajewski broni poezji, bo broni czegoś, co jest „fundamentalne” w człowieku, jego zdolności doświadczenia cudowności świata, odkrywania boskości w kosmosie i w drugim człowieku, ale także w jaszczurce i liściach kasztanów oraz dziwienia się i zastygania na długą chwilę w tym zdziwieniu. Ale też jego poprzednia *Lekka przesada* znakomicie wpisuje się w te regiony fascynacji poezją. Bo, jak przyznaje, wiersz, krótki wiersz liryczny, jest czymś „nieciąglym”, to taki wykwit, „moment intensywnego przeżycia”. Coś, co można przyrównać – w moim odczuciu – do fotografii migawkowej, to jest tej odwołującej się do „decydującego momentu”, a jednocześnie ewokującej pięknem sfotografowanego obrazu – a co zwykle świadczy o jego fotogenii (fotogeniczności). To porównanie ma sens głębszy – bo i wiersz (według Zagajewskiego) zawsze niesie pewną tajemnicę, to jest on ją zapowiada i stąd ciągle jest jakby przed nami. Wreszcie wiersze – te wycinki z rzeczywistości, wzbogacone o duchową emanację autora – są niby „rozproszone”, jednak zdążają do pewnego centrum, które jest „szczytem” góry, z jakiej widać najszerzej i skąd najbliższej do Boga. Podobnie bywa z fotografią – jeśli buduje swoją „górkę” przedstawień i subiektywnych emocji: wrażeń, odczuć, projekcji itd., to co

niesie sobą poezję? To jest tę jedyną rzecz, której nie można żałować sobie i jeśli się zdarzy – innym.

Tym jest poezja: ta „stara” suka wyjąca we mnie, gdy odbierają jej szczenięta (w nawiązaniu do słynnego wiersza S. Jesienina).

28.02.

W Rosji, w Moskwie, naprzeciw Kremla, został zabity Borys Niemcow, aktualny „przywódca” opozycji antyputinowskiej (był w czasie Jelcyna wicepremierem w rządzie). Te zabójstwa i to, co się dzieje wobec Ukrainy, to już standard w polityce Rosji, w jej machinie kłamliwej, cynicznej propagandy rządowych telewizji i rzeszy urzędników. Rośnie agresja, ale rośnie też poparcie wśród otumanionych obywateli dla Putina, dla jego aspiracji odbudowy imperium. Choć opozycja w marszu w Moskwie jeszcze liczna – około 60 tysięcy ludzi w pochodzie żałobnym za trumną Borysa.

3.03.

Zmagam się z poezją; w zasadzie chodzi o poprawki nanoszone na rękopisie. Potem jeszcze jedna korekta i poprawki: to żmudny proces dochodzenia do celu, który i tak jakby ciągle umykał – był dalej, poza. A może w tym niespełnieniu wiersza, w jego stałym bycie in statu nascendi kryje się sens poezji? Czy na pewno? Nie wiem, ale czy mogę wiedzieć? Właśnie w tej „niewiedzy” tkwi cały sens (i nie-sens) poezjowania... tego szukania czegoś, co ciągle nie zostaje znalezione. Choć czujemy, że to jest tam. „To” – od Miłosza?

Na uczelni jestem uznany za profesjonalnego „poprawiacza” cudzych tekstów: konsultuję prace magisterskie pisemne na całym wydziale AW i W, w części także na Grafice – w ramach Sztuki Mediów i Fotografii. Czasami zgłaszają się do mnie doktoranci, i to ci ze Studium Doktoranckiego (gdzie mam obowiązek współpracy), ale też bywa, że osoby spoza, jak chociażby asystentka z ceramiki (pisze o designie krytycznym na przykładzie ceramiki) czy asystent z architektury wnętrz. Te kontakty są miłe, bo obopólnie przydatne, pouczające. No i łagodzą, tę wcześniej formułowaną, opinię niektórych pracowników Akademii o naszej (teoretyków) „obcości” na tej uczelni. Jednak możemy być przydatni, a w warunkach współczesnego edukowania artystycznego – coraz bardziej.

5.03.

Zagajewski mówi, że wielką część poezji zawdzięczamy młodym poetom, którzy jeszcze nie doznali pełni życia, że są w jego „przedsionku”, że wreszcie „jeszcze nie doznały (te młode duchy) inkarnacji”. Śpiew młodych głosów! Choć nie czyni z tego faktu zarzutu. Ale pytam: czy śpiew „starego poety” jest fałszywy? Nie! Tylko głos ma może nieco zmieniony, starty, bardziej doświadczony, czujący to, co przed nim... coraz bliżej. Poezja „starych” bywa bliższa prawdy, bo jest o tym, o czym nie wiemy nic albo zaledwie coś przeczuwamy. Poezja „młodych” bywa bardziej ekspresyjna, buntownicza, negująca (nawet) życie. To (bywa) poezja eksperymentu na swoim cielem, swojej osobowości (por. Rimbaud, Stachura, Wojacek itd.). Poezja „starych”

bywa inna: więcej nostalgii, refleksji, rezygnacji, ale i głębszych wrażeń i przeczuć. Są to różne poezje, jednak dopełniające się, potrzebne sobie, jak duszy potrzebne jest ciało, bo bez niego nie byłaby tym, czym jest: iskrą wieczności w przestrzeni skończonego życia, „słowem” zaproszenia (i daru) przez Kogoś, kto tym i tamtym światem, być może, zarządza, u-stawia go i porządkuje ku sobie znanemu celowi. Inkarnacja byłaby w rękach (decyzjach) tego kogoś ważnym instrumentem realizacji tego, co zamierza – ku czemu to wszystko zmierza. Powie Zagajewski w konkluzji swoich wywodów na ten temat: „młodość nie opuszcza nas całkowicie” (por. *W cudzym pięknie*).

Pisze też A. Zagajewski (por. jw.): „starszy brat filozofów, poeta [...] pisze z niczego”. Do tego zamysłu nawiązuje mój wiesz pt. *Starszy brat (albo w zupie filozofa)* – tekst dedykowany „staremu poecie” – tej nieodłącznej figurze stylistycznej moich tekstów, które są – właśnie – poświęcone doświadczeniu owego „starszego brata”. To jest bliskie koncepcji „braci wzajemnych” – tej podwójności w jednoimienności: to o tym, co w każdym z nas dwoi się i jednocześnie scala w Jedności, choć jeszcze ten Trzeci (to, co się troi) może być nową, niejasną stroną tego oblicza.

10.03.

Dziennik (taki jak zamysł tego tu) zapisuje to, co się wie, co się doświadczyło, co przeżyło... A jak mówił A. Zagajewski: wiersz zapisuje to, czego się nie wie – bo poeta zwykle rusza w nieznanym sobie terenie słów. A one zaskakują idącego; są dziwne, czasami kaleczą nieostrożną stopę, są błędne (jak te skałki), czasami prowadzą na manowce, ale bywa, że skrzą się pięknem niezemskim; to te samorodki słów porzucone (w drodze) przez kogoś. Kto wie... Poeci i czuli, wędrujący tędy marzyciele dostrzegają je, podziwiają, czasami podejmują z drogi (jakiś *Kamyk*, co obrósł już legendą interpretacji?) i próbują opisać własnymi słowami. Nie zawsze jest to wskazane. Bowiem ich piękno (i znaczenie) bywa nierozzerwalne z pięknem danego otoczenia; wyrwane z niego traci swój blask, swą aurę. Chyba że oprawi się je w ramkę adekwatnie dobranych słów; to zadanie dla poetów i artystów spojrzenia...

Książki, teksty Marka Bieńczyka, bliskie moich potrzeb; to refleksja, namysł i melancholijność... to inspiruje. Wcześniej wydana (bo z 2007 r.) rzecz Marka Bieńczyka pt. *Przezroczystość*, kupiona już po jego *Melancholii...*, także zaskoczyła wnikliwością i swoistą pisarską deklaratywnością potrzeby „czystego” spojrzenia na odbierane dzieła; tu autor daje przykład odbioru malarstwa Edwarda Hoppera: ceniąc właśnie tę świetlistość jego obrazów. Odnosi się on również do literatury, tropiąc formy przejrzystości i przezroczystości – jako fenomenów światła i oświecenia – w kontekście dzieł literatury; autor opiera się tu na przykładach twórczości, poczynając od Jean J. Rousseau poprzez Stéphane’a Mallarmégo i dzieła kilku kolejnych francuskich poetów i eseistów (na przykład M. Blanchota, R. Barthes’a), a kończąc na odniesieniach do Waltera Benjamina, który posłużył mu jako autor wprowadzający do dywagacji na temat współczesnych problemów widzenia w erze nadmiaru ikonicznych przedstawień, presji widzialności oraz tegoż konsekwencji dla sztuki i architektury. Notabene zamieścił tu autor także obszerne interpretacje fenomenu

architektonicznego, jakim był Pałac Kryształowy, zbudowany w Londynie w latach 1850–1851 z okazji światowej wystawy Expo.

11.03.

W „Kontekstach” nr 3-4 z 2014 r. obok analiz twórczości mało znanego mi W.G. Sebald kilka tekstów odnoszących się bezpośrednio do fotografii, w tym bardzo ważny (!) tekst Rolanda Barthes’a pt. *Przekaz fotograficzny* (po raz pierwszy publikowany w języku polskim). To tekst porządkujący myślenie „strukturalne” autora na temat fotografii (głównie prasowej), ale jednocześnie uzmysławiający tę słynną frazę o fotografii jako „przekazie bez kodu”. Tyle że Barthes pisze tu o paradoksie obrazu fotograficznego: polega on na współistnieniu dwóch przekazów w obrazie – jednego bez kodu (fotograficznego analogonu) i drugiego z kodem (to jest sztuki w fotografii, traktowania obrazu jako pisma). Stąd jego uwagi na temat detonacyjnego statusu fotografii analogowej (obiektywizm) i jej konotowanego przekazu (czyli nałożenia drugiego znaczenia na zasadniczy przekaz fotograficzny, to jest wpływu



IMPART opiekuje się zespołami muzycznymi:

„NIEBIESKO-CZARNI”
„SAMI SWOI”
„CANTORES MINORES WRATISLAVIENSES”
„PAKT”

kabaretami:

„DYMIEK Z PAPIEROSA”
„WAGABUNDA”
„DREPTAK” A. Wąligórskiego

IMPART

- prowadzi działalność na terenie Wrocławia i województwa wrocławskiego
- posiada wyłączność na organizowanie imprez artystycznych i estradowych zespołów pod patronatem innych przedsiębiorstw wojewódzkich, zrzeszonych w Polskim Stowarzyszeniu Jazzowym oraz zespołów zagranicznych wprowadzanych przez „Fagart”
- organizuje imprezy masowe, młodzieżowe, okolicznościowe, recitale itp. na zlecenie zainteresowanych instytucji, klubów i domów kultury



Fragment folderu IMPART, Wrocław 1970

kultury odbioru, subiektywności, stylu). Tyle że właśnie przekaz kontrolowany zawiera plan wyrażania i plan treści, znaczący i znaczony. W konotacji pomocne są pewne procedury (efekty trikowe, pozy, przedmioty) lub inne (na przykład fotogenia, estetyzm, syntaksa). W konkluzji pisze Barthes o różnych rodzajach konotacji (percepcyjna, kognitywna, ideologiczna, etyczna) zawsze odniesionej jednak do fotografii analogowej, ergo – prasowej, i tylko z tego zestawu wyłącza fotograficzne obrazy traumatyczne (bo w niej denotacja jest niejako zawieszona, niemożliwa!), choć i te można odczytywać z pomocą kodu retorycznego. Formułuje tu Barthes jakby zasadę: im większa trauma zdjęcia, tym trudniejsza jest konotacja. Tu moja refleksja odnośnie do fotografii nieprasowej, takiej, która w jej dokumentacyjnej treści stawia na fotogenię, na efekt auratywno-estetyczny. Czy zatem istnieje kod do takiego konotacyjnego odczytywania takiej fotografii? Kod estetyczny... i konotacja percepcyjna?

Potem pochłaniałem wszystkie kolejne tłumaczenia prozy Sebalda – wydane u nas w XXI w. Czytałem i „ogładałem” to czytanie w rozrzuconych po treści fotografiach, czasami przypadkowo zbieżnych z treścią danej strony, ale najczęściej tylko swą aurą wpisujących się (lub wzbogacających) dany fragment prozy. Fotografia jako dodatek? Myśl plus „czujące” oko.

16.03.

Wybieram się do okulisty – mojego stałego miejsca wizyt w związku z początkami (pogorszyło się) jaskry („spadek” po mojej mamie). Próba rejestracji poprzez NFZ – wyznaczono mi termin na przyszły rok! To jest rzeczywistość naszej służby zdrowia; komu służy? Płacę za wizytę 150 zł + 60 zł za badania tarczy oka. Początki zaćmy; starość dopomina się uwagi... bo oczy coraz gorsze. Gorzej widać? Raczej nie. Czasami wydaje się, że tak jest, ale też widząc mniej, widzi się czasami dalej, może za daleko. Moje wiersze – niektóre są o ślepnących, o niewidomych... to utożsamianie się, być może, podyktowane lękami, obawą o zdrowe widzenie. Ale czyż „chore” nie jest bardziej wnikliwe albo takim bywa? To spojrzenie ponad rzeczy oczywistością. *Oczy – wistość*: to słowo to klucz do rozumienia i odbioru tej rzeczywistości, którą się widzi tu i teraz. I druga strona: *nie – oczy – wistość*, jako to, co skryte, zakryte, tajemne, niedane do bezpośredniego widzenia, ale jednak wy – jawiane, wy – powiadane: w poezji, w sztuce, w fotogenicznym obrazie tego, co oczywiste.

A.P.B. zabiega o wysyłkę jego książki *Osąd* (napisana pod pseudonimem Rotab) do znanych krytyków literatury; chce, by brali jego literaturę na poważnie, by znaczyła na scenie literackiej. Jest to książka pisana mentalnością filozofa, który pragnie zejść do poziomu języka codzienności, z jego – zbyt może eksponowaną – wulgarnością języka, przy jednak wielu podtekstach kulturowych i religijnych (na przykład motyw 37 sprawiedliwych, z judaistycznej mitologii). Książka zbyt mądra, by mogła być popularną lekturą. Wystarczy spojrzeć na witryny księgarń, co się tam wystawia... Słowo o fotografii A.P.B.? Jego świetne „minimaliki” (utrzymane w estetyce minimalizmu) i raczej „przegadane” ilustracje z cyklu: *Gratias Ago*, inscenizacje nazbyt

dydaktyczne, profesorskie. Jego fotografia jest taka jak on sam: zdwojona różnicą aspiracji, trochę naukowych, trochę artystycznych. Miota się od brzegu do brzegu. Ale talent niewątpliwy.

23.03.

Marek Bieńczyk (nadal odkrywam i przyswajam tego eseistę dla siebie, z podziwem) przytoczył w swojej *Księżce twarzy* myśl Heideggera z *Przewyciężenia metafizyki*, a którą zinterpretował w odniesieniu do twórczości R. Barthes'a, o tak zwanej bezczynności, nicnierobieniu w kontekście filozofii – nauki Lao-cy (zen). Heidegger mówił o tak zwanym „kręgu możliwości”, że każda naturalna rzecz utrzymuje swoje życie w kręgu wyznaczonym mu przez prawo ziemi; i tak: „rój pszczoł mieszka w swej możliwości, drzewo nigdy nie wykracza poza linie swej możliwości...” itd. To ważne dla mojej koncepcji *Rezerwisty*, tego człowieka o statycznej (wyczekującej) właściwości, kogoś, kto tymczasem „zawisł” niby w bezczynności, ale jednak sporo czyni; bo jego czyny wynikają z tego stanu refleksji, przypomnień i retrospekcji, a następnie – projekcji w stan łaski twórczej. On jest przygotowany do czynu... czeka na powołanie... Czy dotyczy to niektórych artystów?

Czy poezja wycisza, koi ból istnienia (pojedynczego), by wzmóc odczucie bólu zbiorowego? Ale co to jest ta zbiorowa odpowiedzialność? Czy to tylko figura retoryczno-filozoficzna? Nie sposób cierpieć zbiorowo... ale czy na pewno? A doświadczenie wojny, Holokaustu, prześladowań politycznych? Kiedy jednostka dodaje swój ból do wspólnej puli, czy jest to możliwe?

25.03.

Dzieje fotografii – to dzieje wynalazków pozwalających skrócić czas oczekiwania na obraz, rejestrowany i utrwalany na odpowiednim podłożu. Od czasów wykorzystania camera obscura do foto-obrazu, który w 1822 r. zarejestrował N. Niepce na szkle (trwał 8 godzin), zaczął się wyścig ze skracaniem tego okresu; od rejestracji do ujawnienia się obrazu, wymagającego w fotografii analogowej jeszcze jakiegoś czasu, bo proces wywoływania i kopiowania kliszy, mimo niemal natychmiastowej rejestracji danego widoku kamerą, trochę jednak trwał, to w fotografii cyfrowej obraz dostajemy niemal natychmiast: wyświetlony na monitorze. Tu moment zapisu jest jednocześnie momentem pojawienia się obrazu, przetworzonego poprzez kod cyfrowy. W fotografii analogowej oczywistość światła odciska swój ślad na materiale światłoczułym, by następnie przełożyć się na wizualny (oczywisty) obraz. W fotografii cyfrowej oczywisty strumień światła zostaje przełożony na nieoczywisty zapis cyfrowy (zerojedynkowy), a ten nieoczywisty kod może być natychmiast odczytany i utrwalony na monitorze, a potem na odbitce (oczywistym obrazie). Roland Barthes daje tu inne, metaforyczne wyjaśnienie tej kwestii. Mówi o różnicy między mrokiem (camera obscura) a światłem (camera lucida), to jest tym, co cechuje niepamięć, pracę żałoby, a tym, co jest perspektywą wyjścia ku pamiętaniu, ku poszerzaniu widzenia. Czyż nie jest to właśnie relacja między nieoczywistością ciemni a oczywistością jaśni?

27.03.

W BWA w Jeleniej Górze wernisaż fotografii Waldemara Grzelaka (*Obrazy morza*) i spotkanie seminaryjne na temat *Piękno to nie sztuka* – prowadzone przez Jacka Jaśko, z udziałem moim i Wojciecha Wojciechowskiego (referaty). Mówimy o „upadku” idei piękna w sztuce współczesnej i o jego potrzebie. Temat oczywiście nie do wyczerpania i na pewno wymagający głębszej refleksji niż przy takiej, dyktowanej chwilą wernisażu okazji. Choć to piękno (efekt fotogenii) właśnie próbują przekazać zdjęcia Grzelaka.

31.03.

Wprowadzenie Karola Maliszewskiego do druku moich wierszy w „Dyskursie” (to efekt starań redaktora naczelnego tego pisma – dziękuję!). Maliszewski dokonał wyboru z około 80 wierszy, wybrał – uzasadniając to – 20. A jego tekst oceniający wybór – świetny, głęboki. On dotarł do moich „skrytych” intencji; uwypuklając to, co dla mnie ważne; w tym sensie, że sytuuję swoje życie w sztuce i ją interpretuję, niejako „chowając się” za jej „zastoną” – ale też tak, by siebie lepiej uwyraźnić. Tym tropem poszedł Maliszewski, wybierając wiersze z cyklu *Rezerwista*, teksty odniesione do wierszy Celana, ale także te, w formie jakby poetyckich pytań do Boga. Cenna opinia, trafna wejrzeniem w ten zbiór wierszy. Dziękuję, panie Karolu.

2.04.

Czytam *Wiersze wybrane* Julii Hartwig. Jakież spokojne, zrównoważone (choćby w relacji do Miłosza czy Celana), można je smakować „bezpiecznie”, choć te nutki ciemne, jak ta „w tumanie nocy”, pojawiają się jak skazy na jasnej ścianie lirycznego namysłu nad życiem. Z tą poezją idzie tchnienie ładu i harmonii – czasami tego mi potrzeba, ale bardziej inspirujące, drażniące są teksty męskich „drwali”, którzy rąbią olbrzymie drzewa, powalają lasy, kłują drzazgami. Czytam więc nowe tłumaczenia wierszy Paula Celana (w tłumaczeniu R. Krynickiego). Tom pt. *Psalm i inne wiersze* okazały, ale nie wiem, w czym rzecz, lecz bardziej poruszały mnie teksty w tłumaczeniu Feliksa Przybyłaka (Wydawnictwo Literackie z 1988 r.). To są czasami (bo Krynicki oferuje szerszy wybór) te same wiersze Celana i trudno powiedzieć, kto z nich celniej przełożył intencję poety. To tak jak z przekładami wierszy R.M. Rilkego w propozycji Bernarda Antochewicza: były krytykowane przez innych, ale właśnie one (te przekłady) trafiały do odbiorcy, także do moich oczekiwań. Potem pokusił się o translację Rilkego Artur Sandauer, no i jego przekład był nieznośny, sztywny, bez tej iskry poezji, która wypełnia te wiersze, gubiący cały jej wdzięk i mistykę.

6.04.

Na czas świątecznego leniuchowania – nowa „strawa” w postaci nowej, dłuższej o około jedną godzinę wersji filmu F. Coppoli *Czas Apokalipsy: powrót*. Film ten leciał u nas w kinach w stanie wojennym – pamiętamy to słynne zdjęcie czołgów na ulicach Warszawy, gdzie w tle wyraźny napis na kinie Moskwa (zdjęcie Chrisa Niedenthala). Teraz odbieramy ten film już inaczej, inny kontekst, ale wrażenia autentyczności i grozy wojny są dojmujące. No i ten, od początku zapowiada-

ny, kres – śmierć zbuntowanego pułkownika wojsk USA, który zdezerterował i w kambodżańskiej dżungli przewodzi plemieniu dzikich wojowników walczących i mordujących wszystkich dookoła. W tej roli Marlon Brando – do którego zmierza agent Martin Sheen – wieziony łodzią w górę rzeki Mekong, gdzie giną niemal wszyscy jego towarzysze ekspedycji – a który ma wykonać wyrok CIA na buntownika. Wymowę filmu streszczają słowa pułkownika Kurtza (M. Brando) o prozie (wojny), która wszystko zmienia, zmienia perspektywę widzenia ludzi i ich losów, ludzi doświadczonych byciem w ekstremalnych (a więc nieludzkich) warunkach.

8.04.

Wracam do Celana, czytam i coraz bardziej intryguje mnie ta poezja: dziejąca się w jakiejś dziwnej przestrzeni „pomiędzy” słowami, między metaforami, których prawie nie ma albo jeśli się zjawiają, to wiodą na manowce znaczeń. Porównuję dwie książki tłumaczeń F. Przybyłaka i R. Krynickiego. Sam też próbuję z oryginałów wywieść sens tych wierszy, ale nie wiem, czy to jest możliwe. Celan jest, mimo tych trudności, niesamowicie inspirujący, drażniący tę skrytą (w nas) wewnętrzną strunę, która potem rezonuje swym własnym brzmieniem.

9.04.

Wreszcie, z opóźnieniem, pojawił się kolejny, 70. numer „Formatu”, w części tematycznej poświęcony sztuce wrocławskiego strukturalizmu. Tutaj znalazły się, wprowadzające w problematykę, artykuły Bogusława Jasińskiego (filozof, teoretyk kultury), Grzegorza Sztabińskiego (profesor ASP Łódź, artysta wizualny i filozof), Andrzeja Kostołowskiego (artysta i krytyk sztuki) oraz mój o strukturach malarzkiej materii. Zeszyt wypełniają także teksty artystów i krytyków omawiających przykłady twórczości wrocławskich malarzy, kwalifikowanych jako przedstawiciele właśnie owej „strukturalnej” tendencji; tak zaprezentowana została tu sztuka kilku wybranych twórców, m.in. A. Mazurkiewicza, J. Hałasa, W. Gołkowskiej, Z. Jurkiewicza, J. Rosołowicza, K. Jarodzkiego oraz A. Klimczak-Dobrzanieckiego, P. Lewandowskiego-Palle, a także P. Błażejewskiego i W. Lupy. W każdym razie przekrój przez lokalne dokonania zdradza swą wyraźną strukturę porządkujących form i barw – w mniejszym stopniu „zapożyczonych” od wzorca naturalnego, co raczej wyrażających własne, odniesione do samej sztuki (i jej kultury) aspiracje twórcze.

10.04.

Ryszard Tabaka (działający w latach 70. w grupie twórczej „Foto-Medium-Art” z Jerzym Olkiem, Irkiem Kulikiem, Leszkiem Szurkowskim i Alkiem Figurą) odwiedził był mnie w redakcji „Formatu” wraz z Jackiem Piechuckim, poznanym wcześniej, z okazji moich kontaktów z Józefem Bańką, filozofem techniki z Uniwersytetu Katowickiego. Tabaka emigrował w 1982 r. do Australii, teraz – już na emeryturze – próbuje powrócić do „sztuki” fotografowania. Jacek pracuje w korporacji Volkswagena (w Duisburgu), odszedł już od pisania i filozofii. Obaj planują wystawę kilku dawnych „aktywistów” z „F-M-A” w Tarnowskich Górach, gdzie Jacek ma dom. Oczywiście obydwaj chcą zaangażowania z mojej strony w tę inicjatywę – co jest realne. Byłem kiedyś ściśle

JAZZ NAD DRA



z tą grupą powiązany jako jej krytyk. Teraz razem zwiedzamy wystawy w MWW (tak zwany Bunkier Sztuki), gdzie pomieszczono fotografie uczniów AFA i Fobosu (prywatnych szkół fotografii ciągle aktywnego Buchanowicza – ich właściciela). Z kolegami nie widziałem się około 33 lat; twarze zmienione, gdybym ich spotkał, nieuprzedzony o wizycie, chyba nie rozpoznałbym. Czas zmienia, ale jak, w jaki obraz szlifuje rysy i „wnętrze” – trudno przewidzieć. Choć pewne „ślady” dawnej tożsamości pozostają, trzeba się tylko uważniej wpatrzeć, wyczuć czas przeszły.

12.04.

W „Gazecie Wyborczej” wywiad z Krzysztofem Mieszkowskim, dyrektorem Teatru Polskiego we Wrocławiu, odnoszącym spektakularne sukcesy w realizacjach teatralnych z udziałem wybitnych reżyserów, takich jak: K. Lupa, M. Zadara, J. Kłata, P. Demirski i inni. Mieszkowski angażuje ich do pracy we Wrocławiu, ryzykując przy tym znacznym przekroczeniem budżetu. Stąd próby odwołania go za brak dyscypliny finansowej przez nadzorujący teatr Urząd Marszałkowski. Ale jeszcze broni go (i wspiera finansowo) Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, gdzie ma zagorzałych przyjaciół. Mieszkowski wypowiada się z polotem i jest z tej zdolności artykulacji znany, natomiast zastanawia to, że jako tak zwany znawca teatru nie jest znany z opracowań krytycznych na ten temat, mimo że jest też redaktorem „Notatnika Teatralnego” – pisma na dobrym poziomie. Tu (wywiad) narzeka na brak kompetencji kulturowych Polaków w zakresie odbioru sztuki (braki edukacji i konsumpcjonizm).

16.04.

Rzadkie (dla mnie) inspiracje z filmów, z teorii im towarzyszącej. Kiedyś taką rolę pełniły filmy i teksty Andrzeja Tarkowskiego, dzisiaj – Lecha Majewskiego. Jego *Ogród rozkoszy ziemskich* czy *Młyn i Krzyż* to dzieła poruszające. Teraz wywiad w „Gazecie Wyborczej” z 16 kwietnia w kontekście nowego filmu pt. *Onirica*. Piszą o nim jako o metatekście, o nadmiarze obrazów, o żałobności zdarzeń (T. Sobolewski). Jak sam Majewski mówi: chciał w tym filmie spiąć dawną mistyczną sztukę z teraźniejszą chwilą, być między trywialnym życiem a momentami, gdy otwiera się niebo. To dla takich „otwarć” warto żyć i tworzyć. Bo tworzy się być może „klucz” do tej bramy w niebie (to myśl, którą wykorzystałem w wierszu z cyklu *Stary poeta zerka w stronę nieba...*). Majewski powiedział, że trzeba docenić tajemnicę jako niezbędny element naszego życia.

Przypadkowe, po latach niewidzenia, spotkanie z Rysiem i Olą Wojtyłami oraz towarzyszącym im Bogusławem Klimsą. Ryszard wyraźnie posunięty wiekowo – już taki nieco „zasuszony dziadek”, gdy Aleksandra jakby bez zmian – tak jak wyglądała 20 albo 30 lat wcześniej. Boguś siwiuteńki, ale w dobrej formie intelektualnej, tryska pomysłami.

18.04.

Spotkanie z Bogusławem Klimsą z okazji promocji jego książki o jazzie. Wraz z Wojtkiem Siwką wydali wcześniej dwutomową monografię „Jazz nad Odrą”. Teraz „Jazz we Wrocławiu 1945–2000”. To skrupulatna kronika i „opowieść” o artystach wypowiadających się w tej ekspresji oraz organizatorach im towarzyszących. Sam pamiętam koncerty zespołu Pakulskiego w „Pałacyku” i jego jam session w „Arce”. Tamte czasy (przełom lat 60. i lata 70.) pełne były luzu (młodości), ale również inicjatyw kultury; bo chyba tylko w kulturze studenckiej i okołostudenckiej (na przykład w kręgu „Kalamburu”) pojawiała się jakaś dawka wolności. Władza kontrolowała kulturę, ale nie dało się skontrolować i sterować wszystkim, szczególnie entuzjazmem młodych ludzi. Klub studencki „Pałacyk” stał się więc takim miejscem, gdzie obok muzyków funkcjonowali poeci (Laur „Arki” – byłem kilka razy laureatem tego konkursu) czy realizowali się plastycy (Get, Sawka i inni), a wreszcie mimowie i ludzie teatru. Niezwykłe były wydarzenia przy okazji Festiwalu Teatru Otwartego (Bogusław Litwiniec kierował i ochraniał tę inicjatywę) czy Festiwalu Kultury Studentów Polskich (Wojtek Hendrykowski był jego dyrektorem; coś z tej pasji inżyniera do sztuki zostało w nim do dzisiaj). Zaangażowany byłem wtedy w dziennikarstwo studenckie (razem z J. Olkiem); pisaliśmy o festiwalowych wydarzeniach między innymi do „Politechnika”, do „itd”. Potem prowadziłem dział kultury w „Sigmie” – piśmie studentów Politechniki; a wreszcie w jednodniówce Rady Okręgowej ZSP „Konfrontacje”, gazecie, która miała ambicje zarejestrowania się jako stały periodyk – na co oczywiście nie dostaliśmy od władz zgody (to jeszcze nie ten czas, który przyszedł po 1989 r.). Zacząłem też współpracę z inicjatywą Jerzego Olka dotyczącą galerii Foto-Medium-Art, której był on szefem. Przez kilka lat (do 1982 r.) byłem jakby „nadwornym” krytykiem tej galerii; ta współpraca skończyła się wobec rozbieżności merytorycznych w podejściu do sztuki fotografii. Ten okres (lata 70.) to najlepszy chyba okres w kulturze Wrocławia, czas, który ciągle nie doczekał się opisanego, zebrania faktów itd. Choć częściowe opracowania właśnie powstają, jak chociażby publikacje B. Klimsy.

20.04.

Wybitnie, wręcz zaraźliwie popierająco (używając sformułowań jakby w klimacie tego języka) odbieram felietony Krzysztofa Vargi w „Gazecie Wyborczej” („Duży Format”). Kiedyś, dość już dawno (jakoś 2 lata temu) zwróciłem uwagę na tego pisarza, na jego sarkastyczne odniesienia do współczesnej sztuki (po relacjach Doroty Jareckiej), gdy wprost referował swoje niezrozumienie dla projektów, które ze sztuką – według niego – nie miały nic wspólnego. Chodziło mu między innymi o tak zwaną „sztukę krytyczną” – tendencję wręcz bezkrytycznie nadużywaną przez „starych” artystów (z dawnej pracowni – od prof. Kowalskiego – zwanej „kowalnią” w warszawskiej ASP), jak i jej młodszych naśladowców. Varga, pisarz o korzeniach pół-węgierskich, okazuje się być wnikliwym, a wręcz przenikliwym krytykiem i znawcą polskiej mentalności, jej absurdów i słabości, piętnuje z pasją głupotę, niski patriotyzm w duchu narodowo-katolickim, prawicowe odchylenia i tym podobne przywary naszej nacji; robi to zresztą ze smakiem, językiem jędrnym o specyficznej składni.

Trzyma pewien dystans, który pozwala „widzieć lepiej”. Jego felietony krytykujące tak zwaną „religię smoleńską” i tym podobne głupoty są wręcz mistrzowskie. Przyjrzał się również publikacjom *Wygaszanie Polski 1989–2015* czy *Oburzeni* i „esejom” takich patriotów jak A. Macierewicz, E. Stankiewicz, J. Kaczyński, P. Gliński czy T. Rydzyk. Nasza czołówka oszołomów i cwaniaków politycznych, którzy wyładowują swoje frustracje w słowie pisanym. Do tego zestawu wybitnych nazwisk dołączyć trzeba jeszcze fanatyków kościelnych, na przykład księdza D. Oko, abp. H. Hosera, J. Michalika, A. Dydycza i innych hierarchów pomstujących na „dyktaturę gender” i rojących sobie o „wielkość Polski”. Te balony zadufanych w sobie przedstawicieli Kościoła i sekundujących im publicystów prawicy (ich żałosne „Do Rzeczy” – bez rzeczy) bełkocących o „rosyjsko-niemieckim kondominium pod zarządem żydowskim” (a to już są „złote myśli” G. Brauna). Te rewelacje Varga celnie przekłuwa, ale... ale te „resztki” są publikowane i choć tylko w nielicznych mediach, to docierają do części społeczeństwa. I to jest problem, bo prawda nie przebija się do ogółu, ginie pod warstwą śmieci, propagandy i manipulacji.

25.04.

Zmarł Władysław Bartoszewski (93 lata), pełen energii i pasji patriota, zwolennik pojednania z Żydami (siedział w Auschwitz), także z Niemcami. Wielka postać, jedna z ostatnich, jaka przyczyniła się do osiągnięć naszego kraju, ale mimo to będzie ten człowiek znów „opluwany” przez prawicę, przez te szeregi oszołomów, którzy nadal śpiewają „wolną ojczyznę racz nam dać, Panie”. Ileż nienawiści, małości i zacietrzewienia w politykach tej opcji politycznej oraz w Kościele (to jest części hierarchii wspierającej ją). Choć – jak twierdzą – czynią to z patriotycznych pobudek. W ich swoisty patriotyzm (narodowy) nie można wątpić.

28.04.

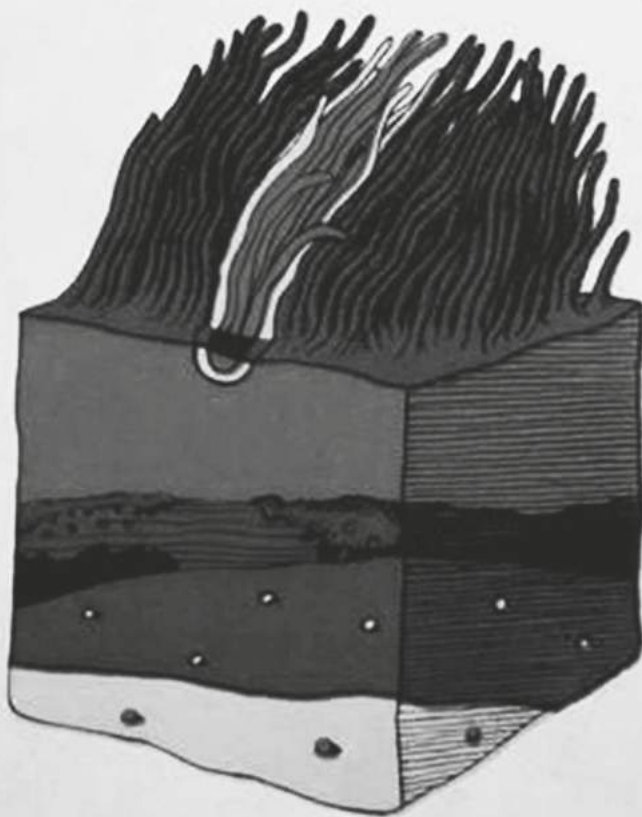
Spotkanie Rady Artystycznej „Zachęty”, podano wyniki naszych głosowań i decyzje zarządu, które wzbudziły kontrowersje rozbieżnościami między typowaniem Rady a decyzją o zakupach. Moi „kandydaci” w sporej części zostali zakwalifikowani przez Zarząd – choć widzę w tym „walkę” o własnych (promowanych) artystów (na przykład Mirek Jasiński z zarządu, który niewątpliwie przeforsował kandydaturę grafików, Kubiak i Gretchen). Ten problem – wyboru do kolekcji prac artystów – zawsze budził wątpliwości, teraz z powodów „nacisków” członków Zarządu, którzy nota bene mają do tego prawo.

30.04.–3.05.

Długi, ale w tym roku raczej krótki weekend majowy spędzam na wyjeździe do Bad Muscau. Na plener jego studentów (z Konserwacji i Grafiki w warszawskiej Akademii) zaprosił mnie Grzegorz Stachańczyk – profesor tej uczelni. W „Turmville” (pensjonat) w Bad Muscau „trzymam” – jak to brzmi w języku niemieckim – dwa wykłady dla studentów Akademii, uczestników tego pleneru rysunkowego. Młodzi ludzie portretują – całkiem udanie – ludność pograniczną: z Łęknicy po stronie polskiej i z Bad Muscau. Potem wystawa obok pałacu księcia Pücklera – właściciela i założyciela

edward
stachura

WSZYSTKO JEST POEZJA



Parku Muzakowskiego w XVIII w. Teren (prawie 90 ha) przecina onegdaj graniczna Nysa Łużycka, obecnie pocięta mostami łączącymi obie części parku; większa (2/3) jego część jest po stronie polskiej. Oprowdza mnie po tej części żona Grzegorza, która jest specjalistką od założeń ogrodowych typu angielskiego (styl romantyczny) i opiekunką tego parku. Część polska stara się „dogonić” w rewitalizacji skromniejszą obszarowo część niemiecką, ale już dobrze zagospodarowaną i posiadającą główne obiekty dawnej posiadłości Pücklerów. Tu, jak się okazuje, kontakty międzysąsiedzkie są nieskrępowane (także handlowe – targ po stronie polskiej), czyli że mogą być możliwe, choć niepozbawione pewnych zgrzytów, jakie niosą różnice mentalne i kulturowe obu nacji. Dla „dzieci” Stachańczyka (jak o swych studentach mówi Grzegorz) przygotowałem dwa wystąpienia. Pierwsze wprowadzające w historię i założenia „Formatu”, obdarowując ich kilkoma wydaniem, a także mówiąc o malarstwie strukturalnym (z ostatniego wydania). Drugie wystąpienie poświęcam tak zwanej sztuce śmieciowej na przykładach realizacji z Pragi, Berlina czy Krakowa. Ten temat inicjuje żarliwą dyskusję, która kończy się późnym wieczorem; studenci podnoszą problem warsztatu albo jego braku w wykształceniu akademickim, co utrudnia potem karierę i „usprawiedliwia” tę „śmieciową” sztukę właśnie. Dnia 1 maja – w zamku Pücklera uroczystość z udziałem oficjeli z dwóch stron. Widzę się z Leszkiem Kanią, teraz dyrektorem Muzeum w Zielonej Górze, którego miałem okazję poznać przed kilkunasty laty.

Cdn.



→ WIEŚŁAW
DYMN

OPOWIADANIA ZWYKŁE



Jan Sawka – ilustrator i iluminator

W sierpniu minęła 12. rocznica śmierci wybitnego polskiego artysty plastyka, autora niesamowitej liczby prac – Jana Sawki. Tworzył we Wrocławiu, Krakowie oraz Warszawie, nim poprzez Paryż znalazł się w Nowym Jorku, by ostatecznie osiąść, już na stałe, w amerykańskim High Falls, gdzie zmarł 9 września 2012 roku.

Związany był (nie tylko emocjonalnie) z Wrocławiem. Tu ukończył w 1972 roku studia architektoniczne na Politechnice Wrocławskiej. Tu przez jakiś czas uczęszczał na zajęcia (studiując w sobie tylko znanym trybie) na Akademii Sztuk Pięknych. Tu od oprawy plastycznej licznych studenckich zdarzeń zaczynał swą artystyczną drogę.

W 2003 roku w wydrukowanym później w czasopiśmie KONFRONTACJE liście pisał: *a wszystko zaczęło się od Wrocławia. GECIU (Eugeniusz GET Stankiewicz), a potem JUREK CZERNIAWSKI i JANEK ALEKSUN. [...] WOJTEK SIWEK z jazzem, BOGUŚ z kabaretami, pijany GIERCZAK z „KARŁEM”, itp. itd. KALMBUR, GEST... a potem FAMA, STU, STUDENT, STODOŁA, POLSKA SZKOŁA PLAKATU, CENTRUM POMPIDOU, NEW YORK TIMES, TEATR BECKETA, GALERIE 57 ulicy, LOS ANGELES, GREATFUL DEAD, N.A.S.A., TOHO STUDIO, ESSEN... Zaczęło się to wszystko we Wrocławiu, a prawie nikt o tym nie wie, bo i jak? Ja sam mam zaledwie parę dokumentów...*

Był człowiekiem wielobarwnym i takim jest jego bogaty, obfitujący w liczne sukcesy, rzadziej porażki, życiorys. Autor wielu multimedialnych projektów – bywało realizowanych, a czasem nie. Wykonawca, różnymi technikami, licznych grafik i rysunków, zawrotnych projektów multimedialnych, plakatów do zdarzeń kulturalnych w miastach, w których żył, rysował i malował. Międzynarodową sławę zyskał w USA.

Przywołam tu i opiszę tylko niewielki odcinek jego artystycznych działań w dziedzinach zawartych w tytule artykułu. Kto to jest ilustrator, jaka jest jego rola – pisano wielokrotnie. O artystycznych wartościach ilustracji także. Rzadziej używa się drugiego pojęcia umieszczonego w tytule. Encyklopedycznie – iluminator to średniowieczny artysta-rzemieślnik zdobiący karty kodeksów lub książek ozdobami zwanymi iluminacjami. Zwykle dotyczy to pierwszego słowa albo wersu umieszczonego na stronie tekstu literackiego lub naukowego. Współcześnie ten rodzaj sztuki właściwie nie istnieje. Postanowiłem, na użytek tego tekstu, pożytyć sobie słowo iluminator i użyć je na określenie trochę innego, lecz podobnego rodzaju pracy współczesnego artysty grafika. Pracy polegającej na pokrywaniu



rysunkami marginesów stron, przerywników w tekście, niezapisanych miejsc na karcie, tworzącej plastyczną kompozycję, często będącą swoistym komentarzem do umieszczonego na niej tekstu. Z tą sztuką (choć coraz rzadziej) zwykle spotykamy się na stronach różnego rodzaju okazjonalnie wydawanych folderów, programów imprez i festiwali czy tak zwanych jednodniówek.

Wybitny talent Sawka pokazał już na studiach, gdzie łatwość rysowania jest jedną z podstawowych umiejętności przyszłego architekta. Z niesamowitą łatwością wykonywał dla profesorów karykatury, dla kolegów komiksy, rysunkowe żarty (często obsceniczne) i różne rodzajowe obrazki... Kreował się na oryginała i ekscentryka, swym ubiorem wzbudzając dodatkowo zainteresowanie studenckiej braci. Krążyło o nim wiele anegdot...

Wykładowca architektury, prof. Waldemar Wawrzyniak, wspominał: na jednym z egzaminów, aby go zdać, studenci mieli zaprojektować nowoczesną remizę strażacką. Kiedy Janek rozwinął swój pierwszy rulon z projektem, trudno było na nim zauważyć wymagane szkice i rysunki techniczne konstrukcji. Za to oczywiście cieszył pięknie, na czerwono wymalowany wóz strażacki oraz stojąca obok niego drużyna wąsatych strażaków z toporkami i w błyszczących, fantazyjnych hełmach. Reakcji oceniających, w tym wykładowcy oczekującego od studenta architektury technicznych wyliczeń i projektów konstrukcji budynku, nie będę opisywał...

We Wrocławiu istniał wtedy klub studencki ZSP PAŁACYK. Był enklawą wolności i skupiał licznych, utalentowanych studentów, w przyszłości znanych artystów z wielu dziedzin. Działy tu kabarety, teatralne scenki, zespoły jazzowe i bitowe, organizowano liczne imprezy i festiwale. Wszyscy potrzebowali oprawy plastycznej (zwłaszcza informacyjnej), lecz różniącej się od tej oficjalnej, obowiązkowo nadętej, w dodatku pozbawionej grama fantazji, bezdusznej i monotonnej. Sawkę, rysownika „jajcarza”, pałacykowe towarzystwo szybko wessało w swoje otoczenie i zatrudniło jako nadwornego ilustratora, a potem twórcę plakatów i scenografii. Pokrywał rysunkami strony tytułowe broszur i ozdabiał ilustracjami przeróżne studenckie foldery, reklamy – informatory. Ogólnopolską sławę przyniosła mu (poza plakatami) oprawa rysunkami z komentarzem biuletynów festiwalu JAZZ NAD ODRĄ. Zdaniem nie tylko wielu komentatorów i dziennikarzy taki rodzaj drukowanego podsumowania festiwalowego dnia był wówczas w Polsce nieznany i jedyny. Ta, codziennie wychodząca, prawie „podziemna bibuła” rozchodziła się jak przysłowiowe ciepłe bułeczki, nie tylko wśród studentów. Sawka mocno związał się z rezydującą w PAŁACYKU artystyczną elitą Wrocławia. Chciał być „pod ręką”, więc jako swoją pracownię – atelier wynajął mieszkanie w kamienicy naprzeciw klubu. Zakasał rękawy i wkrótce pojawiły się zamawiane przez miejskie instytucje pierwsze prace, między innymi dla IMPARTU.

Za swego mistrza uważał Eugeniusza GETA Stankiewicza, który wprowadził go w tajniki warsztatu profesjonalnego grafika. Niektóre z tych technik utalentowany uczeń przerabiał na swoją modłę, stwarzając indywidualną, autorską, graficzną technikę. Niezwykle pracowity i tryskający pomysłami szybko stał się dzięki swemu indywidualnemu stylowi łatwo rozpoznawalny.

Milowym krokiem w jego przyszłej karierze było uczestnictwo w FAMACH (Festiwalu Artystycznego Młodzieży Akademickiej). Tu go poznało, i sam poznał, wielu liczących się na ogólnopolskiej, artystycznej scenie czołowych twórców, między innymi dzięki szefowi teatru STU Krzysztofowi Jasińskiemu. W 1970 roku za jego namową przeniósł się do Krakowa (był wówczas jeszcze studentem wrocławskiej architektury). Został, jak sam pisał, filarem plastycznym teatru. Był autorem – drukowanych z powodów techniczno- finansowych w wersji czarno-białej – folderów, programów granych sztuk, materiałów reklamowych i okazjonalnych grafik. Później powstały barwne, spektaklowe plakaty, z których jeden umieszczony został w 1995 roku na znaczku i bloczku Poczty Polskiej. Współpracował także z wydawanym przez Radę Okręgową ZSP w Krakowie dwutygodnikiem społeczno-kulturalnym STUDENT. W tak zwanym międzyczasie obronił w 1972 roku dyplom architekta i przeprowadził się do Warszawy. Tam, jak kiedyś z wrocławskim klubem studentów, związał się z podobnym PAŁACYKOWI warszawskim klubem STODOŁA.

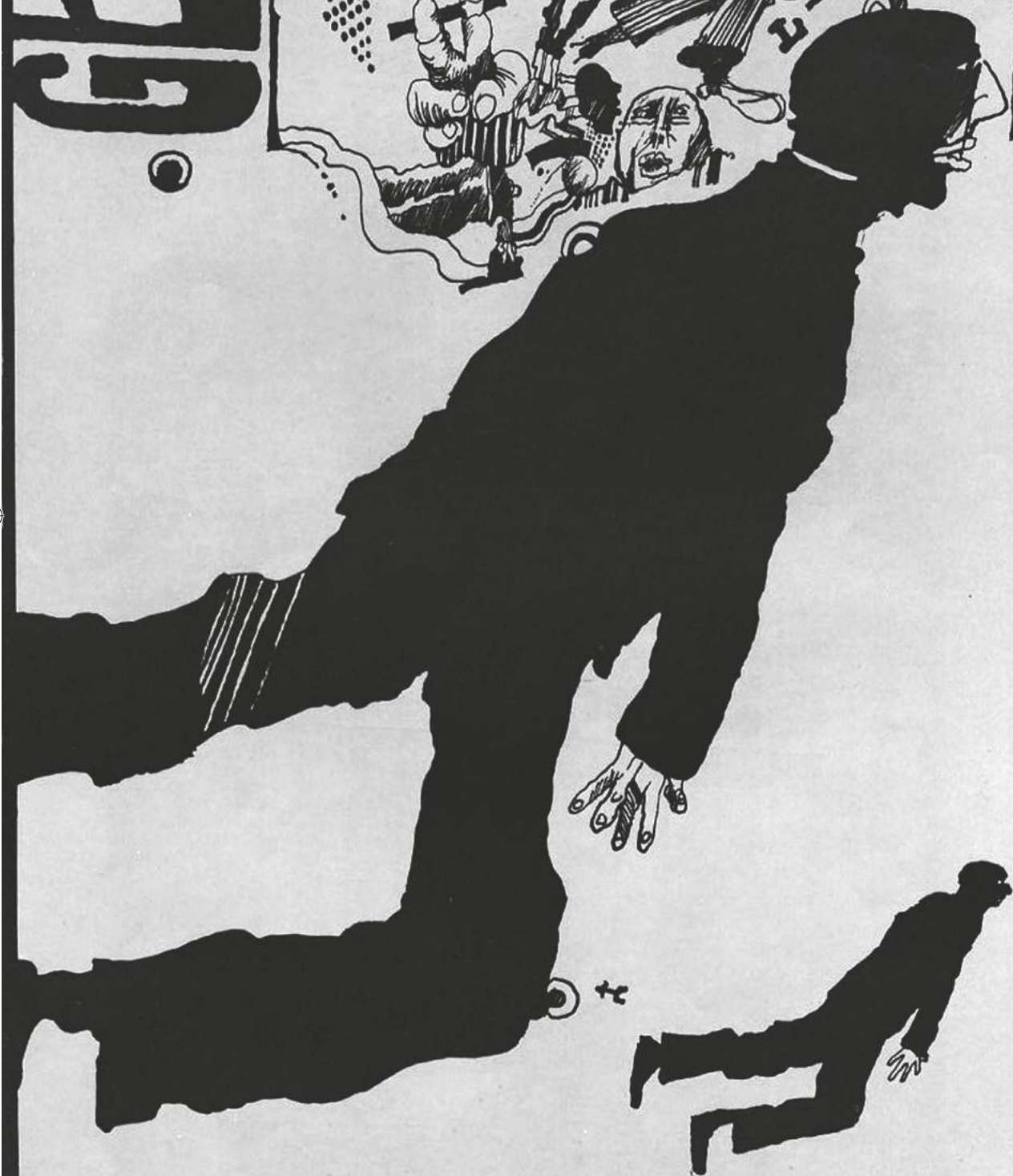
W tym okresie Sawka rozpoczął współpracę ze znanymi autorami oraz oficynami wydającymi ich dzieła. Wykonywał grafiki zamieszczane na tytułowych stronach i obwolutach tomiku Edwarda Stachury PIOSENKI (1973, wyd. I) oraz tomiku CAŁA JASKRAWOŚĆ (1974, wyd. II), obu wydanych przez LSW (Ludową Spółdzielnię Wydawniczą). W PIW (Państwowym Instytucie Wydawniczym) opatrzone kolorową grafiką ukazał się tegoż autora tom WSZYSTKO JEST POEZJĄ (1975, wyd. I). Wymieniona już oficyna LSW wydała – także z grafikami Sawki na tytułowych stronach – powieści: CRIMEN Józefa Hena (wyd. I, 1975) i MIĘDZY USTAMI A BRZEGIEM PUCHARU Marii Rodziewiczówny (wyd. III, 1974).

W roku 1975 w serii Biblioteka Satyry Spółdzielni Wydawniczej CZYTELNIK (wyd. I) ukazał się pod tytułem ZIELONE DZIECKO I INNE UTWORY cykl scenek teatralnych autorstwa CAMI. Książka, poza grafiką na obwolucie i stronie tytułowej, zawiera wewnątrz czarno-białe rysunki autorstwa Sawki.

Unikatowym jest wydany w 1973 roku w Teatrze Wielkim w Warszawie program z okazji premiery baletu Piotra Czajkowskiego – DZIADEK DO ORZECHÓW. Ilustrator zaproponował do druku w formacie B4 dzieło plastyczne w postaci książeczki dla dzieci. Każda z 32 stron to w całości autorskie ryciny. Na nich umieszczone są rysunki nawiązujące do libretta baletu, na ostatniej stronie umieszczona jest wycinanka. Część stron zawiera wykaligrafowane, różnymi rodzajami pisma, informacje dotyczące charakteru przedstawienia i aktorskiej obsady oraz realizatorów. Pod czarno-białymi rysunkami tuszem znajdują się aple pod postacią plam i częściowych wypełnień, jednak tylko w dwóch kolorach: bładoniebieskim i ceglastobrązowym. Na stronie internetowej Teatru Wielkiego (w zakładce archiwum) znajduje się pierwsza strona tego programu. Wśród wymienionych tam osób, występujących i będących realizatorami premiery, brakło nazwiska autora, unikatowego, powstałego 51 lat temu wydruku. Szkoda.

Wspaniałym, wrocławskim akcentem opisywanej tu działalności ilustracyjnej artysty niech będzie (wydany w 1974 roku w ilości 750 egzemplarzy) suplement do KONFRONTACJI, wychodzącego nieregularnie, redagowanego w PAŁACYKU czasopisma studentów Wrocławia. Załącznik wydrukowano w monochroma-

SOIT



tycznej, brązowej barwie, w nietypowym, nieporęcznym formacie A3+. Zawierał w treści manifesty uznanych już w środowisku, wrocławskich młodych artystów. Dziesięć wielkoformatowych grafik plus dwie, na tytułowej i końcowej stronie, zamieszczono w części poświęconej literaturze i poezji. Jan Sawka informuje, że rysunki powstały w oparciu o motywy zawarte w tomiku poetyckim Leszka A. Moczulskiego NAWRACANIE STRACHA NA WRÓBLE.

Uwagę przyciąga wydana w 1975 roku (jeszcze przed emigracją Sawki do Paryża) przez LSW (wyd. I) książka DEMONY, PURTKI I STOLEMY – BAŚNIE KASZUBSKIE autorstwa Augustyna Necela. Poza uzupełniającymi tekst czarno-białymi rysunkami oczy cieszą liczne, pełnostronicowe, wielobarwne ilustracje, wykonane charakterystyczną dla Sawki techniką i w jemu właściwym stylu.

Jako 536. pozycję wydawniczą COK (Centralnego Ośrodka Metodyki Upowszechniania Kultury – Warszawa) znajdujemy wydaną w 1977 roku książkę autorstwa Helmuta Kajzara – SZTUKI I ESEJE. Tytuł zdobi kolorowa grafika, a wewnątrz zamieszczono na stronach czarno-białe winiety zapowiadające kolejne felietony. Jako osobne wklejki mamy liczne, całostronicowe, pokolorowane rysunki. Powstały one jeszcze w Polsce, tuż przed wyjazdem artysty w maju 1976 roku do Paryża.

Wydawnictwo Literackie w Krakowie wydało w 1978 roku (wyd. I) tomik wierszy Leszka A. Moczulskiego – NARZĘDZIA I INSTRUMENTY. Jednocześnie w ilości 300 egzemplarzy ukazał się ten sam tomik (tak samo złożony) jako bibliofilski dodruk, wydany na papierze pakowym. Do niewątpliwych walorów obu wydań, razem z zamieszczoną tu poezją, należą ilustracje Sawki. Ta sama oficyna w 1980 roku wydała książkę autorstwa Tadeusza Nyczka zatytułowaną TEATR STUDENCKI W POLSCE 1970–1975 (wyd. I). Obwoluta i strona tytułowa jest dziełem Janka.

W 1981 roku podziemne wydawnictwo KOS z Krakowa wypuszcza w „kieszonkowym” formacie powieść ZNIEWOLONY UMYŚŁ Czesława Miłosza. Książeczka zawiera na obwolucie oraz dołączonej wkładce rysunek Sawki. Rysunek na okładce i dodatkowo kilka innych, ascetycznych w formie i treści, znajduje się w podobnie wydanym w 1981 roku przez WYDAWNICTWO ABCKRAKÓW) tomiku poetyckim Ryszarda Krynickiego – NASZE ŻYCIE ROŚNIE.

Zbiór poezji Leszka A. Moczulskiego 70 WIDOKÓW W DRODZE DO WENECJI, pod redakcją Ryszarda Krynickiego, wydany w 1991 roku w BIBLIOTECIE POETYCKIEJ WYDAWNICTWA a5, zawiera graficzne opracowanie książki przez Jana Sawkę. Rysunki (jak informuje artysta rozpoczęte w 1990 w Lamporecchio koło Vinci w Toskanii, a kończone we wrześniu 1990 w High Falls w Nowym Jorku) przenoszą czytelnika jakby w inny wymiar. Każdej stronie, każdemu wierszowi towarzyszy artystycznie wysublimowana grafika.

Poligraficzną starannością charakteryzują się wydane w 1998 roku, przez Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, dwie książki autorstwa Wiesława Dymnego – OPOWIADANIA ZWYKŁE oraz DROGA NA ZACHÓD. Okładki zdobią kolorowe grafiki Sawki. Forzec¹ i strony tytułowe z zamieszczonymi tam monochromatycznymi grafikami znakomicie uzupełniają całość.

¹ Kartka przed kartą tytułową książki, z których jedna jest przyklejona do okładki, a druga wolna.

W roku 1982 ukazuje się w kalifornijskim wydawnictwie RED HILL PRESS, SAN FRANCISCO, tomik GARBY I SKRZYDŁA – POLSKA POEZJA OD '68. Antologia jest wynikiem współpracy Paula Vangelistiego i Jana Sawki. Poeci uwzględnieni w antologii to: Krzysztof Karasek, Stanisław Barańczak, Adam Zagajewski, Julian Kornhauser, Ryszard Krynicki i Antoni Pawlak. Czarno-białe ilustracje autorstwa Jana Sawki (oparte na jego grafikach z cyklu TO BE A BIRD – BYĆ PTAKIEM) znajdują się na stronach książki oraz okładce. W przedmowie Paul Vangelisti pisze: *Sposób, w jaki doszliśmy do wydania tej antologii, jest tak osobliwy i szczególnie, jak sama Polska. Poznałem Jana Sawkę na prywatnym pokazie jego prac w Los Angeles w 1977 roku. [...] Dałem mu kilka moich książek i rozstaliśmy się w nadziei na ponowne spotkanie. W niecałe trzy miesiące Sawka wystął z Paryża czternaście moich wierszy, kaligrafowanych i ilustrowanych; kilka miesięcy później pięć z tych wierszy zostało opublikowanych w Krakowie w czasopiśmie STUDENT (tłum. Stanisław Barańczak – przyp. aut.) [...]. Byłem nie tylko zaskoczony, ale i pochlebiony tłumaczeniami Barańczaka, ponieważ był on i pozostaje jednym z poetów, których twórczość najbardziej mnie interesuje w powojennej poezji polskiej. [...] Jakies trzy lata później rękopis dotarł pocztą. Nie trzeba dodawać, że osoby znające sytuację w Polsce w ostatnich latach mogłyby się dziwić, że został ukończony, a co dopiero, że dotarł. Powinienem wspomnieć, że w ostatecznej edycji tego już przetłumaczonego wyboru musieliśmy pominąć kilka wierszy, które z przyczyn formalnych lub kontekstowych mogłyby wprowadzić w zakłopotanie czytelników nie znających polskiej literatury i historii. Za ich pracę i cierpliwość chcielibyśmy podziękować wszystkim współautorom tej antologii, a zwłaszcza Janowi Sawce. Paul Vangelisti (lipiec 1981).*

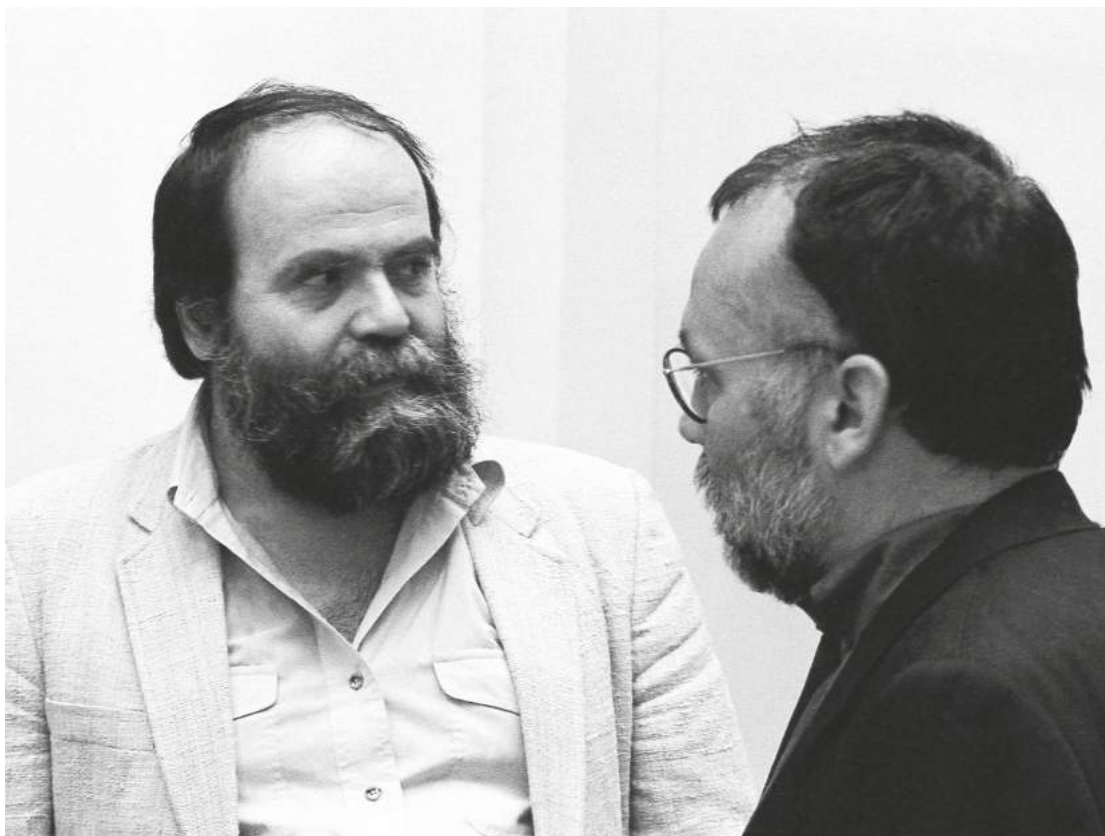
Wydawnictwo CONTEMPORARY IMAGES INT'L z Chicago w 1985 roku drukuje w trzech tomach w języku polskim słynną powieść Leopolda Tyrmanda ZŁY. Jej wnętrze oraz okładkę i tytułową kartę zdobią rysunki Sawki.

Ciekawym wolumenem, w treści i edytorsko, z kolorową okładką i czarno-białym wnętrzem, jest antologia wierszy Andrzeja Pacuły, satyryka, pisarza i poety. Tomik SOLNA GÓRA, podtytuł: KRONIKI MIEJSKIE, został wydany w 1999 roku, w Bochni. W roku 2019 ukazało się wyd. II (Muzeum im. Fischera w Bochni). O tym, jak książka powstała, autor pisze: *W latach 1996 – 2002 byłem inicjatorem i dyrektorem artystycznym Ogólnopolskiego Festiwalu Komедии TALIA w Tarnowie; Sawka był autorem plakatów do pierwszej edycji Talii – 1997 i miał wystawę w cyklu: KOMEDIA LUDZKA. Podczas dwóch wizyt w Tarnowie (1997, 1998) odnowiliśmy znajomość z lat 70. i Janek zaproponował, że sporządzi ilustracje mojej książki poetyckiej, po tym, jak ją przeczytał w brudnopisie. Bywał w Bochni we wczesnej młodości i ilustracje z motywami bocheńskimi sporządził z pamięci, w roku 1999. Wyszło pierwsze wydanie książki, ale nieudane. Obecnie, drugie wydanie spełnia formę graficzną wymyśloną przez Janka, który sporządził także, lay-out książki.*

Jako crème de la crème działań Sawki jako ilustratora trzeba uznać wydany w 1985 roku przez CLARKSON N.POTTER INC. album BOOK OF FICTION, który zdobył tytuł książki 1986 roku, przyznawany przez redakcję THE NEW YORK TIMESA. Praca nad nią (według koncepcji autora stworzył idealną książkę) zajęła Sawce ponad trzy lata. Nim w formie albumu została wydrukowana offsetowo, wcześniej

powstały, ręcznie wykonane 32 egzemplarze zawierające po 25 suchorytów. Stronę po stronie autor odbił wkłęsłodrukiem, a potem ręcznie pomalował każdą ze stron 32 egzemplarzy. Używał przy tym różnych technik: kredek, pasteli, tuszy, markerów, gwaszu, akrylu. Każdy z tych egzemplarzy był więc niepowtarzalny.

„Rękopisy” THE BOOK OF FICTION zostały wystawione w PRATT MANHATTAN CENTER (NY) jako część wystawy twórczości Sawki. Kiedy redaktor wydawnictwa CLARKSON N. POTTER zauważył na wystawie dzieło artysty, postanowił je opublikować w formie albumu. Drukowanie powierzono (wówczas prawdopodobnie najlepszej firmie drukarskiej na świecie) TOPPAN PRINTING CO. z Tokio. Z obszernej recenzji albumu napisanej przez dziekana Wydziału Historii Sztuki na Uniwersytecie Columbia JAMESA BECKA, zatytułowanej KSIĄŻKA FIKCJI JANA SAWKI, wybrałem dwa krótkie fragmenty: *Jest tam wszystko: słowa napisane odręcznie, jakby rękopis był nadal obecny jako mglista refleksja i pismo blokowe, bardziej bezpośrednio zwiq-*



Jan Sawka i Eugeniusz Get-Stankiewicz, wernisaż wystawy w Muzeum Narodowym, fot. Janusz Stankiewicz, Wrocław 1992

zane z wydaniem „drukowanym”. Ale słowa, z wyjątkiem tytułów, są napisane w specyficznym języku, nie znanym widzowi, czytelnikowi i samemu Sawce, chociaż każda pojedyncza litera jest dostrzegalna. Stworzył książkę, która jest naprawdę bez słów, ale nie bez obrazów. [...] Jan Sawka, grafik o uznanej międzynarodowej renomie, jest utalentowanym rysownikiem, plakacistą i satyrykiem wizualnym. W KSIĄŻCE FIKCJI mamy jego światopogląd, jakby tom był autobiografią. Ale jest to jednak fikcja, a więc wcale nie autobiografia, i jest w niej coś więcej niż odrobina dadaizmu, jedyne go niezbędnego składnika przetrwania intelektualnego końca XX wieku – fikcja nie ma tekstu, ale jest w całości tekstem [...].

W charakterze wisienki na torcie przywołam wydaną w języku angielskim przez LAKE ISLE PRESS w 2004 roku 279-stronicową, grubą książkę autorstwa żony i córki Sawki. Pod tytułem AT HANKA'S TABLE (NA STOLE HANKI) kryje się... książka kucharska. Jej wnętrze, opatrzone kolorowymi fotografiami, zawiera liczne przepisy narodowych, polskich potraw oraz historię (także z fotografiami) ich małżeństwa. Książkę do druku składał Janusz Kapusta, przyjaciel Janka, a on sam upstrzył marginesy rysunkami i gdzieś tam większymi grafikami.

Pokrewną dziedzinę twórczości artysty stanowiły projektowane przez niego okładki licznych, często prestiżowych czasopism. Jego prace zdobiły okładki w wydawanym w ośmiu wersjach językowych miesięczniku POLSKA. Inny miesięcznik – JAZZ – także zamieszczał, poza rysunkami wewnątrz, jego okładki. Drukowano go w SZPILKACH, TY I JA i ma on również w swoim dorobku okładki płyt gramofonowych. Ukazujące się tylko sześć razy w roku międzynarodowe czasopismo poświęcone grafice artystycznej i użytkowej GRAPHIS w numerze 210 z 1980/81 roku zamieściło na okładce kolorową grafikę Sawki. Na pierwszych 12 stronach znalazł się obszerny artykuł Szymona Bojko opisujący artystyczny profil artysty oraz liczne czarno-białe i kolorowe reprodukcje stanowiące przykłady jego twórczości.

Sawka podczas pierwszych pięciu lat pobytu w Stanach Zjednoczonych utrzymywał siebie i swoją rodzinę, pracując jako niezależny artysta. Zamieszczał też rysunki w prasie. W latach 1978–1982 wykonał ich ponad 100, dla gazet: NEW YORK TIMES oraz BOSTON GLOBE.

Żeby moje twierdzenie o iluminacyjnych ciągach opisywanego bohatera nie było gołosłownym, przytoczę sedno opublikowanego w 2017 roku w THE DAILY HELLER przez STEVENA HELLERA artykułu. Autor prezentuje w nim na fotografiach przysłanych przez Hanke, córkę artysty, strony z jego szkicowników z kaligraficznymi próbami inicjałów różnych liter. Przypomniały mi one zawsze przez niego noszone w czasach studenckich kajeciki-szkicowniki, w których ołówkiem, kredką, długopisem, flamastrem lub czym popadło... rysował, szkicował każdy wart utrwalenia i zapamiętania pomysł.

Fragment niewydanej książki WROCŁAWSKIE I INNE SPRAWKI JANKA SAWKI.

The New Pope and the Old Schism

By Jaroslav Pelikan



ous commitment at his first mass after being elected, went a long way toward changing all this.

"The institutions, liturgical rites, ecclesiastical traditions, and discipline of Christian life in the Eastern churches," Pope Paul VI declared in promulgating the decree of the Council on the East, "are a matter of great value to the Catholic Church."

Despite an unfortunate dichotomy between "Eastern" and "Catholic," the decree affirms the unique validity of Eastern worship and doctrine and recognizes the contribution that these can make to the spiritual life of Western Christianity in its quest for a more "collegial" church.

Overshadowing all such considera-

**'Roman Catholicism
has vastly
more in
common with
Eastern Orthodoxy'
than with
Protestantism**

tions, of course, is the existential predicament of the churches under Marxist domination. No one knows better than the tough yet flexible Cardinal Archbishop of Cracow that any Vatican overture toward an "Ostpolitik" can make that predicament even more difficult, but the steadfastness of

Rysunek na łamach THE NEW YORK TIMESA, 1978

Światy równoległe Sawki: konstelacje życia i sztuki¹

„Z Zabrze do Nowego Jorku” – tak mógłby brzmieć tytuł filmu biograficznego o Janie Sawce, polskim rysowniku i plakacistrze, którego dzieła ubogacają strony tego numeru „Formatu Literackiego”. Pierwsze z miast było miejscem jego urodzin – przyszedł na świat 10 grudnia 1946 roku. Drugie stało się jego domem i miejscem pracy od 1977 roku aż do śmierci, 10 sierpnia 2012 roku².

Artystyczny debiut Sawki przypadł na lata 70. XX wieku. Dziś ten twórca bywa zaliczany do „plakatowego pokolenia tzw. ilustratorów”³. Jego twórczość idealnie wpisała się w nurt dokonujących się przemian – czynnie go współkształtowała. Zmiana, o której mowa, polegała na odrzuceniu dwóch poprzednio wykrystalizowanych trendów – malarsko-metaforycznego nurtu kojarzonego z tzw. polską szkołą plakatu, rozwijającego się od 1947 do 1965 roku, i następującego po nim, a zainicjowanego w 1965 roku nurtu kolażowego i fotomontażowego. „Ilustratorzy” dawnej oszczędności środków obrazowej wypowiedzi przeciwstawili formalno-stylistyczną obfitość, lapidarność – narracyjny rozmach, a wewnątrzobrazowej harmonii – wielokierunkowe napięcia kompozycyjne. Elementem, którego nie porzucili, a przeciwnie – silnie wzmocnili, była metafora. Przybrała ona u nich formy zagadki, rebusu, podtekstu.

Postawa Sawki wyrosła z buntu lat 60. XX wieku, z kontrkultury i kontestacji. Były one jednak silnie związane z narodzinami pop-artu i szerzej – komercyjnej kultury popularnej. Choć z dzisiejszej perspektywy może wydawać się to pewnym paradoksem, to kontrkultura i kapitalizm tworzyły wówczas całkiem spójną parę. W przypadku Sawki wielokrotnie wskazywano na jego bezpośredni, stylistyczno-formalny dług zaciągnięty u Heinza Edelmana, grafika, który współtworzył wraz z reżyserem George’em Dunningiem film animowany „Yellow Submarine”. Choć jest to duże uproszczenie, to trudno nie dostrzec takich inspiracji w wielu jego pracach.

1 Tekst przygotowany na podstawie badań przeprowadzonych w ramach projektu badawczego Narodowego Centrum Nauki „Polska szkoła plakatu – geneza, ewolucja, kontynuacja, tradycja” (nr 2018/31/B/HS2/03805).

2 Precyzyjniej należałoby powiedzieć, że na pewnym etapie życia twórca przeniósł się z miasta Nowy Jork do malowniczego i dużo spokojniejszego High Falls w stanie Nowy Jork, gdzie zakupił dom.

3 S. Giżka, *Jan Sawka*, Culture.pl (dostęp: 30.10.2024).

Dla ukonstytuowania się jego postawy twórczej niezwykle ważna była wystawa warszawska tzw. Wrocławskiej Czwórki. W 1976 roku wraz z Janem Jaromirem Aleksionem, Eugeniuszem Getem-Stankiewiczem oraz Jerzym Czerniawskim zaprezentował swoje prace na wystawie w warszawskiej Zachęcie, choć nie łączył ich formalnie żaden związek, a rozwijane przez nich koncepcje twórcze znacznie różniły się między sobą. Wystawa „Czterech z Wrocławia” – bo taki był jej właściwy tytuł – uznawana jest za symboliczny moment zmiany warty w cyklu pokoleniowym polskich plakacistów powojennych. Zgodnie z ujęciem wybitnego znawcy polskiego plakatu i wieloletniego kustosa Galerii Plakatu Muzeum Narodowego w Poznaniu, Zdzisława Schuberta, Sawka należał do nowego pokolenia projektantów, którzy w odniesieniu do swoich starszych kolegów tworzących tuż po wojnie „mieli już inną wrażliwość graficzną i zaczęli kształtować oblicze polskiego plakatu kolejnych lat pod wpływem nowych tendencji w sztuce – początkowo z elementami opartu i popartu, a następnie nabierającej na znaczeniu nowej figuracji”⁴. Doskonałym tego przykładem jest plakat z 1976 wykonany przez Sawkę dla Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu do sztuki „Opowieści Kanterberyjskie” – plakat przedstawia leżącą postać przeskalowanej, półnagiej kobiety, zza której wyglądają męskie oblicza opryszków i pijaczków. Przedstawienie to wydaje się być bezpośrednim nawiązaniem do słynnej instalacji „She” autorstwa Nikki de Saint-Phalle.

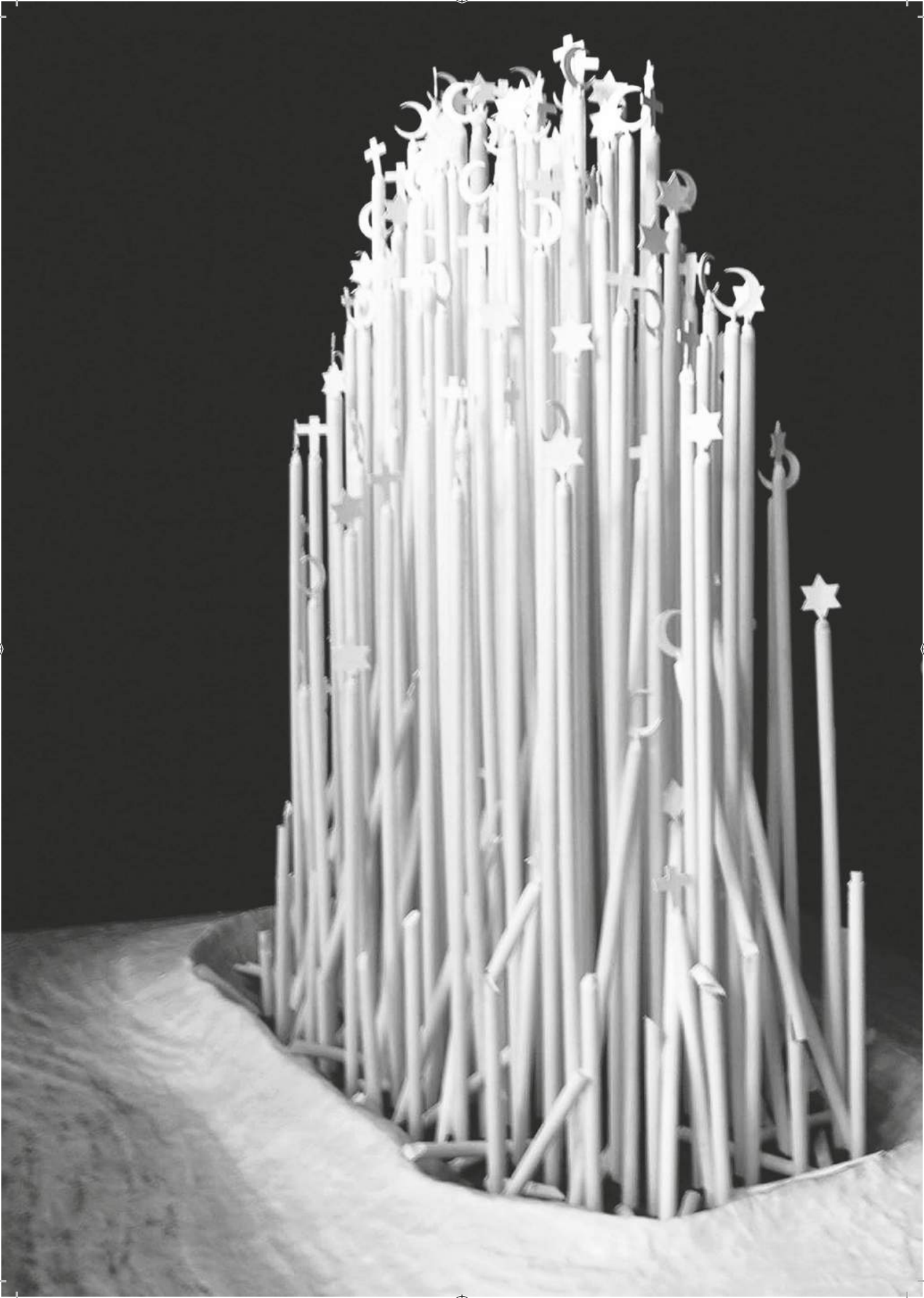
Sawka nie był tylko plakacistą. Nie był nim nawet przede wszystkim. Określić go można bowiem jako artystycznego multiinstrumentalistę – „można wymienić wiele dyscyplin, które uprawiał: malarstwo, grafika, rzeźba, scenografia, projektowanie, multimedia”⁵. Być może dzięki temu udawało mu się bardzo szybko wnikać w różne środowiska kulturotwórcze – najpierw w Krakowie, gdzie był m.in. związany z Teatrem STU jako kierownik graficzny, następnie w Warszawie, w której zamieszkał w 1972 roku, niemal od razu obejmując funkcję scenografa w słynnym klubie Stodoła. „Przez dwa lata jego malowidła ozdabiały szyby południowej elewacji klubu, a także ściany pokoju, w którym zbierali się muzycy”⁶.

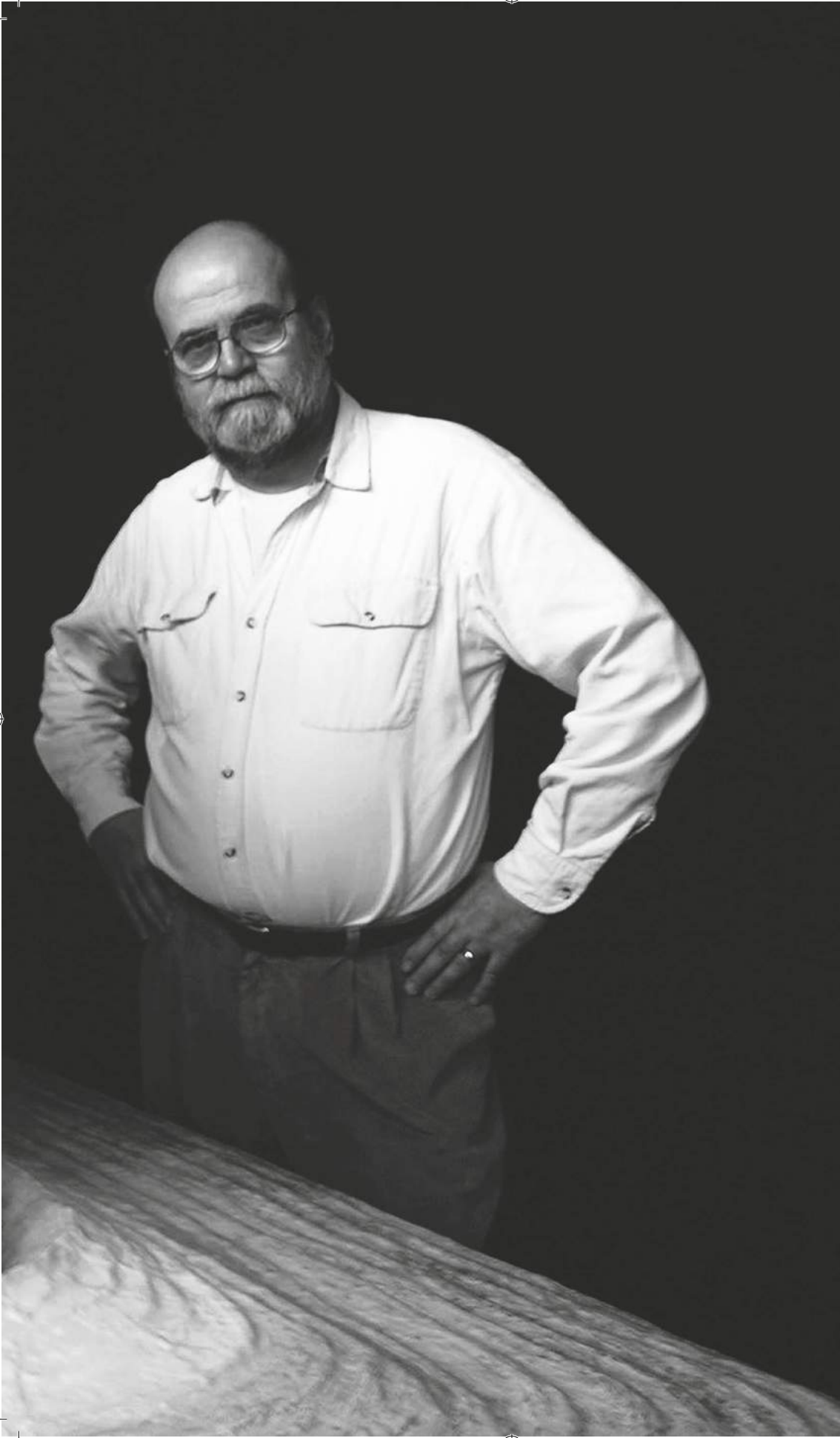
Życiowym przełomem okazał się dla niego jednak udział w VII Międzynarodowym Festiwalu Malarstwa Współczesnego w Cagnes-Sur-Mer we Francji. Przyznano mu tam nagrodę Oscara oraz specjalną nagrodę Prezydenta Francji za pracę „Z głowy” – była to kompozycja malowana na odbitkach z jednej płyty graficznej. Dzięki temu rok później otrzymał zaproszenie z otwartego kilka lat wcześniej, cieszącego się jednak renomą najnowocześniejszego muzeum sztuki, Centre Pompidou. W czasie pobytu ambasada polska unieważniła mu paszport. Sawka stanął przed poważnym dylematem: co robić dalej? Twórca obawiał się deportacji i kłopotów politycznych. Miał świadomość, że krajowym władzom nie przypadły do gustu stworzone przez niego we Francji plakaty z antykomunistycznym przesłaniem. Zdecydował się na krok szalony, który okazał się z czasem najlepszym możliwym wyborem – zary-

4 Z. Schubert, *Polska szkoła plakatu*, Olszanica 2024, s. 225.

5 M. Czubińska, *Jan Sawka* [w:] J. Mrowczyk (red.), *Piękni XX-wieczni. Polscy projektanci graficy*, Kraków 2017, s. 342.

6 *Ibidem*, s. 345.





Jan Sawka przy projekcie POMNIKA POKOJU DLA JEROZOLIMY

zykował i wyjechał do Stanów Zjednoczonych, mając ze sobą, jak głosi legenda, równowartość 52 dolarów.

Do USA zabrał ze sobą żonę i córeczkę Hannę Marię. Udało im się uzyskać lokum – małe mieszkanie na nowojorskim Manhattanie. Zbliżający się termin zapłaty za czynsz, na który nie było ich stać, zmotywował twórcę do działań w celu pozyskania pracy. Udało mu się ją znaleźć niezwykle szybko, i to nie byle jaką. Został ilustratorem „New York Timesa”. Historia ta potwierdza ogromną łatwość w nawiązywaniu nowych kontaktów i przystosowywania się do nowych warunków pracy, która cechowała artystę. Wkrótce zasłynął jako wyrazisty komentator spraw społecznych, wykonując ilustracje dla działu opinii słynnej gazety. W ciągu dwóch lat wykonał ich ponad 100. Jak trafnie zauważyła Magdalena Czubińska, „zagadką pozostaje tempo, w jakim Sawka przystosował się do amerykańskiej rzeczywistości, zrozumiał ją, dostrzegł słabe i mocne punkty polityczne i społeczne. A przede wszystkim wyczuł, co można pokazać i skrytykować artyście spoza Ameryki, i potrafił pozyskać zleceniodawców elitarnych instytucji”⁷.

Sawka był niezwykle aktywny artystycznie i projektowo przez całe lata 80. XX wieku. Był w tym czasie m.in. rezydentem prestiżowego Pratt Manhattan Graphics Centre, projektował scenografie dla Jean Cocteau Repertory Theatre oraz dla Clurman Theatre. Jego profil twórczy zmienił się znacząco po 1985 roku, po przeprowadzce z Manhattanu do High Falls w górach Catskill w stanie Nowy Jork. Malował wówczas głównie pejzaże.

Meandry jego zawrotnej kariery twórczej znaczą ślady bytności w różnych miejscach na świecie i organizowanych tam wystaw. „Wystawiał m.in. na Węgrzech (1971, 1995), w Wielkiej Brytanii (1971), w Palermo (1971), Szwajcarii (1972), Helsinkach (1973), Berlinie (1977), w Emiratach Arabskich (1995), we Włoszech (1988, 1992), Brnie (1990), w Pradze (1992), wielokrotnie we Francji, USA, Japonii (od 1992). W 1991 roku w Krakowie odbyła się retrospektywna wystawa Sawki *Powroty*”⁸.

Można by zapewne z powodzeniem opisywać kolejne sukcesy artysty lub jego pojedyncze dzieła, z których niemal każde kryje w sobie głębokie pokłady treści. Sawka był mistrzem wielokrotnego (już nie tylko podwójnego, jak czasem mówi się o polskim plakacie powojennym) kodowania znaczeń w przekazie obrazowym. Wiele już na ten temat napisano.

W tym miejscu nie sposób nie wspomnieć o jeszcze jednym aspekcie jego twórczości – powiązaniu z tzw. nurtem psychodelicznym w projektowaniu graficznym. To niezwykle charakterystyczny sposób obrazowania, który narodził się w Stanach Zjednoczonych pod koniec lat 60. „Można nawet zaryzykować twierdzenie, że było to najbardziej wyraziste zjawisko stylistyczne dekady, zatarła się w nim bowiem granica pomiędzy sztuką czystą i użytkową”⁹. Powiem nawet więcej – w nurcie tym zaciera się także granica między sztuką wysoką i popularną oraz między komunikatem a ornamentem. Jednym z najbardziej spektakularnych realizacji inspirowa-

7 *Ibidem*, s. 346.

8 S. Giżka, *op.cit.*

9 M.M. Bieczyński, *Polska szkoła plakatu w szerszym kontekście historycznym i kulturowym*, Poznań 2024, s. 272.

nych tą stylistyką w dorobku artystycznym Sawki była przygotowana przez niego monumentalnych rozmiarów scenografia do trasy koncertowej 25-lecia zespołu Greadful Dead w 1989 roku¹⁰.

Życiowe konstelacje życia i twórczości Jana Sawki układają się w system światów równoległych. Choć był od późnych lat 70. XX wieku aktywny twórczo głównie w USA, nie zatracił kontaktów z Polską, nie zatraciła ich również jego sztuka. Do końca życia czynnie współuczestniczył w komentowaniu bieżącej rzeczywistości swojego kraju, o czym świadczą m.in. jego rysunki i szkice. W kontekście współczesnych problemów na świecie jako podsumowanie niniejszego tekstu ukazującego sylwetkę twórcy szczególnie wymownie wybrzmiewa jego „Pomnik pokoju dla Jerozolimy”. Twórca otrzymał za niego nagrodę „Unbuilt Architecture” przyznaną przez American Institute of Architects (AIA). Odbierając ją, Jan Sawka przypomniał, jak w 1996 roku palestyński intelektualista dr Jamal Al Majaida poprosił go o zaprojektowanie symbolicznego pomnika Palestyny, który zostałby wzniesiony w miejscu uważanym za święte dla każdej z trzech wielkich religii: judaizmu, chrześcijaństwa i islamu... Twórca tak tłumaczył stworzoną przez siebie wizję: „Symbolika Pomnika Pokoju to nadzieja wyrastająca z rany w ziemi Jerozolimy. Z tej przesiąkniętej krwią ziemi wyrasta „las” smukłych białych prętów, z których każdy niesie wysoko symbol judaizmu, chrześcijaństwa lub islamu. Pomimo wszystkich strasznych rzeczy, które dzieją się i wydarzyły w Ziemi Świętej, las ten nadal rośnie od swoich korzeni w tym miejscu – w kierunku Nieba”¹¹.

Werdykt przyznający Sawce główną nagrodę opatrzono komentarzem: „Pasja i poezja, kto mógłby zaprzeczyć takiemu projektowi”¹².

Choć zakrawa to na niebezpiecznie optymistyczną konkluzję, to są w świecie sztuki ponadprzeciętnie charyzmatyczne osoby o wyjątkowych biografiach, których oddanie ideałom, humanizmowi i naturze romantycznej wydaje się trwalsze niż oni sami i do dziś silnie wybrzmiewa ona z pozostawionego przez nich dorobku artystycznego i projektowego. Sawka był jednym z nich. Chapeau bas!

10 Z. Kolesár, J. Mrowczyk, *Historia projektowania graficznego*, Kraków 2018, s. 271.

11 „Peace Monument For Jerusalem” Awarded, Culture.pl, odczyt 30.10.2024.

12 M. Czubińska, *op.cit.*, s. 349.

JAROSŁAW TRZEŚNIEWSKI-KWIECIEŃ

Płyną okręty do Itaki

Płyną okręty do Itaki
Ptaki tokują wniebogłosy
Proszę obejrzeć W prawą stronę
Kawałek wyspy Obnażonej

Tutaj marmuru widać kruchość
A dalej morze nas uwiera
Znikąd Donikąd i od Cykad
Sporady ledwo rąbkiem musną

Tyle samotnych tu cyprysów
Żywica w bursztyn cicho wsiąka
Popatrz nie widać mgły na końcu
Ślady korabia są na wodzie

I prycha kropla Lekka kropla
Słonego pyłu w mętym słońcu
Gorzki smak rosy o poranku
Cała przejrzystość Jest wilgotno

Płyną okręty do Itaki
I tak dopłyną bez odmętu
Po nas jest potop Ludzkich śladów
Po nas jest chwila Jedna kropla

LESZEK ALEKSANDER MOCZULSKI



70 WIDOKÓW



W DRODZE
DO



WENECJI



Okładka zbioru wierszy Leszka A. Moczulskiego 70 WIDOKÓW W DRODZE DO
WENECJI, Biblioteka Poetycka WYDAWNICTWA a5, 1991

$ql^2/8$ i NIC

Ku-el-kwadrat-ósmych; ku, el, kwadrat, ósmych; kuelkwadratósmych. Mógłbym powtórzyć i sto razy, ponieważ jest to coś, co – prawdę mówiąc – jako jedyne dobrze zapamiętałem z pięciu lat studiów na politechnice. Oczywiście to ważny wzór dla konstruktora budowlanego, a właściwie najważniejszy wzór, który pozwala obliczyć maksymalny moment zginający belki wolnopodpartej obciążonej obciążeniem ciągłym. Należałoby zapewne wytłumaczyć, czym jest obciążenie ciągłe, co to jest belka wolnopodparta i czymże, do diabła, jest ów dość frywolnie się kojarzący moment zginający. Nie po to jednak traciłem pięć lat na naukę, bym miał tę tajemnicę wyjawić jakiemuś laikowi w kilku słowach. Niemniej nie mam wątpliwości, że rzecz warta jest wyjaśnienia.

A zatem belka wolnopodparta. Deska przerzucona nad rowem, nad strumyczkiem. Nie złapana ani z jednej, ani z drugiej strony. Kiedy na nią wchodzimy, ugina się, a gdy się ugina, często leciutko przesuwają się w miejscu podparcia, ale nie spada. Jednym słowem jest – wolnopodparta. Chodząc po takiej desce, nie jesteśmy obciążeniem ciągłym, tylko punktowym. Gdy jednak położymy się na desce, zajmując swoim ciałem mniej więcej jej całą długość, możemy w przybliżeniu uznać się za obciążenie ciągłe. Zresztą i belka czy deska, która przecież coś niecoś waży, stanowi dla siebie samej obciążenie ciągłe, którego nie należy nigdy pomijać, choć jego udział w pracy tego elementu konstrukcyjnego jest najczęściej znikomy w porównaniu z tym, co na niej leży.

Do wyjaśnienia pozostało pojęcie momentu zginającego. Mógłbym się wykpić definicją encyklopedyczną tego terminu, która brzmi następująco:

Moment zginający – algebraiczna suma momentów sił zewnętrznych działających po jednej stronie rozważanego przekroju belki zginanej względem środka masy tego przekroju.

Sam jednak mam problem ze zrozumieniem powyższego zdania, dlatego zatem miałbym nim częstować moich drogich czytelników. Pomińmy więc to, co napisano kursywą, a ja spróbuję wyjaśnić rzecz w bardziej zrozumiały sposób. Zastanówmy się, co by się stało, gdybyśmy taką belkę (czy deskę) wolnopodpartą, obciążoną, powiedzmy, własnym ciężarem, przecięli w środku i przymocowali w tym miejscu zawias łączący obie rozdzielone części.

Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by przewidzieć, iż belka najzwyczajniej złoży się wpół i spadnie. Żeby się nie złożyła, zawias, który łączy jej dwa końce, należałoby unieruchomić, przeciwstawiając się w ten sposób siłom, które, gdy zawias jest ruchomy, składają belkę. Te siły nazwano właśnie momentem zginającym.

Zbyt zawile? Weźmy patyk, złapmy jeden jego koniec jedną dłonią, pozostałą drugą i zbliżmy je do siebie. Otóż pod wpływem naszych usiłowań, użycia naszej siły

w patyku pojawia się moment zginający. Jeśli będzie on odpowiednio duży, patyk się złamie, jeśli nie będzie zbyt wielki, patyk jedynie się wygnie.

Dokładnie tak samo dzieje się z belką, gdy obarczymy ją obciążeniem rozłożonym, czyli ciągłym. Wygina się, gdy obciążenie jest niewielkie, a łamie, gdy przekracza pewną granicę. Otóż dobrze byłoby wiedzieć, gdzie jest owa granica, ponieważ dzięki temu dowiemy się, jak maksymalnie możemy belkę obciążyć, nie doprowadzając jej jednak do złamania.

Jeśli wiemy, z jakiego materiału belkę wykonano, oraz znamy jej kształt (w przekroju), możemy wyliczyć, jakiż to maksymalnie moment zginający jest w stanie ona przenieść, nie łamiąc się. Korzystając zaś z tytułowego dla tego tekstu wzoru ($ql^2/8$), jesteśmy w stanie obliczyć moment zginający, jaki wywołuje ułożone na belce obciążenie ciągłe. Pozostaje rzecz najprostsza: porównanie tych dwóch momentów zginających. Jeśli pierwszy jest większy – belka nie złamie się, jeśli drugi – złamie.

A cóż w takim razie oznaczają te dwie tajemnicze literki l i q ?

l jest długością belki liczoną dokładnie między jej zewnętrznymi podporami (powiedzmy, że byłaby to szerokość rowu, przez który przerzuciliśmy deskę).

q to obciążenie ciągłe. Jeśli bierzemy pod uwagę jedynie ciężar samej belki, będzie to wartość mówiąca, ile waży kawałek belki długości jednego metra (przyjmuję, że obliczenia przeprowadzamy w układzie SI). Gdy na belce coś jeszcze leży, to dodamy wagę obciążającego ją materiału, jaka przypada na ów metr.

Ot i cała tajemnica.

PS Właściwie planowałem zamieszczenie w tym numerze kwartalnika zupełnie innego tekstu; bliższego literaturze, choć logiczne wytłumaczenie pewnego zagadnienia z zakresu wytrzymałości materiałów można uznać za poważne zadanie dla pisarza. Esej miał nosić tytuł jednego z wierszy¹ Brunona Jasieńskiego z tomu „But w butonierce” (1921). Cóż, skoro udało mi się sklecić jedynie dwa zdania i... nie wydusiłem z siebie już ani słowa. Mam jednak coraz większą pewność, że postąpiłem słusznie, ograniczając się do tak krótkiej wypowiedzi na temat, który chciałem ująć, a zamiast tego zaserwowałem inżynierską dykteryjkę.

Nie byłbym jednak sobą, czyli Kamilem Bryką, gdyby nie pojawiły się owe dwa zdania eseju, które udało mi się z siebie wykrztusić. Oto one:

Od jakiegoś czasu dręczy mnie problem, jak opisać pewne zjawisko w naszej poezji, które to zjawisko chyba łatwiej określić poprzez podanie nazwisk dwóch charakterystycznych dla niego autorek, niż skonstruować jego jednoznaczną definicję. Wymienię zatem dwie panie, które „robią” za młode poetki, choć osiągnęły już dawno (proszę wybaczyć niedyskrecję) wiek balzakowski, a nawet przekroczyły czterdziestkę. Mianowicie Ewę Jarocką i Anouk Herman.

Jeśli ktoś z czytelników zetknął się z twórczością wyżej wymienionych poetek, łatwo zrozumie niemoc twórczą, która opanowała mnie przy pisaniu o nich. Jeśli są tacy, którzy nie mieli tego szczęścia, jakim jest obcowanie z „wierszami” tych dwóch pań, mam nadzieję, że zostali przeze mnie należycie poinformowani.

1 „Nic”.

„Laur Wrocławia” dla Waldemara Okonia

Miło nam poinformować, że 25 września 2024 roku nasz redakcyjny kolega – redaktor naczelny „Formatu Literackiego” i prezes wrocławskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich – profesor Waldemar Okoń został uhonorowany „Laurem Wrocławia” za rok 2024 przyznawanym przez Towarzystwo Miłośników Wrocławia. Ten zaszczytny tytuł przyznano mu w uznaniu dorobku naukowego i literackiego, a także w związku z licznymi osiągnięciami na różnych polach kultury.

„Laur Wrocławia” to prestiżowa nagroda przyznawana osobom, instytucjom lub organizacjom, które w znaczący sposób przyczyniły się do rozwoju miasta, promocji jego kultury, sztuki, nauki czy działań społecznych. Wyróżnienia te przyznawane są co roku podczas uroczystych ceremonii, a laureaci wyłaniani są przez specjalnie powołaną kapitułę, złożoną z przedstawicieli władz lokalnych oraz środowisk kulturalnych i naukowych. Nagroda stanowi nie tylko wyraz uznania, ale też podkreśla szczególną rolę laureatów w życiu Wrocławia.

W 2024 roku „Laur Wrocławia” otrzymali także: poeta, aktor, reżyser Bogusław Kierc oraz Galeria „Entropia”.

Przyznano również „Diamenty Wrocławia”, które przypadły w udziale: Piotrowi Drożdżewskiemu, Romanowi Gutkowi, Jerzemu Kichlerowi, Magdalenie Mularczyk, Lechowi Twardowskiemu, Januszowi Wittowi oraz Rafałowi Wojdzie.

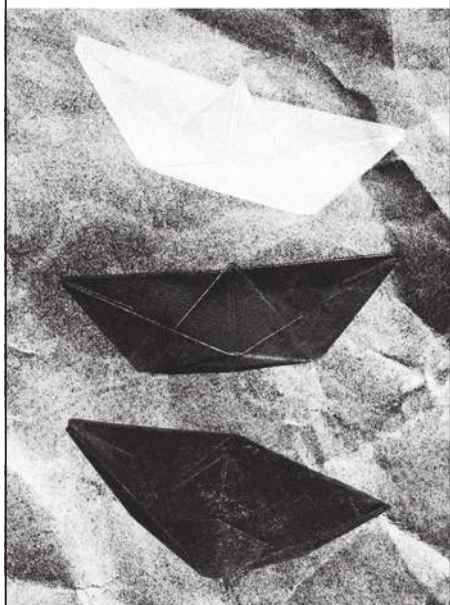
Tegoroczna uroczystość odbyła się we wrocławskim Klubie Muzyki i Literatury. Gratulujemy serdecznie!

Profesor Waldemar Okoń w laurze przygotowanym z tej okazji przez redakcję „Formatu Literackiego”. Fot. Dominika Gawłowska



Lesław Wolak

Podszepty wiatru. Krótkie historie.



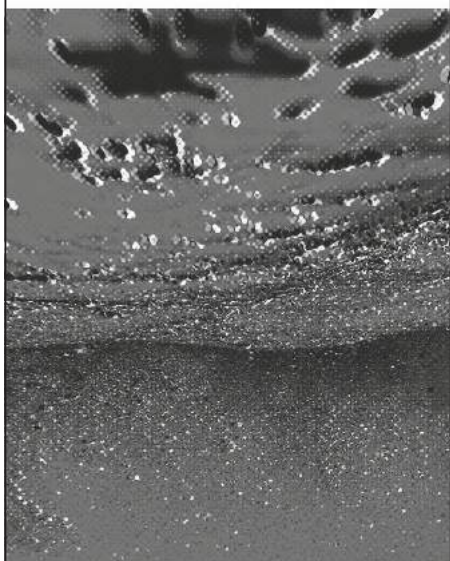
Czesław Sobkowiak

Kartka na stole



Adam Tadeusz Bąkowski

Płomienie pod wodą



Karol Maliszewski

List do prawnuków

